

**Barrington J. Bayley**

# **Kurs na zderzenie**

*Przekład Joanna Kozak*

## Rozdział pierwszy

Rond Heshke pomyślał, że zwycięstwo bez pychy chyba w ogóle nie jest możliwe. Sztandary, sztandary, jak okiem sięgnąć – i wszędzie sztandary.

Na dziedzińcu Biurpolbloku, siedziby Światowego Biura Politycznego, sztandary tworzyły coś na kształt gigantycznego rusztu; jak las kilkudziesięciometrowych masztów żaglowca. Mimo iż ostatnia wojna z podgatunkiem dewiantów – wojna z Amhrakami – zakończyła się zwycięstwem całe dwadzieścia lat temu, sztandary wciąż głosiły potęgę militarnego triumfu. Nadal też celebrowano doroczne parady wojsk, wygłaszano płomienne mowy, a wideory reemitowały pełne chwalby filmy dokumentalne.

„Walka o Ziemię” – tak właśnie brzmiał oficjalny slogan. Tyle że Ziemia była już dawno zdobyta, zdobyta nieodwołalnie przez Człowieka Właściwego, i Heshke w głębi duszy uważał, że najwyższy czas wyciszyć trochę triumfalne peany.

Heshke przeciął dziedziniec, onieśmielony przepychem czerwono-czarnych płócien, które wchłaniały przybysza jak mrówkę. Biurpolblok był istotnie najwspanialszym z wielu okazałych budynków sektora administracyjnego Pradny: jego przeszkolony fronton wznosił się ponad tysiąc stóp w górę, a całość emanowała tak silnym poczuciem władzy, że Heshke natychmiast uznał swe niedawne obrazoburcze myśli za istne świętokradztwo. Wkroczył do przestronnego hallu i na planie wnętrza gmachu odszukał miejsce, do którego miał się udać.

Windą dojechał na dwudzieste piętro, po czym rozpoczął wędrówkę tasiemcowymi korytarzami. Zewsząd mijali go wysocy, przystojni mężczyźni i kobiety z Legionów Tytana – samozwańczy Strażnicy Ziemi, którzy dzierżyli właśnie władzę polityczną nad całą ludzkością. Nosili lśniące czarno-złote uniformy, szczylicili się nieskazitelną przeszłością genetyczną i rzucali Heshkemu pogardliwe spojrzenia, które ten świadomie ignorował. Heshke pogodził się już z myślą, że każda elita wojskowa ma skłonność do przesadnego demonstrowania własnej wyższości – on zaś w końcu był jedynie tęgawym cywilem w średnim wieku, który w dodatku, na ile to naturalnie było możliwe, w ogóle nie interesował się polityką. Zajmowała go przeszłość, nie zaś przyszłość.

Dwudzieste piętro należało do Biura Propagandy, a Heshke wezwany został do Sekeji Archeologicznej – Biurprop (Arch.). Zjawił się punktualnie, a niebrzydka, pewna siebie

sekretarka kazała mu czekać na wejście do gabinetu zaledwie dziesięć minut.

Tytan-Major Broune wstał na powitanie, darząc Heshkego jowialnym uśmiechem.

– Miło was widzieć, obywatelu Heshke. Siadajcie, proszę.

Za plecami Broune'a stał młodszy od niego mężczyzna w stopniu kapitana, Heshke nigdy go dotąd nie spotkał. Mężczyzna miał bladą cerę, pogardliwą minę i wyraźnie zniekształconą lewą powiekę. To ostatnie było wadą rzadko spotykaną wśród Tytanów i nadawało kapitanowi niepokojący, podejrzliwy wyraz twarzy. Heshke mógł jedynie przypuszczać, że kapitan legitymuje się zaletami rekompensującymi ów defekt fizyczny, w przeciwnym bowiem razie nie zostałby nigdy przyjęty w szeregi Tytanów.

– Tytan-Kapitan Brask – przedstawił nieznanego Broune. – Wezwałem kapitana na naszą rozmowę z przyczyn, które poznacie nieco później.

Broune rozsiadł się w fotelu i oparł płasko wielkie dłonie na blacie stołu. Był masywnym mężczyzną, nieco zbyt barczystym jak na swój wzrost, którą to cechę podkreślały jeszcze skrzyżowane czarne pasy uniformu. Jego ciemne, rzędzące włosy, były niegdyś gęste i mocne; piwne oczy i wyraziste rysy twarzy z wolna traciły ostrość na skutek biurowej kariery. Heshke wolał dawnego Broune'a, żwawego i rzeczowego, od dobrodusznego urzędnika, który teraz przed nim siedział. Serdeczność Broune'a zawsze zapowiadała, że coś się szykuje.

Heshke spojrział na mapę badań archeologicznych pokrywającą ścianę za plecami obu mężczyzn. Mapa wykonana była rzetelnie, mimo ewidentnych akcentów podkreślających szczególne znaczenie, jakie Tytani nadawali znaleziskom historycznym. Wyraziście odzwierciedlała periodyczny rozwój i upadek cywilizacji – stały wzór historii rodu ludzkiego. Heshke wpatrywał się w mapę. Nagle Tytan-Major Broune odezwał się ponownie:

– A jak tam, obywatelu, posuwają się prace przy ruinach?

– Trudno tu mówić o jakichś postępach, jeśli o to panu chodzi – Heshke nerwowo poprawił aktówkę.

– Rozumiem więc, że postępy są zerowe.

Ton Tytan-Majora stał się nagle surowy i karcący.

– Nie można wciąż posuwać się do przodu – bronił się Heshke. – Należy przede wszystkim stwierdzić, jak głębokiej destrukcji uległy obce siły interwencyjne, jak to się stało, że niemal wszelki ślad po nich zaginał. W pewnym sensie mamy szczęście, że takie miejsce jak Ruiny Hatharu w ogóle istnieje.

Broune podniósł się zza biurka i zaczął spacerować po gabinecie. Jego twarz poważniała z każdą sekundą.

– Zwycięstwo należy do nas. Trzeba je jednak skonsolidować – oświadczył. – Jeśli mamy dać przyszłym pokoleniom właściwy obraz perspektywy historycznej, musimy dogłębnie zbadać i udokumentować dzieje Upadku i Ciemnowiecza.

Tytan-Kapitan Brask zdawał się śledzić całą scenę z wyżyn własnego punktu obserwacyjnego, podczas gdy Broune perorował dalej:

– Pokonaliśmy podgatunek dewiantów, ale dewianci zawsze stanowili mniejsze zagrożenie. Nie muszę wam wyjaśniać, istoty zagrożenia właściwego czy też olbrzymiej wagi dziedziny badawczej, którą reprezentujecie, obywatelu Heshke. Doskonale znacie charakter naszej przyszłej walki: musimy za wszelką cenę uchronić się przed ponownym atakiem sił pozaziemskich.

Broune zatrzymał się i spojrzał Heshkemu prosto w oczy.

– Nasza obecna niewiedza jest nie do przyjęcia. Oficjalne uchwały stwierdzają potrzebę postępu w dziedzinie badań nad siłami obcej interwencji.

Heshke nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć. Chciał być już z powrotem w tajemniczych rumach, przy mrówczej pracy w gronie kolegów, a nie tu, w gabinecie, gdzie odbiera reprimendy z ust Tytan-Oficerów.

– W takim razie należy odkopać nowe osady – zawyrokował. – Ośmielę się stwierdzić, że z Ruin Hatharu wycisnęliśmy już wszystko, co się dało.

Iluż wniosków, myślał Heshke, mogą ode mnie żądać na podstawie jałowych kamiennych ruin i kilku nieczłekokształtnych szkieletów? Ilość szczątków i przedmiotów była doprawdy zdumiewająco znikoma.

Wreszcie odezwał się młodszy z Tytanów. Precyzyjnie i pogardliwie.

– Polegamy nie tylko na waszych osiągnięciach, obywatelu. Mamy też własne ekipy archeologiczne, które, wybaczenie, odnoszą większe sukcesy niż wy.

Można się było spodziewać, pomyślał Heshke. Tytani mieli już bowiem ideologię, mieli wiarę. Nietrudno było wykopać kilka drobiazgów i przedstawić je na poparcie wcześniej ustalonych doktryn. Heshke uważał się jednak za naukowca, a nie ideologa, i fakty były dla niego po prostu faktami. Co do obcych sił interwencyjnych było stanowczo zbyt mało informacji, aby na ich podstawie budować jakikolwiek spójny obraz.

Istniały, naturalnie, pewne podstawowe ustalenia, których nikt nie podawał w wątpliwość. Około ośmiuset lat wstecz potężna i dojrzała cywilizacja klasyczna uległa kompletnemu, katastroficznemu upadkowi. Ciemnowiecze, które po tym nastąpiło, trwało blisko cztery stulecia. Cywilizację odbudowano dopiero po upływie tych czterystu lat.

Istniały wszakże dowody i na to, że w którymś okresie minionego tysiąclecia obok cywilizacji ludzkiej rozwijała się na Ziemi jeszcze inna, pochodzenia pozaziemskiego. Ta również uległa zniszczeniu – i to w nieporównanie większym stopniu. Tak doszczętny zanik cywilizacji stanowił nie lada zagadkę. Mimo że wciąż jeszcze trwały spory o wiek ruin, które pozostały po obecnej cywilizacji, ideologowie Legionów Tytana już zdolali wysunąć oczywistą, ich zdaniem, konkluzję: dawna cywilizacja ludzka padła w walce o obronę Ziemi przed intruzami. Osiągnęła swój cel, lecz wysiłek włożony w walkę okazał się nadmierny i nie pozostawił energii na przetrwanie.

Wywód taki był nawet do przyjęcia. Wszystko wskazywało na to, że obce budowle uległy zniszczeniu w dzikim zamęcie wojny, prawie wszyscy też zgadzali się co do tego, że wojna między dwiema rasami rzeczywiście miała miejsce. Jednak co do drugiej części teorii... Wzrok Heshkego powędrował z powrotem ku mapie archeologicznej. Nagły upadek cywilizacji klasycznej trudno było uznać za ewenement w historii ludzkości. Odwrotnie: znano cały szereg podobnych upadków, występujących w odstępach mniej więcej dwóch tysiącleci, jak gdyby cywilizacja ludzka była z gruntu niezdolna do utrzymania się o własnych siłach i co jakiś czas padała pod swym ciężarem. Wśród Tytanów zdarzali się ekstremiści, którzy przypisywali ów schemat nawracającym falom obcej inwazji, brak było jednak dowodów na poparcie takiej tezy.

Podobnie jak – mimo intensywnych wysiłków Heshkego i jego licznych kolegów – nie znaleziono naprawdę przekonujących dowodów na to, że ostatnia cywilizacja, klasyczna, istotnie padła pod ciosami obcego ataku. Heshke był raczej zdania, że raptowny rozkład wewnętrzny cywilizacji, jaki dokonał się na przestrzeni mniej więcej stulecia, znalazł swą kulminację w ostatecznym gwałtownym upadku. Co więcej, w przeważającej części wykopanych dotychczas dokumentów zdumiewał brak jakiegokolwiek wzmianki o interwencji pozaziemskiej. Mimo to Heshke w jakimś stopniu akceptował Tezę o Interwencji, przynajmniej na zasadzie prawdopodobieństwa. Obcy przybysze istotnie przecież nawiedzili Ziemię, a mogli przy tym użyć broni o nie zbadanych dotychczas efektach działania.

Heshke zawahał się, a następnie otworzył aktówkę i wydobyl z niej pakiet lśniących

fotografii.

– Nie mogłem się zdecydować, czy pokazać je panom, czy nie. Są dosyć ciekawe...

Heshke przesunął zdjęcia na drugą stronę biurka. Broune i Brask pochylił się nad nimi. Fotografie przedstawiały różne ujęcia obcych ruin, w których pracował Heshke.

– Wpadły mi w ręce całkiem niedawno – wyjaśnił Heshke, wyraźnie zmieszany. – Przesłał mi je kolega, który bada stare miasto Jejos, to, przeznaczone do rozbiórki. Sądźmy, że zdjęcia zostały wykonane jakieś trzysta lat temu, ich autorem mógł być ówczesny historyk-amator. Z początku myśleliśmy, że dowiemy się czegoś nowego, ale...

Heshke ponownie sięgnął do aktówki i podał swym rozmówcom kolejny plik zdjęć.

– To fotografie wykonane współcześnie. Dla porównania – w tych samych ujęciach.

Broune przenosił zdumiony wzrok z jednej odbitki na drugą.

– No i...?

Heshke pochylił się ponad blatem.

– Proszę spojrzeć na tę stożkową wieżę. Jeszcze dziś jest, jak widać, w całkiem niezłym stanie. A na tym starym zdjęciu, tym sprzed trzystu lat, nie ma jej wcale, jest tylko zrujnowana podstawa.

Broune prychnął niecierpliwie.

– Niemożliwe.

– Tak, zgoda – przyznał Heshke. – Ale takich zagadek jest więcej: skruszałe ściany, ogólny stopień zwietrzenia gładów – krótko mówiąc, gdybyśmy mieli dać wiarę tym fotografiom, oznaczałyby one, że ruiny są dzisiaj w lepszym stanie, są nowsze niż trzysta lat temu.

– Wnioski?

Heshke wzruszył ramionami.

– Wydaje się, że zdjęcia były z jakichś powodów retuszowane. Sfałszowano je, aby pokazać ruiny w stanie gorszym niż faktyczny.

– Ale po co?

– Nie mam nawet zielonego pojęcia. A jednak tak właśnie musiało być. Innego wyjaśnienia nie widzę.

– Naturalnie. – Odpowiedź Broune'a zabrzmiała sarkastycznie i Heshke natychmiast pożałował, że w ogóle poruszył sprawę zdjęć. – A to oznaczałoby zaprzeczenie ich historycznej wartości – ciągnął Tytan-Major, wpatrując się bacznie w fotografie, które na koniec wręczył

Braskowi. – Proszę wykonać odbitki – polecił.

Heshke po raz któryś uświadomił sobie, jak bezbłędnie sfalszowano te zdjęcia. Na widok tych starych, pożółkłych obrazków, ciarki przechodziły mu po plecach.

Broune chrząknął i zwrócił się ponownie do Heshkego:

– Zastanawiamy się, czy macie dość zapału do realizacji powierzonych wam zadań – oświadczył, a Heshkemu serce podskoczyło do gardła. – Być może nie zdajecie sobie sprawy z wagi zagrożenia, w obliczu którego stoimy. Pamiętajcie, że wasze badania mają więcej niż jeden cel. Potrzeba nam, oczywiście, danych naukowych, musimy wiedzieć jak najwięcej o wielkiej wojnie, jaką nasi przodkowie stoczyli z obcymi agresorami, po to, byśmy mogli nadać swej koncepcji politycznej solidne podstawy historyczne. Ale jest i inny powód. Obce siły już raz próbowały odebrać nam Ziemię. Kto wie, kiedy zdecydują się na kolejną próbę? Musimy wiedzieć, skąd przybyły, musimy upewnić się, czy nadal czatują na nas gdzieś w przestrzeni. Musimy poznać ich broń.

Brask ponownie włączył się do rozmowy. Jego zimno-błękitne oczy przeszył stalowy błysk, dodatkowo podkreślając ich niesamowitość.

– Czy znacie najnowsze hipotezy dotyczące genezy dewiantów? Od dawna głowiono się nad tym, dlaczego podgatunki zaczęły się pojawiać ni stąd, ni zowąd właśnie wówczas, gdy naturalna linia ewolucji gatunku ludzkiego skierowała się nieodwołalnie ku czystej krwi Człowiekowi Właściwemu. Wojenny opad radioaktywny nie rozwiązuje nam tej zagadki, gdyż broń nuklearna epoki klasycznej była radiologicznie czysta. Udowodniono ostatnio, że ziemskie pole magnetyczne odpycha potężnie naelektryzowane cząsteczki pochodzące z przestrzeni kosmicznej. Gdyby skutek zakłócenia tego pola cząsteczki, o których mowa, przedostały się na Ziemię, stopień mutacji biologicznej osiągnąłby nienaturalnie wysoki poziom. Odkrycie to wiąże się z genezą dewiantów.

Heshke zmarszczył brwi.

– Czy w ogóle można zakłócić ziemskie pole magnetyczne? – zapytał z niedowierzaniem.

– Teoretycznie tak. Metod dokładnie nie znamy, ale naturalnie pracujemy nad nimi. Moim zdaniem, nie może być wątpliwości co do genezy gatunków: są one wynikiem działania obcej broni, której celem było zniszczenie naszej czystości genetycznej – zwyrodnienie natury!

Broune potwierdził jego wywód skinieniem głowy.

– Wiemy ponad wszelką wątpliwość, że działaniu temu uległ nie tylko człowiek. Niektóre

współczesne rasy psów też nie istniały na przykład tysiąc lat temu.

Heshke zignorował ostatnią, wątpliwą część wykładu i zgłosił własne zastrzeżenie.

– Gdyby istotnie udowodniono fakt ingerencji w ziemskie pole magnetyczne w okresie, o którym mowa, stanowiłoby to znaczne poparcie teorii. Ale nawet wówczas nie moglibyśmy mieć pewności, że zmiany nie były efektem działania naszej własnej broni.

Tytan-Kapitan Brask zareagował na tę sugestię z oburzeniem.

– Czy Człowiek Właściwy mógłby dokonać zamachu na czystość krwi swoich potomków? Wygłosiliście tezę absurdalną, niepojętą. Ingerencja mogła pochodzić jedynie ze źródeł pozaziemskich, a wróg, który jej dokonał, nadal być może istnieje i szykuje nowy atak. Niewykluczone, że staniemy jeszcze wobec konieczności obrony nie tylko Ziemi, lecz naszych własnych genów! – Przeszył Heshkego lodowatym spojrzeniem.

– Tak przedstawiają się fakty, obywatelu Heshke – podsumował Broune tonem śmiertelnej powagi. – Czy pojmujecie teraz, dlaczego przykładamy tak wielką wagę do badań archeologicznych?

Heshke z wielkim znużeniem pokiwał głową. Męczyły go nie kończące się wywody ideologiczne Tytanów, choć rozumiał przyczyny ich nachalnego dydaktyzmu. Działalność Tytanów bywała irytująca, lecz stanowili oni niezbędną siłę.

W tej samej chwili Heshke wstrząsnął się z obrzydzenia. Wizja obcych paluchów grzebiących w dziedzictwie genetycznym człowieka poraziła go swoim okropieństwem.

– Macie panowie rację, macie absolutną rację – przyznał pokornie. – W obliczu takiego zagrożenia musimy zmobilizować wszystkie siły. Tylko że, mówiąc szczerze, nie bardzo wiem, co mógłbym zrobić ponad to, co właśnie robię. Ruiny Hatharu naprawdę są już niemal do cna wyeksploatowane. Nie sądzę, aby udało mi się wyciągnąć jakiegokolwiek nowe wnioski bez nowych dowodów.

Tytani spojrzeli po sobie. Broune skinął głową i atmosfera spotkania natychmiast się rozluźniła.

– Wiemy o waszych kłopotach – rzekł Tytan-Major. I mamy dla was nowinę. Dość daleko stąd dokonano odkrycia, o którym jeszcze nie wiecie. Chcemy, abyście udali się w teren.

Heshkego ogarnęła błoga fala ulgi. Więc nie wyrzuca go, mimo wszystko!

Tytani, podejrzliwi wobec każdego, chcieli go po prostu wy badać, sondowali jego morale, aby sprawdzić, czy sprosta planowanym zadaniom. Chodziło najwyraźniej o misję, której nie



mogli powierzyć żadnemu z własnych ludzi. Heshke był przekonany, że Tytani – gdyby tylko mogli – najchętniej całkowicie zrezygnowaliby z usług ludności cywilnej. Jednakże naukowcy tytańscy, pozostawieni samym sobie, nazbyt często błędzili w ostatnim stadium badań, wiedzeni na manowce ślepyim przywiązaniem do zawczasu sformułowanych teorii. Heshke był w swojej dziedzinie wybitnym, autorytetem. Tytani potrzebowali i jego, i jemu podobnych.

Heshke nieraz zastanawiał się, co by zrobił, gdyby nieoczekiwanie zaproponowano mu nominację na Tytana. Zarówno przyjęcie, jak i odrzucenie niesły w sobie pierwiastki samobójstwa.

– Podróż, o której mówię, ma wyjątkowo niezwykle charakter – ciągnął Broune. – Muszę was uprzedzić, że wiąże się z nią pewne ryzyko.

Heshke zamruął szybko, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– W sensie fizycznym?

– Tak, wiem, że archeolog nie bywa na to przygotowany, ale... – Broune wzruszył ramionami i bagatelizująco machnął ręką.

– Ależ nie, nie, przeciwnie – przerwał mu Heshke. – Nasz zawód wymaga ciągłego ryzyka... nieznane tereny, i tak dalej. Dokąd wyruszamy? Do rezerwatu dewiantów?

– Przykro mi, ale szczegóły są na razie ściśle tajne. Zostaniecie powiadomieni w odpowiednim czasie.

Na pewno chodzi o rezerwat dewiantów, myślał Heshke. Zamknięte tereny, na których w celach badawczych pozwolono żyć nielicznym grupkom dewiantów, były jedynymi obszarami opanowanej i pilnie strzeżonej planety, na których istnieć mogło zagrożenie dla zdrowia i życia. Tytani musieli tam dokonać nie lada odkrycia może ujawniono nieznana dotychczas osadę Obcych?

– Coś niecoś może mi pan chyba powiedzieć – nalegał Heshke. – Chciałbym przynajmniej wiedzieć, czego się mogę spodziewać.

Broune zawahał się, co nie było w jego stylu.

– Nasza ekipa natrafiła na pewne urządzenie Obcych, w całkiem dobrym stanie. Mówiąc krótko: urządzenie na chodzie. Jest to bez wątpienia najciekawsze z naszych dotychczasowych znalezisk... Obawiam się, że nic więcej nie mogę wam powiedzieć. Sam niewiele wiem na ten temat. W każdym razie, bądźcie przygotowani na rychłe wezwanie.

Broune wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– No cóż, to wszystko, obywatelu. Cieszę się, że macie tak wiele zapału do działania. Ufamy, że staniecie na wysokości zadania, że zrobicie to dla nas, dla ludzkości...

Heshke wstał, skłonił się zdawkowo i opuścił gabinet.

## Rozdział drugi

Masywne stożkowate wieże. Na całej kuli ziemskiej były to szczątki architektury Obcych, trwalsze niż jakiegokolwiek inne – prawdopodobnie z racji swej wyjątkowej odporności na działanie czasu i człowieka. W ruinach, które badał Heshke ze swoją ekipą, było wiele takich wież.

Heshke powrócił na teren wykopaliska o zachodzie słońca. Ruiny Hatharu – tak nazwano ów teren – należały do najistotniejszych i najlepiej zachowanych dowodów cywilizacji pozaziemskiej. Jej szczątki odnajdywano zazwyczaj w postaci stopionych brył szkła, w miejscach, gdzie atak nuklearny zniszczył miasta i osady. Ruiny Hatharu uniknęły uderzenia atomowego, uległy jednak poważnemu zniszczeniu przez różnorodność broni o mniejszej sile rażenia. Mimo to nadal otaczała je gęsta aura życia, które niegdyś kwitło w tym miejscu. Obłupane mury o tajemniczych krzywiznach i zaokrągleniach nadal pięły się ku niebu. Niskie stożkowate wieżyczki wyrastały, zdawało się, zewsząd i na wszystkich poziomach. Trudno było uwierzyć, że Obcy spędzili na Ziemi stosunkowo niewiele czasu – co wszak musiało być prawdą, jeśli ufać w jakikolwiek sens i logikę historii. Zarówno osada Hathar, jak i inne, większe, rozsiane po całym świecie, wzniesione były najwyraźniej z myślą o długoletnim przetrwaniu.

Ekipa kończyła właśnie kolejną dniówkę skrupulatnego przesiewania ziemi. Heshke pospieszył do namiotu, w którym gromadzono znaleziska, z nadzieją, że znajdzie tam jakiś nowy przedmiot, może nawet dokument pisany tajemniczym językiem Obcych, którego jak dotąd nikt nie zdołał rozszyfrować. Jak zwykle czekało go rozczarowanie. W Sektorze Północnym, w sporej budowli nazwanej przez archeologów Katedrą, wykopano szklany przedmiot, taki sam, jakich mieli już dziesiątki. Przyjęto, że były to powszechnie używane przedmioty domowego użytku, stosowane do wyciskania soku z owoców.

Było to w zasadzie wszystko, co na razie udało im się zgromadzić. Proste przedmioty codziennego użytku, podstawowe narzędzia, trochę mebli. Szkielety dawały niejasny obraz konstrukcji fizycznej Obcych. Lecz ich rozwinięta technologia, maszyny, urządzenia, dokumenty – cała praktycznie machina niezwykle zaawansowanego w rozwoju gatunku – uległy totalnemu zniszczeniu w zapamiętowanym ataku minionych pokoleń, które rozbijały, paliły i ścierały w proch wszystko, co przypominało Obcych. Natrafiono co prawda na kilka przerdzewiających,

zdekompletowanych urządzeń mechanicznych, ale ich stan nie pozwalał na przybliżone choćby odtworzenie zasad pozaziemskiej technologii.

Heshke nie winił ludzi, którzy dokonali dewastacji: ci ludzie byli świadkami plądrowania własnej planety, rozkładu społeczności. A jednak z perspektywy czasu ich posunięcia należało ocenić jako mało inteligentne.

Nie mógł doczekać się chwili, gdy ujrzy urządzenie, o którym mówił Broune.

Obserwował właśnie młodego archeologa, zajętego czyszczeniem wyciskacza do owoców, kiedy poczuł za plecami czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył swojego zastępcę, Blare'a Oblomota.

– No i co tam, Rond – odezwał się serdecznie Blare. – Czego chcieli Tytani?

Heshke kaszlnął i zerknął zmieszany na pochłoniętego pracą młodego kolegę. Był przekonany, że ktoś z ekipy musi być „uchem” Tytanów i wiedząc to czuł się nieswojo. Ruchem głowy dał Blare'owi do zrozumienia, że powinni się oddalić.

– Może się napijemy u ciebie? – zaproponował, gdy znaleźli się na powietrzu. Idąc w stronę kwatery Blare'a, Heshke uświadomił sobie nagle, że w obozie panuje nienormalny spokój. Nawet Blare wydawał się nienaturalnie zgaszony. Zaskoczyło to Heshkego: wiecznie potargany, nieokrzesany Blare zawsze sprawiał wrażenie człowieka o niezachwianej pewności siebie.

Blare uniósł klapę namiotu i wpuścił Heshkego do środka. Usiedli przy drewnianym stoliku, Blare nalał wina.

– Byli tu dzisiaj Tytani – oświadczył. – Zadawali pytania. Właściwie przesłuchiwali wszystkich po kolei.

Heshke zeszywniał.

– O co pytali?

– Sprawy polityczne, a cóż by innego? – Blare wzruszył ramionami, nie patrząc mu w oczy.

– Wiesz co, wydaje mi się, że czuję zimny powiew nadciągającej czystki. Tobą też się bardzo interesowali.

Heshke odstawił szklankę. Czuł się jak sparaliżowany. Dotychczas udawało mu się ograniczać do minimum ingerencję Tytanów w badania Ruin Hatharu. Wiedział, czym się kończą próby łączenia ekip Tytanów z naukowcami cywilnymi: Tytani bardzo szybko opanowują ster prac i nadają im własny kierunek. Pierwszy ofiarą pada obiektywizm naukowy. Heshke nie chciał dopuścić do tego w Ruinach Hatharu.

Równocześnie uderzyła go zimna kalkulacja Tytanów: chcieli przeprowadzić kontrolę pod jego nieobecność, a przecież to on był szefem ekipy. Dlaczego?

– O co pytali w związku ze mną? – zapytał Oblomota.

– Chcieli, zdaje się, stwierdzić, czy jesteś... do ich stronie, tak by to chyba należało określić. Jesteś? Co tu się w ogóle dzieje, Rond? Biorą nas pod kuratelę?

Heshke z namysłem pokręcił głową.

– Nie... to coś innego. – Zamilkł na chwilę. – O Boże, to musi być naprawdę duża sprawa – wyszeptał w zdumieniu.

– Co takiego, Rond? – Blare spojrział na niego z nowym zainteresowaniem. Światło lampy wyostrzyło rysy jego twarzy. – No cóż, znasz moje poglądy. Nie będę ukrywał, że najadłem się dzisiaj strachu. Chyba się stąd ulotnię.

Heshke z niedowierzaniem zamrugął powiekami.

– Nie bądź śmieszny, Blare. Nie ma się czego obawiać. Zwykła kontrola, nic poza tym. Dokonali jakiegoś istotnego odkrycia i chcą, żebym im pomógł... Nie powinienem ci tego właściwie mówić, ale mam to gdzieś, w końcu wiem niewiele więcej niż ty teraz. Znaleźli jakieś urządzenie Obcych i zdaje się, że bardzo są tym przejęci. Krótko mówiąc, będę musiał wyjechać w teren. Nie wiem dokąd, domyślam się tylko, że chodzi prawdopodobnie o rezerwat dewiantów.

Blare zmarszczył brwi.

– Naprawdę? Dlaczego tylko „prawdopodobnie”?

– Powiedzieli mi tylko, że wiąże się to z ryzykiem.

Blare mruknął w odpowiedzi:

– Rezerwaty są ostatnio bardzo spokojne, chyba że zdarzy się najazd Tytanów. Może wcale nie chodzi o rezerwat?

– Może i nie. Chciałem cię tylko zapewnić, że nie zanosi się na żadną czystkę.

– Dziękuję ci, Rond. Myślę jednak, że i tak powinienem stąd odejść. Dziś po południu odniosłem wrażenie, że szykuje się grubsza afera. Nie czuję się tu bezpiecznie.

Heshke popatrzył na niego zdumiony.

– O czym ty, u diabła, mówisz, Blare?

Oblomot poruszył się niespokojnie i łyknął wina. Światło stojącej na bocznym stoliku lampy sprawiało, że jego głowa rzucała na płótno namiotu groteskowe cienie.

– Będę szczery, pal sześć, czuję, że akurat tobie mogę zaufać. Wiesz, z kim trzymam, wiesz,

że istnieje opozycja polityczna. Podejrzewam, że Tytani chcą się do mnie dobrać, a jeśli tak, to domyślasz się pewnie, co będzie, jeśli tu zostanę.

– Dobrać się? Do ciebie? – powtórzył osłupiały Heshke. – Naturalnie, że opozycja istnieje, zawsze istniała. Należać do niej nie jest żadną zbrodnią. Chyba że...

Zamilkł gwałtownie. Znał Blare'a Oblomota od wielu lat. Podobnie jak Heshke, Oblomot był ekspertem w dziedzinie archeologii, choć młodszym i nie tak doświadczonym. Heshke wiedział też, z jaką pogardą Blare odnosi się do Tytanów, znał jego anarchizująco-liberalne poglądy. Składał to jednak zawsze na karb dziwacznych upodobań wolnomyślnego kolegi. Nie, nie dziwacznych, skorygował natychmiast sam siebie. „Dziwaczne” było tu całkiem niewłaściwym określeniem. Blare Oblomot miał po prostu uroczo kapryśną osobowość. Heshkemu nigdy jednak nie przyszło do głowy, by podejrzewać go o wrogość wobec...

Nie dokończył tej myśli, podobnie jak zaczętego przed chwilą zdania.

– Prędzej czy później musi dojść do tego, że działalność opozycyjna nie da się pogodzić z chwalebą postawą obywatelską – rzekł cierpko Blare. – To, co w czasach pokoju uchodzi za legalne, nawet jeśli niezbyt mile widziane, w warunkach wojennych nabiera cech zdrady stanu. Mówiąc obrazowo, my nadal znajdujemy się w stanie wojny. Dla każdego nadchodzi więc pora podjęcia trudnej i jednoznacznej decyzji. Ja taką decyzję podjąłem już dość dawno.

Blare potarł policzek. Heshke dostrzegł w jego oczach wielkie znużenie – czyżby Oblomot tak samo jak on reagował na kontakt z Tytanami?

– Blare... nie chcesz chyba powiedzieć, że należysz do...?

Oblomot skinął głową.

– Właśnie to chcę powiedzieć. Brnąłem w to powoli, krok za krokiem. Popychali mnie właściwie sami Tytani. Od czasu wojen z dewiantami ich terror zaostrzył się zamiast zelżeć. Głoszą coraz bardziej bezkompromisowe poglądy, teraz nawet niektóre myśli można by uznać za sprzeczne z prawem, gdyby tylko istniał sposób podglądania myśli. A co dopiero przynależność do tajnej organizacji, która ma na celu zwalczanie Tytanów wszystkimi dostępnymi środkami, która w dodatku uważa, że tak zwanym dewiantom także należy się miejsce na świecie...

– Blare! Co ty wygadujesz?

Oblomot wzruszył ramionami.

– No widzisz. Nawet dla ciebie ta myśl jest nie do przyjęcia. A przecież kochasz Tytanów mniej więcej równie gorąco jak ja.

Heshke przygarbił się. Oto siedzi przed nim stary przyjaciel. Blare Oblomot, który właśnie wyznał mu ze spokojem, że jest zdrajcą rasy, że prowadzi tajną działalność w ramach powszechnie krytykowanej podziemnej organizacji, która podczas ostatniej wojny pomagała Amhrakom. Heshke nie potrafił zebrać myśli, był kompletnie oszołomiony.

Z wielkim wysiłkiem zdobył się na ton łagodny i spokojny.

– Można mieć wiele zastrzeżeń do Tytanów – powiedział – ale Tytani nie są źródłem swojej ideologii: są jedynie jej głównym narzędziem. I takie narzędzie jest konieczne, Blare. Ziemi trzeba bronić, tak samo jak trzeba bronić prawidłowego postępu ewolucji. Dziwię się, że tego nie rozumiesz.

– Obrona Ziemi przed obcymi agresorami, to jedno – wpał mu w słowo Blare, – jak dotąd nie musieliśmy jej stosować od kilku dobrych stuleci. Co zaś do dalszej części... – smętnie pokręcił głową.

Heshke miał już tego dnia dość dyskusji, jednak ale mógł pozwolić, aby tak brawurowe stwierdzenie pozostało bez odpowiedzi.

– Ale? tych spraw nie wolno rozdzielać! – zaprotestował. – Krew, która płynie w żyłach legionów Tytana, to ta sama krew, którą przelewali ludzie w walce z obcą interwencją. Zagrożenie pozostało takie samo i nie zmieniło się nasze najważniejsze zadanie: opanować i utrzymać Ziemię!

Heshke doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że posługuje się sloganami Tytanów, ale go to nie peszyło. Była to część wiary, w którą nigdy serio nie śmiałyby zwątpić.

Oblomot jednak tylko uśmiechnął się sceptycznie.

– Ta sama krew płynie i w żyłach dewiantów. Wszyscy jesteśmy potomkami Człowieka Klasycznego.

– Zgoda, ale...

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Że tylko my dziedziczymy niezakłóconą linię rozwoju Człowieka Klasycznego, a zatem stanowimy rasę Ludzi Właściwych – inni zaś są produktem aberracji od „naturalnego” toku ewolucji. Tak, masz rację, jesteśmy najbliżsi Człowiekowi Klasycznemu, przynajmniej pod względem fizycznym. Intelktualnym zapewne też, co do tego nie mam wątpliwości.

– No widzisz. O to właśnie mi chodzi.

– Zgoda, tylko co z tego? Nasze podobieństwo do starego gatunku wcale nie musi oznaczać,

że gatunki młodsze są mniej udane. Ani ja, ani moi przyjaciele nie jesteśmy wrogami ewolucji. Przeciwnie, usiłujemy zapobiec hamowaniu ewolucji, jej odwracaniu, bo to właśnie próbują uczynić Tytani. Cechą natury jest różnorodność, ciągle promieniowanie w kierunku nowych form. Tytani niszczą wszelką nową formę i forsują bezkompromisową jednorodność. Wierz mi, w końcu wszyscy poniesiemy tego konsekwencje.

Heshke był przerażony tą nową dla siebie teorią.

– Tytani twierdzą, że o powstaniu dewiantów zdecydował efekt działania obcej broni wymierzonej w konstrukcję genetyczną człowieka – powiedział.

– Tak, słyszałem już podobne teorie. Niewykluczone, że to prawda. Możliwe też, że w identyczny sposób podziałała nasza własna broń. Ale co z tego? Przecież jedynym efektem czynników pobudzających mutację może być przyspieszenie ewolucji: to, co miało się dokonać na przestrzeni dziesiątków tysiącleci, zostaje skondensowane w proces trwający kilka wieków. Podgatunki, które tak skrupulatnie trzebimy, i tak prędzej czy później musiałyby się rozwinąć.

Zapadła niezręczna cisza. Heshke westchnął głęboko i pokręcił głową.

– Nadal twierdzę, że na Ziemi powinna istnieć tylko jedna rasa – rzekł z posępnym uporem.  
– Jak mielibyśmy, według ciebie, zareagować na, dajmy na to, zmasowany atak Lorenów?

Oblomot z namysłem pokiwał głową.

– W tym konkretnym przypadku muszę się z tobą zgodzić. Lorenowie byli gatunkiem jeszcze bardziej agresywnym niż my. Trzeba ich było unicestwić, bo tworzyli stan takiego napięcia, na jakie nasza planeta po prostu nie mogła sobie pozwolić. Ale nie poprzestaliśmy na Lorenach, zaraz dobraliśmy się i do innych. Lorenowie nam zagrażali, to prawda, ale Amhrakowie? – Blare uśmiechnął się. – Nie, Rond. A Urukuri? Przecież oni w ogóle nie wiedzieli, z której strony trzymać broń. Skoro już przy tym jesteśmy, sądzę, że uznanie ich za podgatunek było już naprawdę mocno naciągane. Tylko dlatego, że mają wyraźne cechy negroidalne i pokojowe usposobienie?

– Pomyśl o groźbie skrzyżowania ras, zanieczyszczenia naszej krwi krwią Urukuri albo Amhraków – Heshkem wstrząsnął dreszcz. – Wyobraź sobie, że Urukuri albo Amhrak mógłby zgwałcić twoją córkę. Przecież zdarzały się z ich strony gwałty na naszych kobietach.

Oblomot myszkował w kredensiku w poszukiwaniu następnej butelki. Z pozoru wcale nie słuchał Heshkego. Nagle odezwał się, starannie cedząc słowa.

– Napij się jeszcze, Rond. Nie mam do ciebie żalu, że myślisz tak, a nie inaczej. Tytani są



przecież mistrzami propagandy i zdołali nią zarazić wszystkich. Ich propaganda wydaje ci się nawet zgodna z logiką. Oto najlepsze potwierdzenie jej walorów. Ale oni się mylą.

Sącząc kolejną szklanekę wina, Heshke odezwał się z wyraźnym rozdrażnieniem:

– Dlaczego, jeśli wolno spytać, spowiadasz się właśnie przede mną? A jeśli cię zadenuncjuję?

– Nie, tobie ufam. Najogólniej rzecz biorąc, nie jesteś po prostu typem Tytana. Chciałem, żebyś wiedział, czemu odchodzę. A kiedy będzie już bardzo źle, co prawdopodobnie wkrótce nastąpi, chcę, żebyś rozumiał, że istnieje alternatywa, że to, co podają Tytani, nie jest jedyną możliwą interpretacją naszego gatunku.

Oblomot uniósł szklanekę, jakby chciał trącić się z Heshkem.

– Za przyszłość!

– Dokąd pójdziesz? – spytał machinalnie HeShke.

– Przez jakiś czas będę się ukrywał. Mam przyjaciół Oblomot wysączył wino do dna. – Przepraszam, że zrobiłem z ciebie „zdrajcę rasy”. Nie gniewaj się, stary.

– Nie ma o czym mówić – odparł zmieszany Heshke, machając niezgrabnie ręką. – Wiesz przecież, że nigdy bym na ciebie nie doniósł.

Heshke miał już serdecznie dość dyskusji z Oblomotem. Wypił jeszcze trochę wina i wyszedł, kierując się w stronę własnego namiotu. Była już noc, blask pełni księżyca oświetlał ruiny niesamowitym, zimnym blaskiem. Heshke spojrział w górę na ognik satelity i przez chwilę pomyślał o wartach Tytanów w przestrzeni, o samotnych strażnikach pilnujących dostępu do Ziemi, czujnie śledzących rubieżę systemu słonecznego w oczekiwaniu na sygnał ponownego ataku agresora.

Następnie, po raz nie wiadomo który, Heshke skupił swą uwagę na samych ruinach. Nawet za dnia było w nich coś upiornego, nieziemskiego – Heshke nie potrafił tego nazwać, ale zawsze łączył swoje dziwne uczucie z faktem obcego pochodzenia ruin. W trakcie krótkiego marszu do namiotu oparł dłoń na zniszczonym przez czas murze. Mur był chłodny, a minio to wyobraźnia podsunęła Heshkemu frazę „żywe kamienie”. Chropawy blok istotnie zdawał się pulsować życiem, jakby nadal emanował istnieniem tych, którzy go stworzyli. Heshke przypomniał sobie tajemnicze fotografie i z rozpaczą pokręcił głową. Wieże i mury, które z wolna same się rekonstruują? W jakim celu fałszerz stworzył tę niebywałą mistyfikację?

Dotarłszy do namiotu, Heshke natychmiast położył się spać. Rozmowa z Oblomotem nie

dawała mu jednak spokoju. Tak, mówił sobie, to prawda, że Tytani są mistrzami w dziedzinie propagandy. Ale ich propaganda dotyczy rzeczywistości, a nie ułudy, takiej jak na przykład te fotografie. Siła propagandy Tytanów leży w jej odwoływaniu się do odwiecznych ludzkich pragnień. Krew i ziemia. Nie było prawie człowieka, który zdołałby się temu oprzeć.

A on, Heshke, także był z tej krwi, i z tej ziemi.

Tuż przed świtem obudził go warkot odrzutowych helikopterów.

Heshke, półprzytomny, zwlókł się z pryczy i wyjrzał przez szparę w klapie namiotu. W samym środku obozowiska lądowały właśnie dwa helikoptery z insygniami Legionów Tytana. Dwa inne kołowały w powietrzu tuż poza obrębem ruin.

Było to klasyczne wojskowe podejście. Helikoptery, które nie wylądowały, pełniły rolę ubezpieczającą. Zaopatrzone były przy tym w oślepiającej siły reflektory, których blask uwydatniał rzeźbę terenu i wykopalisk.

Heshke ubrał się pośpiesznie i wyszedł z namiotu. Ruchomy snop światła reflektora uderzył go prosto w twarz, oślepił na parę chwil, po czym przesunął się dalej. Kiedy Heshke odzyskał wzrok, ujrzał dwóch podoficerów z Legionów Tytana, którzy wyraźnie zmierzali w jego stronę.

– Obywatel Heshke? – zapytał jeden z nich.

Heshke kiwnął głową.

– Proszą z nami.

Odwrócili się i podążyli przodem, pozwalając Heshkemu wlec się za sobą.

Przy pierwszym helikopterze Heshke dostrzegł szczupłą sylwetkę Tytan-Kapitana Braska.

– Witam, obywatelu Heshke – Brask powitał go z wyższością pozbawioną jednak niechęci. – Uprzedzaliśmy was o potrzebie gotowości. Tak się niestety składa, że jesteście nam potrzebni trochę wcześniej, niż tego oczekiwaliśmy.

Heshke milczał, wciąż jeszcze z lekka otępiały od snu.

– Chcecie coś z sobą zabrać? – spytał uprzejmie Brask. – Książki, notatki, mapy? A zresztą, i tak damy wam pełny ekwipunek.

Heshke odwrócił się. W eskorcie dwóch Tytanów zbliżał się w ich stronę Blare Oblomot. W tle widać było kilku członków ekipy archeologicznej, którzy wyłonili się z namiotów i w osłupieniu obserwowali rozwój wydarzeń: białe figurki w mroku przedświt.

– Czy mój asystent Oblomot także ma uczestniczyć w tym zadaniu? – zapytał Heshke.

Brask parsknął krótkim, niemiłym śmiechem.

– Aaa, ten... wiemy o nim wszystko. On wybiera się gdzie indziej.

Mijając Heshkego, Oblomot rzucił mu spojrzenie na wpół błagalne, na wpół znaczące: a nie mówiłem? Brask gwałtownie machnął ręką.

– Zabierzcie go do majora Broune'a, Biurpolblok Dwa. Heshke jedzie z nami.

Heshke bliski mdłości patrzył, jak wprowadzają jego przyjaciela na pokład drugiego helikoptera. Biurpolblok Dwa, pomyślał. Nie miał pojęcia, że w ogóle istnieje jakiś Numer Dwa – nie wiedział, że budynek, który odwiedził nie dalej jak poprzedniego dnia, to zaledwie Biurpolblok Jeden.

Nagle uświadomił sobie, że wszystkie jego drobiazgi i przybory toaletowe zostały w namiocie. Postanowił jednak nie wracać po nie. Zdawało mu się, że Brask zaczyna się niecierpliwić, a poza tym Tytani potrafili z wielką skrupulatnością zaopatrzyć człowieka we wszystko, co niezbędne.

Bez słowa wszedł do helikoptera. Maszyna uniosła się w górę i pomknęła na północ.

Nagle od strony helikoptera wiozącego na pokładzie Blare'a Oblomota dobiegł ich błysk ognia i odgłos eksplozji. Zaskoczony Heshke wstrzymał oddech patrząc, jak płonący kadłub maszyny pikuje poprzez ciemność w dół ku ziemi.

Brask, klnąc straszliwie, skoczył na równe nogi.

– Idioci! Do łbów im nie przyszło, żeby go przeszukać! Musiał mieć przy sobie granat samobójczy!

Heshke oderwał wzrok od płonących w dole szczątków helikoptera i popatrzył na Braska w osłupieniu. Brask rzucił mu z ukosa ironiczne spojrzenie.

– Wy oczywiście nigdy o czymś takim nie słyszeliście, co? Ci z podziemia ostatnio ciągle stosują ten numer. Im oszczędza to przesłuchań, a nas pozbawia kilku ludzi.

Przed Heshkem otwarły się nagle zupełnie nowe obszary ludzkiego działania.

– Nie... nic nie wiedziałem...

– Można się było tego po was spodziewać. Telewizja takich rzeczy nie reklamuje, a my mamy swoje sposoby, żeby zatkać gębę plotce. Tak, zorganizowane podziemie rzeczywiście istnieje, a wasz przyjaciel Oblomot rzeczywiście do niego należał. O tym też nie wiedzieliście? A może jednak tak? – Nieprzenikniony, podejrzliwy wzrok Braska spotkał się ze spojrzeniem Heshkego.

– Nie, nie wiedziałem... aż do tej nocy – bąknął enigmatycznie Heshke.

Przez chwilę kołowali nad miejscem katastrofy, czekając, aż wrak się dopali. Wreszcie jeden z trzech pozostałych helikopterów przycupnął na ziemi obok szczątków zniszczonej maszyny. Dwa ostatnie wraz ze wschodem słońca ruszyły w dalszą drogę, spiesząc ku celowi, który nadal był dla Heshkego tajemnicą.

## Rozdział trzeci

W mieście Cymbel przesiadli się w szybki statek międzykontynentalny. Heshke dostał na pokładzie śniadanie, ale – mimo iż podróż trwała blisko dwie godziny – ani krzty informacji ze strony Braska. Brask raz udał się do kabiny pilota, aby odebrać komunikat radiowy i wrócił wyraźnie zaaferowany.

Mknąc po trajektorii liczącej pięć tysięcy mil, cały czas ścigali strefę wschodu słońca, toteż gdy wreszcie wylądowali, nadal trwał wczesny poranek. Miejsce wyglądało na prywatne lądowisko. Natychmiast pojawił się samochód, który miał ich dowieźć do niskiego, masywnego betonowego budynku, widocznego w odległości kilkuset jardów od miejsca lądowania.

Ledwie znaleźli się za progiem, Heshke poczuł typową dla Tytanów atmosferę precyzji działań i nieustannej krzątaniny. W korytarzach unosił się jednostajny szum, którego źródła nie można było ustalić. Symbole o nieczytelnym dla Heshkego znaczeniu wskazywały drogę do poszczególnych wydziałów. Heshke zwrócił się do Braska.

– Gdzie my jesteśmy?

– Na terenie ściśle tajnej stacji badawczej.

– Czy to urządzenie jest właśnie tutaj?

Brask kiwnął głową.

– Po to właśnie powstał cały ośrodek: aby badać urządzenie, o które pytaacie.

Heshke w zdumieniu uniósł brwi.

– Kiedy je wobec tego znaleziono?

– Przeszło pięć lat temu.

– Pięć lat? I cały czas trzymaliście to w tajemnicy?

Brask uśmiechnął się z wyższością.

– Cierpliwości, obywatelu. Wkrótce wszystko będzie dla was jasne.

Podeszli do ciężkich drzwi strzeżonych przez dwóch uzbrojonych Tytanów. Brask wyjął przepustkę. Drzwi otworzyły się z westchnieniem pneumatycznego zamka.

Po drugiej stronie strzeżonych drzwi panował większy spokój.

– Tędy dojdziemy do głównych pomieszczeń laboratoryjnych – poinformował Heshkego Brask. – Wkrótce pozna pan swoich nowych kolegów. Dzień rozpoczyna się tutaj sesją

ideologiczną... może zechciałby pan zobaczyć, jak to wygląda? Zdaje się, że właśnie dobiega końca.

Heshke bez entuzjazmu kiwnął głową. Brask poprowadził go wzdłuż korytarza, z którego wchodziło się do niewielkiej auli. Około dwustu mężczyzn i kobiet w białych kitlach wpatrywało się w duży ekran, na którym wyświetlano ilustracje do tekstu komentarza.

Heshke zwrócił uwagę na mistrzowskie operowanie obrazem. Kiedy weszli, na ekranie widniał rzewny pejzaż słońca zachodzącego za porośnięte lasem wzgórza. Na pierwszym planie szafirowe morze biło o inkrustowane kamieniami skaliste wybrzeże.

Pejzaż przeistoczył się nagle w kolaż wirusów i bakterii glebowych. Heshke uznał gwałtowne przejście z przestronnego świata lasów, morza i słońca w niewidzialny gołym okiem, mikroskopijny światek na samej granicy życia za szczególnie efektowny chwyt. Wykład natychmiast zaabsorbował jego uwagę i Heshke z prawdziwym zainteresowaniem wsłuchał się w dojrzały, sugestywny głos towarzyszący projekcji, który spajał poszczególne obrazy w logiczną całość.

– Oto esencja życia w zarodku – płynął aksamitny głos z audiościeżki. – W tych oto załączkowych cząstkach życia koncentruje się cała istota ducha i esencji planety Ziemi. Te ziarna wszystkich przyszłych istnień powstały w wyniku przepotężnej destylacji energii drzemiącej w kamieniu, glebie, słońcu, wodzie i świetle. Od tej chwili jałowa Ziemia jęła wytwarzać DNA, z którego to DNA, jak olbrzym z morskich otchłani, wyłonił się kulminacyjny produkt całej reakcji: byt, dla którego wszelkie pozostałe przejawy ziemskiego życia są ledwie platformą. Zjawisko to nazywamy esencją kulminacyjną, bądź też esencją ludzką.

Wykładowi towarzyszyła pośpieszna i oszałamiająca sekwencja obrazów. Wirusy ustąpiły pola migawkom spirali DNA, następnie, jedna po drugiej, pojawiły się projekcje tańczących chromosomów i jąder komórkowych w stadium podziału, przeplatane obrazami rozmaitych gatunków istot żywych w kolejnych etapach procesu ewolucji.

Ostatnim słowom lektora towarzyszył obraz młodego nagiego mężczyzny o boskiej budowie i urodzie (musiał to być bardzo starannie wybrany Tytan). Postać stała z rozpostartymi ramionami, w powodzi padającego od tyłu światła. Z wolna rozplynęła się wreszcie w obraz Ziemi dryfującej w oceanie wszechświata.

– A zatem – ciągnął głos, tonem trzeźwym już i konkretnym – ewolucja to nie seria przypadków, lecz logiczny proces, zmierzający ku z góry wiadomemu celowi. Wynika stąd, że

Ziemia z natury swojej zdolna jest wytworzyć tylko jeden dominujący gatunek, a cel ten określa zarazem jej przeznaczenie. Stąd kolejny wniosek, że prawidłowość ta dotyczy wszystkich planet w całym wszechświecie. Ziemia jest naszą matką, naszym domem, naszą opoką. Z jej gleby czerpiemy swoją krew. Jesteśmy dziećmi Ziemi i nikt jej nam nie odbierze.

Wygaszeniu ekranu towarzyszył potężny akord symfoniczny. Heshke był oczarowany. Krew i ziemia, powtórzył znowu w myślach. Wykład miał wiele elementów fascynujących i odpychających zarazem: mistycyzm, bałwochwalcze uwielbienie Ziemi, wiarę w przeznaczenie. Ale kto wie, pomyślał Heshke, może coś w tym jest. Może ewolucja naprawdę przebiega w taki sposób.

Widzowie powstali z miejsc i w ciszy zaczęli opuszczać salę. Brask szturchnął Heshkego.

– Teraz możecie poznać ludzi, z którymi przyjdzie wam pracować.

Na sali pozostało jeszcze trzech widzów. Przeszli do niewielkiego stolika na tyłach auli. Brask i Heshke przyłączyli się do nich.

Dwaj mężczyźni nosili opaski i wyglądali na klasycznych Tytanów. Trzeci, cywil, odróżniał się od nich już na pierwszy rzut oka, gdyż dość widocznie utykał. Popatrywał przy tym czujnie dookoła, jakby z żalem, że znajduje się właśnie tu, a nie gdzieś indziej, a jego usta stale wykrzywiały gorzki grymas.

Brask dokonał prezentacji.

– Tytan-Porucznik Vardanian, Tytan-Porucznik Spawart, obywatel Leard Ascar, A to, panowie, obywatel Rond Heshke.

Wszyscy skłonili się sobie zdawkowo.

– Czy panowie również są archeologami? – zapytał Heshke najuprzejmiej, jak potrafił, gdyż nazwiska nowo poznanych nic mu nie mówiły.

– Nie, jesteśmy fizykami – wyjaśnił krótko Leard Ascar. Głos miał dokładnie taki sam jak wyraz twarzy – drwiący, ironiczny.

Brask poprosił ich gestem, by usiedli

– Pora wyjaśnić wam coś niecoś, obywatelu – zwrócił się do Heshkego. – Mam nadzieję, że potraficie sprawnie asymilować niezwykle informacje? Ta umiejętność bardzo się teraz przyda.

Brask wcisnął jakiś guzik umieszczonej na stoliku niewielkiej konsoly. Olbrzymi ekran rozjarzył się, ale przez chwilę pozostał pusty.

– Wiecie już, że odkryliśmy sprawnie działające urządzenie Obcych. Wyobraźcie sobie

pewnie, że znaleziono je w wykopaliskach. Otóż nie: znaleziono je na powierzchni ziemi, na łące, z dala od jakichkolwiek znanych ruin cywilizacji Obcych. W dodatku całkiem przypadkowo. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że jest to urządzenie zupełnie nowe.

Na ekranie pojawił się obraz. Tło odpowiadało opisowi Braska: trawiasta łąka, zamknięta w oddali szpalerem drzew. Na pierwszym planie tkwił srebrzysty cylinder o zaokrąglonych brzegach, opatrzony matowymi, mętnawymi okienkami. Wzrost Tytana stojącego obok dla porównania rozmiarów; pozwalał stwierdzić, że urządzenie mierzy około siedmiu stóp średnicy i około dwunastu stóp długości.

– Jak widzicie, jest to rodzaj pojazdu – ciągnął Brask. – Wewnątrz znajdowali się dwaj Obcy, którzy, jak przypuszczamy, zmarli przez uduszenie na krótko przed znalezieniem obiektu. Jako pierwsi przedstawiciele obcej rasy, których możemy obserwować w stanie nienaruszonym, wzbogacili oni znakomicie naszą wiedzę na temat wroga.

Ekran opustoszał na moment, po czym ukazał się na nim kolejny obraz. Cylinder był tym razem otwarty. Obaj jego pasażerowie, widoczni tylko częściowo z uwagi na niewygodę filmowania przez właz, przypięci byli pasami do umieszczonych jeden przy drugim kubelkowych foteli. Były to drobne włochate stworzenia o wydatnych ryjkach i różowych krecich łapkach, wielkości mniej więcej młodego szympansa. Po chwili obraz zmienił się i ukazał te same dwa ciała wyeksponowane znacznie lepiej, gdyż rozpięte na płytach w laboratorium Tytanów.

Heshke był przejęty jak nigdy, mimo to z satysfakcją odnotował fakt, że znalezione okazy w dużym stopniu przypominały wyniki rekonstrukcji dokonanych na podstawie szkieletów.

– Więc był to statek kosmiczny – powiedział Heshke.

– I myśmy, naturalnie, z początku tak sądzili – padła odpowiedź. – Ale pomyliliśmy się. Dopiero żmudne ekspertyzy z mechanizmem urządzenia dowiodły, czemu ono naprawdę służyło.

Heshke zauważył, że wszyscy fizycy wpatrują się w podłogę, jakby rozmowa na ten temat była dla nich wyjątkowo żenująca.

– Okazało się, że urządzenie działa na całkiem obcych nam zasadach – ciągnął Brask. – Można było z jego pomocą osiągnąć ruch w przestrzeni, aczkolwiek jedynie na niewielkich odległościach wykluczających podróże międzygwiazdne, krótko mówiąc, jako produkt uboczny. Właściwy cel konstrukcji był zgoła inny. Właściwym celem było przemieszczanie się w czasie. Urządzenie, które tak przypadkowo wpadło nam w ręce, okazało się maszyną czasu.

Fizycy nadal nie podnosili wzroku. Heshke odczekał chwilę, dając swym myślom czas na



zasymilowanie rewelacji.

Czas. Machina czasu. Marzenie archeologa.

– Pochodzą zatem z przeszłości – odezwał się w końcu, patrząc na zdjęcie obcych podróżników po czasie.

Brask kiwnął głową.

– Tak należałoby sądzić. Zasady podróżowania w czasie opanowali zapewne w ostatnim stadium swojego pobytu na Ziemi, za późno, aby uczynić z nich jakikolwiek pożytek. Możemy jedynie mieć nadzieję, że ich macierzysta planeta nadal nie zna sekretu maszyny czasu. Szczerze mówiąc, myślę, że gdyby go tam znano, już odczulibyśmy tego skutki.

– Doprawdy – bąknął pod nosem Heshke – to wszystko jest... przerażające.

– Wyście to powiedzieli – zareplikował Brask.

Heshke chrząknął nerwowo.

– Czy ten wyjazd w teren, o którym była mowa... czy chodzi o wycieczkę w czasie?

– Możliwe. Niewykluczone.

– Nie rozumiem.

Brask spojrział na Tytan-Porucznika Vardaniana.

– Zechce pan wyjaśnić.

Wysoki Tytan-fizyk kiwnął głową i zwrócił się do Heshkego.

– Rozumiecie chyba, że nie mogliśmy ryzykować utraty jedynej maszyny czasu, jaką dysponujemy, w chaotycznych eskapadach. Poświęciliśmy pięć lat ciężkiej pracy na badanie zasad jej działania, aby wreszcie skonstruować kopię. Zbudowaliśmy więc własny, sprawny, jak nam się zdawało, wehikuł czasu i odbyliśmy w nim kilka wycieczek. Wyniki tych wypraw skłoniły nas jednak do szukania waszej fachowej porady. Nie jesteśmy bowiem pewni, czy nasza maszyna funkcjonuje jak należy.

Heshke nie rozumiał. Tytan spojrział na ekran, sięgnął do konsoli i przesunął obraz przedstawiający dwóch obcych pilotów.

– Patrzcie uważnie. Pokażę wam kilka zdjęć wykonanych przez naszych ludzi.

Przez ekran przemknęła płatanina kresiek, ustępując zaraz miejsca wrażeniu bardzo szybkiego ruchu: jakiś barwny widok mიაոաł się w tę i z powrotem, zbyt szybko, aby oko mogło go uchwycić. Po chwili Heshke zauważył, że jedyny nieruchomy element obrazu stanowią biegnące górą i dołem ramy. Doszedł do wniosku, że muszą to być obrzeża innego ekranu, czy też okna,

przez które filmowano pejzaż.

Trudno mu było uwierzyć, że to, w czym uczestniczy, dzieje się naprawdę. Oglądał film z przeszłości, a kompetentny, błyskotliwy Tytan-Porucznik wyjaśniał mu spokojnie rzeczy, które jeszcze przed chwilą uznałby za niemożliwe. W świetle tych rewelacji nawet śmierć Blare'a Oblomota była niczym więcej jak mglistym zdarzeniem o pozorach sennego widziadła.

Obraz ustalił się. Heshke miał teraz przed sobą równiną i słońce stojące wysoko na niebie. Pośrodku planu rozciągał się na kilka mil zespół ruin. Mimo kompletnej niemal dewastacji i zachwaszczenia, ich obce pochodzenie było oczywiste, przynajmniej dla wprawnego oka Heshkego.

– Ruiny Verichi – objaśnił półgłosem Vardanian. Zdjęcie sprzed około dziewięciuset lat. Coś całkiem innego, niż mogliśmy się spodziewać, prawda?

Święta prawda, pomyślał Heshke. Dziewięć wieków temu Ruiny Verichi – to znaczy dzisiejsze ruiny – powinny stać w pełnym rozkwicie jako gęsto zaludnione, tętniące życiem miasto. Na filmie postać w pancernym kombinezonie potykała się o stosy kamieni.

– Tak będzie to raczej wyglądać za dziewięćset lat od dzisiaj – orzekł Heshke. – Może podróżowaliście w złym kierunku?

– Początkowo i my wysnuliśmy taki wniosek – odparł Vardanian. – Zatrzymaliśmy się w pięciu punktach na obszarze czasowym dwustu lat. Nie spotkaliśmy ani jednego przedstawiciela Obcych, jedynie ruiny, takie jak widać na filmie. Wkrótce ustaliliśmy jednak, że równoległe do istnienia tych ruin miały miejsce wojny prowadzące do upadku i agonia cywilizacji klasycznej, a więc mimo wszystko znajdowaliśmy się w przeszłości.

– Ależ to nonsens! – oburzył się Heshke marszcząc brwi.

– Macie rację. Nasze badania dowodzą, że w epoce Upadku na Ziemi przebywała wielka liczba Obcych. Czyżbyśmy się mylili? Czyżby Obcy odwiedzili Ziemię znacznie wcześniej? Wskazywałyby na to opłakany stan ruin, co jednak nie wyjaśnia ich znakomicie lepszego stanu w dobie obecnej. Szczerze mówiąc, nie pasuje tu żadne wyjaśnienie historyczne. Zostaliśmy wobec tego zmuszeni do wyciągnięcia kolejnych, wielce deprymujących wniosków: że machina czasu płata nam figle i że wcale nie podróżowaliście w czasie.

– Przestają rozumieć. W takim razie... dokąd podróżowaliście?

Vardanian odpowiedział niejasnym gestem, jakby nie potrafił znaleźć słów na wyrażenie myśli o charakterze abstrakcyjnych symboli.

– Pewne szczególne cechy wehikułu czasu otwierają inne możliwości interpretacji. Uaktywnia się on mianowicie jedynie pod obecność żywej świadomości: bezzałogowa, automatyczna machina czasu nigdy nie ruszyłaby z miejsca. Niezbędnym czynnikiem staje się więc obecność żywego pilota. Biorąc to pod uwagę, wysunęliśmy tezę, że nasza machina – przynajmniej model, który skonstruowaliśmy sami, choć może i oryginał również – nie podróżuje w czasie obiektywnym, lecz tylko w regionie „czasu fikcyjnego”, ukazując świadomości obserwatorów mieszaninę fragmentów przeszłości i przyszłości, które czerpie zapewne z podświadomości i wyobraźni pilota oraz pasażerów.

– Byłaby to więc jedynie iluzja?

Vardanian z wahaniem pokiwał głową.

– W dużym uproszczeniu – właśnie tak. Chociaż wehikuł gdzieś się jednak przemieszcza, skoro znika z laboratorium.

Heshke zauważył, że Leard Ascar od jakiegoś czasu wydaje ciche, gniewne pomruki. Vardanian spojrzał na Ascara karcąco.

– Oto wyjaśnienie, które, przy jednym głosie przeciwnym, traktowaliśmy jako obowiązujące aż do wczoraj.

– Wczoraj przedstawiliście nam swoje zdjęcia – wtrącił Brask – które nieco zamąciły wiarygodność tezy.

Oczywiście, zdjęcia. Zdjęcia ukazujące Ruiny Hatharu sprzed trzystu lat, kiedy to ich stan był gorszy niż obecnie. Zdjęcia ewidentnie – fachowo, lecz ewidentnie sfalszowane. Zdjęcia, które nie mogły mówić prawdy.

– Byłby to niepojęty zbieg okoliczności – powiedział Brask. – Otrzymaliśmy niezależne, obiektywne potwierdzenie zjawisk, które uznaliśmy wcześniej za subiektywne iluzoryczne. Natychmiast wysłaliśmy maszynę czasu do Hatharu, mierząc w przybliżeniu w datę wykonania zdjęć i zrobiliśmy serię tych samych ujęć. – Brask wysunął szufladę stolika i wydobył z niej plik lśniących odbitek. – Oto kopie obydwu zestawów. Proszę porównać: mniej więcej się zgadzają,

Heshke wykonał polecenie. Jeden zestaw zawierał zdjęcia kolorowe, drugi, starszy, czarno-białe. Obejrawszy fotografie, Heshke odsunął je od siebie, czując, że dość ma niezwykłości jak na jeden dzień.

– Istotnie, wyglądają podobnie. Czego to dowodzi? Że, mimo wszystko, jednak podróżowaliście w przeszłość?

– Tak – odparł zapalczywie Leard Ascar. Było to jego pierwsze słowo w dyskusji.

Drugi z Tytanów, Spawart, także przemówił po raz pierwszy tonem skrupulatnej precyzji, wolno dobierając słowa:

– Nie musi to być oczywisty wniosek. Przedstawionych zdjęć nie można przyjąć za bezpośrednie potwierdzenie naszych własnych odkryć. Zdjęcia istotnie mogą być sfalszowane.

Mogły też, skoro podróż w czasie jest możliwa, zostać podrzucone w przeszłość z odległej przyszłości. Interpretacji jest wiele i żadna nie przeczy tezie o wadliwym funkcjonowaniu maszyny czasu.

Możliwe, pomyślał Heshke. Ktoś mógł przerzucić plik zdjęć z punktu oddalonego o trzysta lat w przyszłość do punktu odległego o trzysta lat wstecz – przeskok o sześćset lat. Mogło tak być. Tylko po co?

Wszelkie domysły skazane były na jałowość. Przyczyn mogło być tysiące, niepojętych, trywialnych, nieodgadnionych.

– Panowie – oświadczył Heshke. – Wszystko to jest dla mnie nazbyt deprymujące. Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego właściwie się tutaj znalazłem?

– Ależ naturalnie – odparł wylewnie Brask. – Chcieliśmy zaczekać z prośbą o waszą pomoc do chwili usunięcia defektu maszyny czasu, lecz zdjęcia, które przedstawiliście, sprawiły nam tu sporo zamieszania. Pragniemy zatem, abyście udali się w Ruiny Hatharu sprzed trzystu lat.

– Po co? – zdziwił się Heshke.

– No cóż... – zawahał się Brask. – W tej chwili działamy po omacku. Najważniejsze będzie stwierdzenie, czy nasza obecna zdolność do przemieszczania się w czasie jest zdolnością obiektywną czy iluzoryczną. Psychologowie twierdzą, że jeśli mamy do czynienia z iluzją, wówczas w świecie pozornie istniejącym poza naszym czasem muszą wystąpić pewne anomalie. Byłby to odpowiednik sytuacji snu, w której rzeczywistość nigdy nie odzwierciedla się wiernie. Coś musiałoby zatem różnić ruiny widoczne na drugim zestawie zdjęć od prawdziwych Ruin Hatharu.

Heshke ponownie przyjrzał się obu seriom odbitek.

– Moim zdaniem nie różnią się niczym.

– Zgoda. Mogą jednak istnieć różnice niewidoczne na zdjęciach. Ale do rzeczy: znacie Ruiny Hatharu lepiej niż ktokolwiek inny, to wasza specjalność. Chcemy tylko, abyście cofnęli się w czasie i dokonali wnikliwych oględzin. Być może zdołacie rzucić jakieś nowe światło na całą

tę tajemnicę.

– To dość ogólnikowe wskazówki.

Brask wzruszył ramionami.

– Niewątpliwie. Ale Leard będzie wam towarzyszył. Może do spółki zdołacie coś wydedukować.

Heshke namyślał się dłuższą chwilę.

– Taka podróż w „przeszłość fikcyjną” byłaby jak zejście w głąb podświadomości, prawda?

– Bardzo możliwe – odparł Tytan-Porucznik Vardanian. W tej samej chwili Leard Ascar wydał z siebie pogardliwe parsknięcie.

– Niech pan nie słucha tych bredni, Heshke – odezwał się kąśliwie. – „Fikcyjna przeszłość”, tere-fero! Urządzenie działa jak trzeba!

– A te ruiny...? – zapytał Heshke, nagle zbity z pantałyku.

Ascar tylko wzruszył ramionami i wycofał się z rozmowy.

Heshke zwrócił się do Braska:

– Kiedy wyruszamy?

– Jak najprędzej. Nawet dzisiaj, jeśli czujecie się na siłach.

– Potrzebne mi będą rejestratory i trochę narzędzi.

Brask skinieniem głowy potwierdził przyjęcie zamówienia.

– Przewidzieliśmy to, sądzę, że mamy wszystko, czego możecie potrzebować.

– Była mowa o ryzyku...

– Tylko w związku z faktem, że urządzenie jest stosunkowo mało sprawdzone. To jedyne źródło ryzyka.

– Nie licząc innych ewentualnych pomysłów Obcych dodał Heshke. – To urządzenie dowodzi, że dysponowali całkiem niezłą technologią.

– Owszem, ale nie tak znowu dalece doskonalszą od naszej – odparł Spawart. – Udało nam się, bądź co bądź, odtworzyć ich wehikuł czasu, a to oznacza, że potrafimy niemało.

– Zakładając, że istotnie go odtworzyliśmy – wpadł mu w słowo Brask, obrzucając Spawarta druzgocącym spojrzeniem.

– Jasne, że taki – rzucił gniewnie Ascar.

Heshke dokonał przeglądu wyposażenia, a następnie wskazano mu pokój do odpoczynku.

Przespał kilka godzin, a resztę czasu spędził leżąc i rozmyślając o wszystkim, czego się ostatnio dowiedział.

W wyprawie, jak wywnioskował, miało uczestniczyć czterech ludzi: on, fizyk Leard Ascar i dwaj tykańscy oficerowie techniczni do pilotowania wehikułu. Start przewidziano na popołudnie. W miarę upływu czasu nerwy zaczynały zawodzić Heshkego.

Wkrótce po obiedzie, który podano mu do pokoju, Heshkego odwiedził Leard Ascar. Ascar spędził cały ranek przy maszynie czasu.

– Jak tam, Heshke, denerwuje się pan? – powitał go od progu wiecznie skwaszony fizyk.

Heshke kiwnął głową.

– Nie ma się czym przejmować. Wycieczka jest całkiem bezpieczna i w zasadzie bezbolesna. To będzie moja trzecia.

– Jak długo potrwa?

– Wyciągamy sto lat na godzinę. Powiedzmy: trzy godziny tam, trzy z powrotem.

– A w sensie przestrzennym jesteśmy dość daleko od Hatharu?

– To nie problem. Poruszając się w czasie, ściślej mówiąc, będziemy się poruszać w nie-czasie, możemy równocześnie do woli przemieszczać się po powierzchni Ziemi. Wylądujemy idealnie w środku celu.

– Stąd do Hatharu w trzy godziny – powtórzył z namysłem Heshke. – To całkiem niezłe. Taka maszyna czasu byłaby świetnym środkiem transportu międzykontynentalnego, nie sądzi pan?

Ascar zaśmiał się.

– Bystro pan kombinuje, ale się pan myli. Przestrzeń i czas to w tym przypadku elementy transakcji wiązanej. Żeby się dostać na drugą półkulę, musiałby pan równocześnie przesunąć się o jakieś sto lat. Można by pewnie skakać tam i z powrotem tak długo, aż zgrałoby się przestrzeń z czasem, ale trwałoby to tyle, że już lepiej podróżować rakieta.

Ascar poszperał w kieszeni, wydobyl pamiątkę skręta i natychmiast go zapalił, roztaczając wokół aromatyczny dym. Heshke zwrócił uwagę na nieznaczną wylupiałość jego oczu.

– Mogę usiąść? Całe rano mordowałem się z tą cholerną maszynką. Też czuję się trochę niewyraźnie.

– Proszę się czuć jak u siebie.

Ascar zajął jedyne krzesło, a Heshke usiadł na łóżku na wprost niego.

– Ciekaw jestem... na jakiej zasadzie działa machina czasu?

Ascar wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przez oddzielanie „teraz” od „teraz” i przemieszczanie go poprzez „nie-teraz”.

Heshke z westchnieniem pokręcił głową.

– Kompletnie nic nie rozumiem.

– To tak samo jak ja do chwili, gdy natknęliśmy się na tę obcą maszynę. Dlatego jestem pewien, że tytańska teoria „czasu podświadomego”, czy jak mu tam, to kompletna bzdura. – Ascar zaciągał się papierosem, jakby to był eliksir życia. Heshke uświadomił sobie, że Ascar denerwuje się jeszcze bardziej niż on. – Przepraszam pana, Heshke. Chodzi o to, że cała ta zabawa to strata czasu. Wehikuł robi dokładnie to, czego od niego chcemy: przemieszcza się w czasie do tyłu i do przodu, obiektywnie i realnie. I tylko ze mną należy o tym rozmawiać, bo to ja rozgryzłam cały orzech. Oni by się do dziś w tym babrali.

– O co tu chodzi? Zawisać zawodowa? – uśmiechnął się Heshke,

Ascar z irytacją machnął ręką.

– Komu miałbym zazdrościć? Tytani-naukowcy robią swoje przyzwoicie, póki idzie o zwykłe problemy. Wystarczy dać im jedną przesłankę, a oni już solidnie i cierpliwie dojdą do właściwych wniosków. Kiedy jednak pojawia się potrzeba myślenia twórczego, mają skłonność do popadania w ideologię. A przecież wiemy doskonale, że ta cała ich ideologia jest gównem warta.

Heshke rozejrzał się niepewnie za ukrytym mikrofonem.

– Nie przypuszczałem, że usłyszę coś takiego w sercu twierdzy Tytanów – powiedział.

Fizyk wzruszył ramionami.

– Toleruję mnie tutaj. Pracuję nad tą sprawą od samego początku, od pięciu lat. Dawniej nie było tak ciężko. Teraz mam już tego po dziurki w nosie.

– Tak? Dlaczego?

Ascar uśmiechnął się sardonicznie.

– Zbudowałem im wehikuł czasu, a oni się krzywią, że kiepsko działa, bo nie podoba mi się to, co znaleźli w przeszłości. Martwi ich, że Obcy nie odegrali w upadku Ziemi żadnej roli – oto cały problem. A przecież w gruncie rzeczy nie przeprowadziliśmy jeszcze żadnych badań. Może i Obcy kręcili się wtedy po Ziemi, tam i ówdzie.

– Czuje się pan skrzywdzony.

Ascar zaciągnął się dymem.

– Zmęczony, tylko zmęczony. Pięć lat uporczywych rozmyślań nad problemem czasu rozstroiło mi mózgowicę. Niech pan nie zważa na moje marudzenie, obywatelu. To normalna część syndromu mojej osobowości.

– A ruiny? – przypomniał mu Heshke. – Gdybyśmy mieli przyjąć dowody wprost, te ruiny odnawiają się z upływem czasu, zamiast się starzeć. To po prostu niemożliwe, nie sądzi pan?

Ascar wzruszył ramionami.

– A skąd ja, do licha, mam wiedzieć? Odkąd wiem, że czas może ulegać przekształceniom, że konkretne „teraz” jednego człowieka daje się oddzielić od „teraz” absolutnego – nic już nie jest dla mnie niemożliwe. Musi być jakieś wytłumaczenie – Ascar uśmiechnął się. – Co by pan powiedział na to: tysiące lat temu Obcy odwiedzili Ziemię i zasiali na niej pewien rodzaj ziarna, ziarna o szczególnych właściwościach. Ziarno to wolno kiełkuje nie w rośliny czy materię wegetatywną w ogóle, lecz w konstrukcje kamienne i metalowe. Ruiny, które obserwujemy, rosną przez długie wieki, aż powstaną z nich kompletne domy, miasta, zamczyska – co pan chce. Kiedy wszystko dojrzeje, Obcy przybędą tu i osiadą na dobre.

Heshke roześmiał się, ubawiony pomysłem. Zdumiała go bujna fantazja Ascara, jego ciągła gotowość zmagania się z niemożliwym i wyciągania śmiałych wniosków.

– Ale istnieją również szkielety – zauważył. – Szkielety nie mogłyby wyrosnąć z nasion.

– A czemu nie? A może po prostu podrzucono kilka szkieletów dla zmylenia przyszłych archeologów?

Heshke widział jednak, że fizyk nie mówi poważnie.

Przez chwilę milczeli. Ascar hałaśliwie zaciągał się dymem i szurał nogami, wpatrując się w sufit. Zdawało się, że zapomniał o obecności Heshkego.

– Czy były czynione próby nawiązania kontaktu z ludźmi przeszłości? – zapytał w końcu Heshke. – Potrafiliby oni zapewne odpowiedzieć na wiele naszych pytań.

– Co takiego? – Ascar z trudem ściągnął swą uwagę z powrotem do pokoju. Popatrzył na Heshkego płonąącym wzrokiem. – Ach, to... To pan nie wie?

– O czym? – zapytał Heshke z pewnym przejęciem.

– O tym, jak to jest w przeszłości. Nie możemy porozumieć się z tamtymi ludźmi, bo oni nas nie słyszą. Ani nie widzą. Można ich spokojnie powalić na ziemię, a oni na to nic – poleżą, poleżą, poskręcą się z bólu, wstaną, otrzepią się, i tyle. Zachowują się jak roboty wykonujące



poprzydzielane im przez czas zadania.

Heshke patrzył na niego w osłupieniu.

– Wiem, że brzmi to niesamowicie – Ascar zbył jego przerażenie machnięciem ręki – ale tak to właśnie wygląda.

– Czy to znaczy, że oni nie mają świadomości?

– Zachowują się, jakby jej nie mieli. Jak roboty, jak zaprogramowane maszyny – powtórzył Ascar.

– To brzmi... jak jakiś sen. Jest pan pewien, że Tytani nie mają racji?

– Absolutnie. To, o czym mówiłem, doskonale zgadza się z moją koncepcją zasad działania maszyny czasu. Czytywał pan pewnie za dużo zmyślonych historyjek o wehikułach czasu i na ich podstawie ukuł własne wyobrażenia. W tych opowiadaniach przeszłość i przyszłość nie różnią się zasadniczo od terażniejszości – choć dziś już wiemy, że różnią się bardzo znacznie.

Fizyk dopalił papierosa i odrzucił niedopałek, grzebiąc już w kieszeni w poszukiwaniu nowego skręta. Heshke poczęstował go swoim i podał ogień.

– W jakim sensie?

– Wyjaśnię panu. Proszę wyobrazić sobie wszechświat jako czterowymiarową ciągłość: trzy wymiary przestrzeni – o czym przekonuje nas codziennie doświadczenie i jeden wymiar dodatkowy, który nazywamy czasem, a który biegnie z nieskończonej przeszłości w nieskończoną przyszłość. Jeśli usuniemy ruchomy element „teraz”, otrzymamy obraz, który określić można jako wszechświat czterowymiarowy. Mamy zatem statyczny czterowymiarowy schemat. Tak właśnie wygląda wszechświat. Rzecz jednak w tym, że istnieje jeden czynnik dodatkowy: chwila obecna, która jak wędrowną falą przemierza wymiar czasu.. Heshke nie był fizykiem, był jednak na tyle odczytany, że wywód Ascara nie stanowił dla niego zupełnej nowości. Kiwnął głową i dorzucił:

– Czyli „teraz”, w którym jesteśmy jak gdyby uwięzieni i wewnątrz którego przesuujemy się od momentu do momentu.

– Zgadza się. Czym jest owo „teraz”? Czy istnieje cokolwiek poza nim? Przez całe wieki filozofowie zadawali sobie pytanie, czy przeszłość i przyszłość istnieją obiektywnie, czy też nie istnieje nic poza terażniejszością, której doświadczamy. Wreszcie znaleźliśmy odpowiedź: i przeszłość, i przyszłość istnieją, lecz nie mają swojego „teraz”. Czyli nie mają czasu. Nie istnieje rozróżnienie na „przedem” i „potem”. Przeszłość i przyszłość są obie równie martwe.

– Więc to dlatego ludzie w przeszłości działają jak roboty?

Ascor potwierdził skinieniem głowy.

– Wędrująca „fala terażniejszości” już Ich minęła. Świadomość zaś jest cechą „teraz”, stanowi funkcją „teraz”, choć tej zależności jeszcze nie wyjaśniliśmy.

– Co składa się na tę... falę terażniejszości?

– Tego nie jesteśmy pewni. Przypuszczamy, że jest to pewna forma energii wędrująca poprzez czterowymiarową nieskończoność na zasadzie fali uderzeniowej. Przemieszczając się, fala ta powoduje zachodzenie różnorodnych procesów i organizowanie się materii w istoty żywe. Słyszał pan pewnie stare określenie „siła witalna”? To nic innego, jak właśnie siła witalna.

Heshkemu zaświtała nagle pewna myśl.

– Twierdzi pan, że przeszłość nie zna czasu. A gdyby tak cofnąć się w czasie i dokonać tam jakiejś zmiany? Co stanie się wówczas z przeszłością, która istniała przed wprowadzeniem zmiany? Musi i tam istnieć jakiś rodzaj czasu skoro można by mówić o okresie przed wprowadzeniem zmiany i po nim...

Heshke przerwał. Zaplatał się we własnych wywodach.

Fizyk odsłonił zęby w uśmiechu.

– To, o czym pan mówi, nosi nazwę Problemu Regresji. Nas również ten problem mocno pasjonował, gdy dowiedzieliśmy się, że podróż w czasie jest możliwa. Patrząc pod innym kątem, mamy tu do czynienia ze starą zagadką filozoficzną: jak czas może płynąć, skoro nie ma drugiego „czasu”, w którym przepływ ten mógłby się odbywać? W jednej chwili „teraz” znajduje się w tym punkcie czasu, zaraz potem – w następnym, przesuwa się z jednego zdarzenia na drugie i dlatego wydaje się, że istnieje „przed” i „po” związane z jednym momentem: pierwsze – gdzie „teraz” było i drugie – gdzie go jeszcze nie było.

– Tak, chyba właśnie to miałem na myśli – przytaknął niepewnie Heshke.

Ascar kiwnął głową.

– Odkąd możemy prowadzić bezpośrednie obserwacje, liczba podobnych paradoksów znacznie zmalała. Teoretycy zakładali istnienie dodatkowego, piątego wymiaru, aby pomieścić w nim zmiany, o jakich pan mówił, ale my teraz jesteśmy już mądrzejsi. Wszechświat jest obojętny na wszelkie zmiany z zewnątrz, podobnie jak na aktualne umiejscowienie „teraz”. Wszechświat nie rozróżnia konfiguracji, toteż żadna wprowadzona przez nas zmiana nie modyfikowałaby w istocie niczego.

Heshke przestał rozumieć.

– Pozostaje jednak odwieczna zagadka: co by było, gdybym cofnął się w czasie i zabił własnego ojca, zanim zdążył mnie począć?

– W końcu okazałoby się zapewne, że pańskim ojcem był ktoś inny – odparł uszczypliwie Ascar. – Ale poważnie: gdyby nawet zdołał pan „zabić” ojca, odkryłby pan później, że on i tak istnieje. Przyczyna i skutek, tak jak my je pojmujemy, obowiązują jedynie wewnątrz wędrującej fali terażniejszości – w tym, co nazywamy Terażniejszością Absolutną. Doszliśmy do tej konkluzji drogą eksperymentu. Wszędzie poza „teraz” wszechświat reaguje na zmiany obojętnie, a jeśli nawet uda się przeprowadzić jakąś zmianę, jej skutki obumierają, zamiast się kumulować.

– Straciłem wątek – wyznał Heshke. – Trudno mi to pojąć... że nawet jeśli przyjdzie jutro, ja i tak pozostanę tu i teraz, będę palił papierosa... tyle tylko, że nie będę tego świadomy.

Ascar potarł podbródek i ziewnął ze znużeniem.

– Ujął pan to dokładnie tak, jak należy. Jesteśmy tutaj. Wkrótce Absolutna Terażniejszość przesunie się o parę momentów w przyszłość, unosząc z sobą naszą świadomość. Przeszłość jednak nie znika: to tylko my przestajemy ją postrzegać – podobnie jak nie widzimy na razie przyszłości, która mimo to przed nami istnieje. Wehikuł czasu działa jak dźwig, odłączając pewien fragment terażniejszości i przenosząc go w inny punkt. Jeśli pańska świadomość będzie związana z tym konkretnym fragmentem, będzie pan w stanie obserwować i przeszłość, i przyszłość.

– Jak daleko podróżował pan w przyszłość? – zapytał nagle Heshke.

Ascar znów się skrzywił.

– Jakieś sto lat, nie dalej. Nie ma sensu.

– Czyżby? A to dlaczego?

– Wie pan, co kryje się w przyszłości? Pustka i chaos – nic poza tym. Żadnych organizmów żywych: ani ludzi, ani zwierząt, ani trawy, ani ptaków, ani drzew – nic. Nie ma nawet wirusów czy mikrobów. W odległości jednej sekundy od miejsca, w którym się teraz znajdujemy, świat pozbawiony jest wszelkiego życia, a miejsca, które teraz zapełniamy, świecą pustką.

Heshke patrzył na niego przerażony. Ascar uśmiechnął się kwaśno.

– To logiczne, starczy trochę pomyśleć. Życie w przeszłości istnieje, nawet jeśli zachowuje się jak mechanizm, gdyż fala terażniejszości przetoczyła się nad nim, a właśnie ona ewokuje życie. Fala ta nie dotarła jeszcze do przyszłości. Wszystko, co zbudowaliśmy z materii

nieorganicznej – domy, maszyny, i tak dalej – już tam jest, ale pozbawione dozoru ręki ludzkiej podlega stopniowemu rozkładowi. A co do budulca naszych własnych organizmów – jest to proch, proch i nic więcej.

Heshke zamyślił się nad nieogarnioną martwą pustką.

## Rozdział czwarty

Machina czasu, którą skonstruowali Tytani, była znacznie większa od prototypu. Kształt cylindryczny zastąpiono czymś w rodzaju ściętej na obu końcach klatki o poznaczonych żebrowaniem żaluzjowych ścianach. W jednej części mieściła się kabina załogowo-pasażerska, w drugiej zaś – niezdarne wielki mechanizm. Pojazd zachował jednak pewne cechy obcego pierwowzoru: okna wykonano z grubego, prawie matowego tworzywa umożliwiającego kontrolę obrazu dzięki mechanizmowi przepuszczania bądź blokowania światła, a cały system sterowniczy był wierną kopią oryginału.

Do rozstania się z terazniejszością machina potrzebowała na starcie drugiego, jeszcze potężniejszego urządzenia, w którego paszczy spoczywała na co dzień jak wywieszony jęzor. Natychmiast po uruchomieniu zaczynała się jednak posługiwać własnym napędem i całkowicie traciła kontakt z bazą. Szczegół ten niepokoił Heshkego przez cały czas, gdy zmagał się z lękiem, a potem cierpliwie znosił ubieranie w sztywny kombinezon, który Tytani kategorycznie polecili mu założyć.

– Wygodnie? – zapytał młody technik.

Heshke kiwnął głową, chociaż o wygodzie nie mogło być mowy, gdyż skóropodobny kombinezon całkowicie paraliżował mu ruchy.

Od kilku minut Halę Ekspedycyjną wypełniał donośny świst: to wyrzutnia nagrzewała się przed startem. Ascar miał już na sobie kombinezon, podobnie jak dwaj oficerowie techniczni wyznaczeni do pilotowania maszyny czasu, Ascar gestem ponaglił Heshkego do środka.

– Wszystko gra? Ma pan sprzęt w pogotowiu?

– Na pokładzie – odparł Heshke, Nie bardzo wierzył, że będzie czegokolwiek używał! W ogóle nie bardzo miał pojęcie, co robić, kiedy Już znajdzie się w ruinach.

– Wobec tego na miejsca.

Heshke wszedł za Ascarem do wnętrza maszyny czasu. Kabina była stosunkowo duża, jakieś dziewięć na dziewięć stóp. Heshke usiadł obok fizyka zapiął pasy. Oficerowie techniczni, na których kombinezony leżały znacznie lepiej niż na cywilach, zajęli fotele pilotów w przodzie kabiny. Właz zasunął się i równocześnie zamarł świst z Hali Ekspedycyjnej – machina czasu była dźwiękoszczelna.

Heshke poczuł skurcz mięśni. Oficerowie techniczni porozumieli się półgłosem i równie cicho przekazali komunikat obsłudze na zewnątrz maszyny. Heshke usłyszał za plecami rosnący odgłos, jak chrapliwy koci pomruk.

Jeden z Tytanów, obracając się do nich półprofilem, oświadczył:

– Ruszamy!

I to wszystko? Heshke z ulgą poczuł, że skurcz żołądka mija. Był pewien, że maszyna stoi w miejscu, a jednak przez matową szybę widział mknącą smugę ruchu i barwy oscylującą w szaleńczym tempie w tę i z powrotem, jakby pojazd posuwał się błędnym kursem.

– Opuszczamy dom – powiedział Ascar.

Heshke spojrzał na niego, nic nie pojmując.

– Na razie jeszcze jesteśmy u siebie – warknął fizyk. – Nie rozumie pan? Nic pan nie widzi?

– Chyba nie.

– Wychodzimy z Absolutnej Teraźniejszości. To jest nasz dom. Jedyne miejsce wszechświata, w którym istnieje świadome życie. Niech pan pomyśli o przeszłości, która rozciąga się za nami aż po wieczność. Im dalej się cofamy, tym dalej jesteśmy od tego miniaturowego ułamka, w którym koncentruje się życie – aż w końcu będziemy jak duchy, okruszki czasu w beczasowej otchłani... To samo z przyszłością. Dalej pan nic nie rozumie?

Oczy wyszły Ascarowi z orbit, a na czoło wystąpiły kropelki potu.

– Tak pan odczuwa cofanie się w czasie? – zapytał cicho Heshke. – Jak upadek w otchłań?

– Tak to właśnie jest: przepaść bez dna. W którą właśnie wpadamy.

Heshke nagle go zrozumiał, Ascar, który przed startem dodawał mu otuchy, sam był przejęty śmiertelnym strachem. Bał się, że wskutek jakiejś awarii mogą zostać odcięci, uwięzieni bez możliwości powrotu do świata, życia i czasu,

Ascar miał zanadto bujną wyobraźnię i skłonność do melodramatyzowania. Heshke pomyślał, że pięć lat życia w takiej obsesji zakłóciło być może równowagę psychiczną fizyka. Ascar pracował, bądź co bądź, nad iście przerażającym problemem.

Dla Heshkego teoria czasu i nie-czasu nadal była zbyt mętna, aby mógł ją poddać trzeźwym rozważaniom: ilekroć usiłował ją przeanalizować, myśli zamieniały się w wirujący kalejdoskop. Nie mógł pojąć, dlaczego wędrująca fala „teraz”, a więc fala czasu, miałyby się znajdować w jednym konkretnym miejscu, w konkretnym czasie...

Nie, to nie tak. Przecież czas brał się właśnie stąd, że fala była tam, gdzie była...

Resztę podróży spędzili w milczeniu. Ascar wyciągnął się w fotelu, na ile umożliwił mu to kombinezon i od czasu do czasu pomrukiwał sam do siebie. Minęły trzy godziny. Wreszcie oficer techniczny powiadomił ich, że zbliża się moment lądowania.

Rozległ się gong. Zamazane, pędzące obrazy, któreomalże uspiły Heshkego, zatrzymały się za oknem, ale przez grube szyby trudno było dostrzec coś konkretnego.

Ascar uwolnił się z pasów i to samo zalecił Heshkemu.

– Proszę podejść do okna – powiedział. – Ten widok może pana zainteresować.

Heshke zbliżył się do okna, które sprawiało wrażenie pokrytego szronem. Ascar pokręcił gałką i szyba stała się przejrzysta.

Mieli przed sobą krzepiąco znajomy i miły widok. Sądząc po wysokości słońca, było wczesne popołudnie. Pod błękitnym niebem rozciągały się wielkie połacie zieleni: sawanna, poznaczona tu i ówdzie karłowatymi drzewkami. Na pierwszym planie Heshke bez wahania – mimo trzystu lat różnicy – rozpoznał Ruiny Hatharu, popękane, skruszałe i porośnięte mchem.

– Zauważył pan coś ciekawego? – zapytał Ascar z wyraźnym wyczekiwaniem.

Tak, Heshke zauważył coś ciekawego. Górą przelatywała wrona. To znaczy, nie przelatywała: wisiała w powietrzu, zatopiona w bezruchu, i to tak blisko, że Heshke dokładnie widział każde pióro jej rozpostartych skrzydeł.

– Nie rusza się – bąknął oszołomiony.

– No właśnie – odparł Ascar z radosną satysfakcją. Jesteśmy w martwym punkcie. W jednej zastygłej chwili.

Heshkego olśniła nagle pewna myśl.

– Przecież gdyby tak było, nic byśmy nie widzieli, bo światło zastygłoby również.

Ascar uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Bystra uwaga, obywatelu, tylko że niesłuszna. Czegoś takiego jak zastygłe światło w ogóle nie ma. Prędkość światła jest stała dla każdego obserwatora, co równa się stwierdzeniu, że, ściśle rzecz ujmując, nie jest to w ogóle prędkość. Tylko nieliczni laicy potrafią to zrozumieć.

Ascar dał jakiś znak pilotowi.

– Tak czy owak, z przyczyn praktycznych musimy badać środowisko wyposażone w te same cechy, które i my posiadamy, czyli środowisko, które się rusza.

Pilot wykonał jakąś operację na desce rozdzielczej. Wrona zerwała się, machnęła skrzydłami i odleciała. Trawy zafalowały od podmuchu wiatru.

– Posuwamy się teraz w kierunku przyszłości w tempie sekunda na sekundę, czyli zgodnie z upływem czasu, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Taki przepływ utrzyma się teraz automatycznie. Możemy wyjść na zewnątrz.

Właz rozsunął się z cichym świstem. Do środka wpłynęło świeże powietrze. Heshke cofnął się w głąb kabiny, zabrał widkamerę, worek z narzędziami i torebkę na próbki, po czym podążył za Ascarem.

Nie mogło być większych wątpliwości. Zdjęcia znalezione w Jejos nie wyszły z rąk fałszerza. Nie było żadnego przypadku ani zbiegu okoliczności. Zdjęcia istotnie przedstawiały ruiny, pośród których Heshke stał teraz z Ascarem.

Za nimi na trawiastym pagórku odpoczywała machina czasu, strzeżona przez jednego z tytańskich oficerów. Drugi ustawił się tuż poza obrębem ruin, aby w razie czego sygnalizować niebezpieczeństwo. Bóg raczy wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo mogło na nich czyhać w samym środku nicości, trzysta lat wstecz od normalnego życia; mimo to Tytan trwał sztywno w regulaminowej postawie.

To się po prostu nie mieściło w głowie, że zabrnęli oto na odległość trzystu lat w głąb nie-czasu. Heshke czuł w powietrzu świeżość lata, słońce świeciło, wszystko dookoła wydawało się kojąco zwyczajne.

– Nie ma pan żadnych wątpliwości? – zapytał Ascar.

– Żadnych. Znam te ruiny jak własną kieszeń. Zajmuję się nimi od lat. To z pewnością Ruiny Hatharu... w stanie, jakiego należałoby się spodziewać w trzysta lat po naszych czasach. Musimy się znajdować w przyszłości.

– Nie, jesteśmy w przeszłości.

Ascar zmarszczył brwi nieudolnie hamując irytację.

– Ależ... – Heshke położył dłoń na zwietrzalej powierzchni budowli Obcych i natychmiast poczuł działający na podświadomość dreszcz, który już niejednokrotnie go przy tym przeszywał.

– W takim fazie stoimy wobec paradoksu, który podtrzymywałby hipotezę Tytanów: przeszłość i przyszłość uległy niewyjaśnionemu wymieszaniu i nic z tego, co obserwujemy, nie jest rzeczywistością. Muszę jednak wyznać, że i tę hipotezę skłonny byłbym odrzucić. Te szczątki są zbyt doskonałe, zbyt solidne i autentyczne w każdym swoim szczególe. Musiały rzeczywiście przez trzysta lat ulegać stopniowemu rozkładowi fizycznemu w stosunku do ruin z moich czasów, a efekt tego procesu jest dokładnie taki, jakiego mógłbym oczekiwać.



– A jednak jesteśmy w przeszłości – upierał się Ascar.

Heshke zarzucił widkamerę na ramię i potrząsnął głową, jakby ze smutkiem.

– Proszę się zbliżyć – powiedział.

Gramoląc się przez gruzowisko, fizyk podążył za nim w głąb krzyżówkowego układu niskich murów, który sugerował, że w tym właśnie miejscu znajdował się niegdyś zespół komnat. Archeolog przykucnął obok ściany, z której wcześniej usunął poduszczkę mchu.

– Zgadza się – stwierdził patrząc na Ascara. – Widzi pan te żłobienia?

Ascar przystanął. Ostre słońce oświetlało niewielkie kępki mchu, kurz i migotliwe głązy, podkreślając przy tym cieniste linie krótkich rowków wyżłobionych w trzech kamiennych blokach, które tworzyły otwarty kwadrat.

– Widzę.

– Sam pomagałem je zrobić. Spodziewaliśmy się w tym miejscu ukrytej niszy, schowka w ścianie. Okazało się zresztą, że słusznie. Znalazłszy skrytkę, odstawiliśmy głąz na miejsce. Pokażę panu, proszę mi pomóc.

Wyciągnął z torby dwa łomy. Ascar pomógł mu podważyć płytę, która poddała się bez większego oporu: była cieńsza i nie tak solidnie założona, jak to się na pozór wydawało. Heshke poświecił w głąb niszy i usunął się na bok, aby umożliwić Ascarowi zajrzenie do środka.

– Zakład o roczną pensję, że jest tam jakiś napis. Proszę dokładnie poszukać.

Ascar wsunął głowę w otwór niszy. Wnęka była większa, niż to zapowiadały drzwi, i pachniała wilgocią, za to nie było w niej ani śladu kurzu. Na przeciwległej ścianie widniał rząd wielkich liter, wyżłobiony starannie elektrycznym dłutem pneumatycznym.

– Szkielet numer trzydzieści jeden – przeczytał wolno Ascar. – Naczynie szklane numer czterysta osiemdziesiąt dziewięć.

Heshke zaśmiał się z satysfakcją.

– No właśnie. Sam to pisałem. Wykaz znalezionych tu przedmiotów i ich numery katalogowe.

Ascar wyprostował się i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Ma pan dowód – powiedział Heshke. – Znajdujemy się oto za naszym czasem, a nie przed nim.

– Pan jest tu fachowcem – odparł potulnie Ascar. Nie będę się spierać.

Machina czasu wystartowała z gwałtownym zrywem. Heshke w bezmyślnym rozleniwieniu

obserwował przez okno kalejdoskop kształtów i barw, któremu towarzyszyło stłumione buczenie silnika. Przez pierwszą część podróży powrotnej do ośrodka badawczego Heshke usiłował nawiązać rozmowę z Leardem Ascarem, ale fizyk zamknął się w sobie i siedział bez ruchu, niewidzącym wzrokiem wpatrzony w podłogę, pogrążony czy to w otepieniu, czy w głębokich rozmyślaniach.

Heshke poprosił pilotów o zezwolenia na zdjęcie pasów bezpieczeństwa, które nie tylko wydawały się bezużyteczne, lecz potęgowały Jeszcze monotonią podróży. Odmówili mu jednak, wyjaśniając, że w razie konieczności nagłej zmiany kursu, może nastąpić gwałtowne szarpnięcie.

Był ciekaw, jak szefowie tytańskiego ośrodka badawczego przyjmą jego sprawozdanie. Na razie podzielił się swymi odkryciami z jednym i drugim pilotem. Obaj, jako doskonale wyszkoleni fachowcy, wyciągnęli właściwe wnioski, ale z typową dla Tytanów wyniosłością nie skomentowali ich ani słowem.

Nieco urażony Heshke zatrzymał wzrok na szerokich, opiętych mundurami plecach pilotów. To tacy jak oni, przypomniał sobie, zabili jego przyjaciela, Blare'a Oblomota. Nagle Heshke uświadomił sobie, że od tamtego wypadku żyje jak pod narkozą, jak we śnie... W żaden sposób nie potrafił przyjąć do wiadomości tego, co się wówczas zdarzyło. Z drugiej strony. Blare – do czego sam się w końcu przyznał – był zdrajcą, zdrajcą ponad wszelką wątpliwość...

Gong, który teraz zadźwięczał, różnił się tonem od tego, który zapowiadał, że osiągnęli cel podróży w czasie.

– Zbliżamy się do Absolutnej Teraźniejszości – poinformował pasażerów pilot.

Ascar gwałtownie podniósł wzrok. W tej samej chwili drugi pilot powiedział coś niewyraźnie do kolegi, który następnie przechylił się, by zajrzeć w jego część deski rozdzielczej.

– Obywatelu Ascar, zdaje się, że mamy jakieś uszkodzenie na rejestratorze Absolutnej Teraźniejszości odezwał się pilot nie kryjąc zdumienia.

– Co tam? – Ascar uwolnił się z pasów i jednym susem dopadł wskazanego aparatu. Studiował go z wielką uwagą. Heshke też widział urządzenie ze swojego miejsca; chodziło o podłużny wyskalowany instrument, który zaświecił się na dźwięk gongu. Wskaźnik posuwał się dotąd systematycznie w kierunku zera, oznaczającego wędrującą falę czasu.

Nagle strzałka zaczęła drgać i tańczyć po skali, to w stronę zera, to znów w przeciwnym kierunku.

– Bez rejestratora będzie nam trudno zsynchronizować się z punktem „teraz” – ostrzegł pilot.

– Uszkodzenie, akurat! – zadrwił Ascar. – Na pewno jest w porządku.

– Daje nieprawdopodobne odczyty – upomniał go wyniośle Tytan. – Najwyraźniej nastąpiła awaria urządzenia.

Ascar zamarł na chwilę.

– Niewykluczone – stwierdził z namysłem. – Aparat rejestruje obecność czasu realnego, niedostatecznie jednak silną, by uznać czas za absolutny. No tak, niech to diabli, przecież każdy z nas nosi w sobie fragment czasu – jak każdy, kto podróżuje w czasie!

Ascar zbliżył się do okna, nastawił je na niemal pełną przejrzystość, spojrzął na zewnątrz, po czym przeszedł na przeciwległą stronę kabiny i wykonał tę samą operację przy drugim oknie. Na tle szalonego kalejdoskopu widać było wyraźnie cylindryczny obiekt, zaokrąglony na obu końcach, który sunął łeb w łeb z nimi.

Była to idealna kopia maszyny czasu Obcych, którą Heshke oglądał na filmie.

Heshke z wielką ostrożnością odpiął pasy i stanął przy oknie obok Ascara, zafascynowany tym, co zobaczył za połyskliwą szybą. Nagle poczuł, że zza przyćmionych okien wehikułu Obcych obserwują go oczy – obce oczy.

– O, wielka Matko Ziemi! – jęknął pod nosem jeden z Tytanów.

Ascar odwrócił się ku niemu gwałtownie.

– Człowieku, na litość boską, nie daj mu lecieć za nami do Ośrodka!

Tytan zrozumiał go natychmiast.

– Na miejsca! – rozkazał.

Heshke nie zdążył jeszcze należycie zapiąć pasów, gdy maszyna wykonała zawrotną pętlę i z pełną prędkością ruszyła w – przypuszczalnie – odwrotnym kierunku. Heshke przez chwilę nie miał co do tego absolutnej pewności. Ledwo udało mu się uniknąć upadku na podłogę. Zapiął pasy.

Wskaźnik Absolutnej Teraźniejszości rozbłysnął jaśniejszym światłem.

– Zsynchronizujemy się z teraźniejszością w odległej części Ziemi, a stamtąd, już konwencjonalnymi metodami, przeniesiemy się do Centrum – oświadczył Tytan. – W ten sposób unikniemy pościgu Obcych.

– Nie – sprzeciwił się Ascar. – Jedźmy dalej.

– Po co? – przerwał ostro pilot, – Mamy rozkaz natychmiast powrócić do Ośrodka.

– Dalej, dalej w przyszłość! – głos Ascara drżał z przejęcia. – Muszę coś sprawdzić.

Wszyscy musimy to coś sprawdzić. No, jazda!

Pilot spojrział przez ramię, zaniepokojony – tak samo jak Heshke – ekscytacją fizyka.

– Proponujecie, abyśmy zmienili harmonogram lotu, obywatelu? Do tego nie wolno nam dopuścić! Wszelkie wasze propozycje należy najpierw przedłożyć grupie dowodzącej.

– Tak, tak, tytańskim ideologom, ślepym na fakty, nawet jeśli mają je tuż pod nosem! – burknął Ascar nie kryjąc wściekłości. – Będą odkładać, odkładać i odkładać, aż zrobi się za późno, bo przyjdzie koniec ludzkości.

Ascar znowu wstał. Heshke ze zgrozą stwierdził, że fizyk trzyma w ręku broń, którą musiał mieć ukrytą gdzieś w kombinezonie. Z głośnym okrzykiem Heshke wyskoczył z pasów i niepewnie postąpił do przodu, w niejasnej intencji powstrzymania Ascara. W tej samej chwili Ascar dał susa, złapał drążek na desce rozdzielczej i jednym ruchem przesunął go do oporu. Machina czasu przyspieszyła gwałtownie, przeskoczyła Absolutną Teraźniejszość i w szaleńczym tempie ruszyła w przyszłość. Towarzyszące temu szarpnięcie zważyło Heshkego z nóg; upadł, uderzając z całej siły głową o poręcz fotela, i ogarnęła go ciemność.

Odzyskawszy przytomność stwierdził, że znajduje się w swoim fotelu, luźno zabezpieczony pasami. Straszliwie bolała go głowa, o czym jednak natychmiast zapomniał, przerażony i sparaliżowany tym, co zobaczył.

Pod ścianą leżał drugi pilot – najwyraźniej martwy. Rozbrojony Tytan stał pod przeciwległą ścianą, z rezygnacją obserwując Ascara, który nonszalancko sterował machiną, nie spuszczając go przy tym z oka.

– Co... co tu się dzieje? – wychrypiał Heshke.

Ascar spojrział na niego przelotnie.

– Witamy. Mieliśmy tu małą sprzeczkę. Porucznik Hask zginął od kuli. Naprawdę nie moja wina – burknął zgryźliwie.

– A obca machina czasu? – zapytał po chwili Heshke.

– Zgubiliśmy ją – Ascar zdobył się na oszczędny, ironiczny uśmiešek. – Cisnąłem do dechy, prawie sto pięćdziesiąt lat na godzinę.

Okrzyk: „Pan oszalał!” jakoś nie przeszedł Heshkemu przez gardło.

– Gdzie teraz jesteśmy?

– Jakieś czterysta lat w przyszłość.

Heshke położył się w fotelu, walcząc z uczuciem beznadziejności. Wszystko wskazywało na

to, że nerwy Ascara nie wytrzymały napięcia. Heshke uznał, że on i pilot muszą teraz cierpliwie czekać na okazję obezwładnienia fizyka.

– W przyszłość? Co spodziewa się pan tam zobaczyć? – zapytał z trudem wymawiając słowa.

– Sam pan mówił, że przyszłość jest martwa i pusta.

– Mamy przed sobą fakty – odparł Ascar. – Po czym poznać prawdziwego naukowca, panie Heshke? Po tym, że fakty traktuje dosłownie, nawet jeśli przeczą teorii, i z nich jedynie wyciąga najoczywistsze wnioski. Jak dotąd nie miałem okazji tak postępować.

– O jakie fakty panu chodzi? – Heshke nerwowo zerknął na Tytana, który beznamytnie przypatrywał się Ascarowi.

– Przede wszystkim ten oczywisty fakt, że ruiny budowli obcych najeźdźców starzeją się wstecz. Jeśli fakt ten potraktujemy dosłownie, należy mniemać, że ich stan oryginalny znajdziemy w przyszłości. I teraz właśnie będziemy go szukać.

Przerwał mu gong. Rejestrator Absolutnej Teraźniejszości rozbłysnął mocnym światłem, już po raz drugi, odkąd rozpoczęli podróż do domu.

– Jest! – Ascar aż zapiał z zachwytu.

Tytan w zdumieniu rozdziawił usta. Wpatrywał się w aparat, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Przecież jesteśmy o czterysta lat od Absolutnej Teraźniejszości!

– Czterysta lat od naszej Absolutnej Teraźniejszości.

– Innej nie ma – upierał się bez przekonania Tytan. Dowodzą tego wasze własne równania... przecież to wam zawdzięczamy rozszyfrowanie tajemnicy czasu...

– Człowiek ma prawo czasem się pomylić – odparł Ascar bez uśmiechu. – Jak wam się zdaje, co ja robiłem przez te trzy pierwsze godziny podróży powrotnej? Siedziałem i myślałem o niebieskich migdałach? – Chrząknął pogardliwie. – Przeciwnie, cały czas myślałem właśnie o tych wzorach, które wam się wydają czymś na kształt Pisma Świętego... I przyszło mi do głowy, że może wcale nie wiem o czasie tak dużo, jak mi się kiedyś zdawało, i że tamte równania mogą być błędne. Zacząłem więc zastanawiać się nad szeregiem innych rozwiązań. Na przykład nad takim: a jeśli Absolutna Teraźniejszość nie jest zjawiskiem unikalnym, za jakie ja brałem? Może istnieją jeszcze inne fale czasu, oddzielone od naszej o miliony, miliardy lat – albo tylko o stulecia? Może istnieje cały kompleks fal czasu, tworzących punkty węzłowe fali kosmicznej, która ogarnia swą wibracją cały wszechświat? Tak czy siak, doszedłem do wniosku, że nawet

gdybym chciał zmodyfikować swoje wzory pod kątem wprowadzenia którejkolwiek z powyższych możliwości, podstawowe założenie, na którym opiera się cała teoria ruchu czasu, pozostałoby i tak niezmienione... Należy zatem poświęcić całą koncepcję teoretyczną, nawet gdyby oznaczało to zarazem konieczność poświęcenia wielkiej Matki Ziemi.

Nie rezygnując z wywoodu Ascar bez wysiłku manipulował machiną czasu, dzieląc uwagę między konsolę a obu sterroryzowanych pasażerów. Jego prawa ręka ani na moment nie odsunęła się od broni na więcej niż kilka centymetrów.

– A jeśli – podjął swój natchniony monolog – jakaś inna fala czasu podąża w kierunku przeciwnym do naszej? Nie z przeszłości w przyszłość, zgodnie z tym, jak my je pojmujemy, lecz z przyszłości w przeszłość? W tym kontekście już same słowa „przeszłość” i „przyszłość” tracą jakiegokolwiek znaczenie: wszystko, co poruszając się zostawiamy z tyłu, jest przeszłością, wszystko, co mamy przed sobą, to przyszłość... Jest!

Ostatnie słowo wrzasnął na całe gardło. Wskaźnik rejestratora Absolutnej Teraźniejszości zrównał się z zerem i zatrzymał nieco poza nim.

Ascar jednym ruchem gałki nadał oknom pełną przejrzystość.

– Popatrzcie – zaprosił pozostałych. – Jesteśmy w zatrzymanym punkcie czasu.

Heshke podniósł się powoli i zbliżył do okna.

Zobaczył Ziemię – ale i nie Ziemię. Niebo było błękitne, usiane nieruchomymi, majestatycznymi obłokami. Wielkość, kolor i blask słońca były dokładnie takie, jak pamiętał. Na tym jednak kończyło się wszelkie podobieństwo pejzażu do Ziemi. Owszem, była jeszcze trawa – zielona trawa... z tym, że zieleń miała odcień oliwkowy z domieszką perłowej szarości; natomiast wszystkie inne rośliny miały niewiele wspólnego z florą ziemską: koślawe, skarłate drzewka nie przypominały Heshkemu żadnego z ziemskich drzew.

Drzewa te, porastające zbocze trawiastego występu, gdzie osadził maszynę Ascar, nie na długo zaabsorbowały uwagę Heshkego. Kątem oka zauważył jeszcze trudne do zidentyfikowania zwierzę latające, zamarle w powietrzu jak wrona z początkowej fazy ich podróży – i nagle poraził go niewiarygodny widok, jaki roztaczał się u stóp urwiska.

Zobaczył Ruiny Hatharu – ale nie te, które badał przez wiele lat, ani też nie te sprzed wieków. Zobaczył osadę Hathar w stanie rozkwitu, nietkniętą i zamieszkaną. Oczarowany wpatrywał się w nieskazitelne, migocące stożkowate wieże, budynki publiczne, Katedrę (której funkcji nie zdołał jeszcze rozszyfrować), skupiska domów, place, drogi...

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie to już wielokrotnie odbudował w wyobraźni. Obce – ale żywe. Pulsujące życiem siedlisko pozaziemskiej społeczności.

Członkowie tej społeczności gęsto zaludniali Hathar. W trójkątnych bramach, na ulicach, na placach – wszędzie roilo się od włochatych postaci o spiczastych ryjkach. Wszystkie zamaryły w pół gestu, jak na trójwymiarowej fotografii: machina nie przemieszczała się teraz w czasie w żadnym kierunku.

– Obcy najeźdźcy! – szepnął ze zgrozą Tytan, który, podobnie jak Heshke, zapomniał o milczącym porozumieniu w celu obezwładnienia Ascara.

– Właśnie, tyle że nie najeźdźcy. Choć, w pewnym sensie, obcy.

Tytan zacisnął pięści.

– A więc przez cały czas byliśmy w błędzie. Wróg atakuje z przyszłości. Tu właśnie musiał urządzić sobie ziemskie bazy.

– Ależ nie! – przerwał mu Ascar tonem pobłażliwego belfra. – Proszę się przyjrzeć: wprawię nas w ruch przy stałej biologicznej prędkości sekunda na sekundę.

Wykonał stosowną operację na przyrządach. Scena ożyła. Obłoki poszybowały po niebie, drzewa zadrżały, obcy mieszkańcy Hatharu ruszyli przez ulice i place.

– Poruszają się do tyłu – stwierdził Heshke, zupełnie już ogłupiały.

Tak też istotnie było. To, co przed sobą widzieli, przypominało film puszczonej od końca.

– To dlatego, że przyjęliśmy właściwe nam poczucie czasu – wyjaśnił Ascar – które nie odpowiada ich poczuciu. Zobaczycie, co się stanie, gdy zacznę cofać maszynę w tym samym tempie, sekunda na sekundę.

Nacisnął odpowiedni guzik. Na ich oczach zdarzenia za oknem zaczęły toczyć się w przeciwną stronę: obce stworzenia posuwały się już normalnie, do przodu, lekko powłócząc nogami i w postawie nie całkiem pionowej.

– Oto normalne dla nich poczucie czasu – objaśnił Ascar. – Odwrotność naszego. Rozumiecie teraz? Te stworzenia nie są na Ziemi obcymi. To stworzenia ziemskie. Produkt ewolucji, od którego dzielą nas miliony lat. Na tej samej zasadzie nasze czasy są przyszłością dla nich. Na Ziemi przebiegają dwa całkowicie od siebie odmienne procesy ewolucyjne, rozdzielone w czasie i przynależne dwóm różnym strumieniom czasu – strumieniom czasu o przeciwnych kierunkach. Które muszą się zderzyć.

Gdy Ascar skończył mówić, Heshke i porucznik na jakiś czas popadli w stan szoku. Patrzyli

tępo przed siebie nie mówiąc ani słowa.

– Ale Matka Ziemia... – wydukał Tytan.

Ascar zaśmiał się bezlitośnie.

– Matka Ziemia! – świadomie wymówił te dwa słowa jak przekleństwo.

Heshke odwrócił się do niego, wskazując kciukiem scenę za oknem.

– Czy nie zanadto nas widać? Co będzie, jak nas tu złapią?

– Nie są w stanie nas zobaczyć. Nie jesteśmy zsynchronizowani z ich terażniejszością, podążamy za nią w odstępie kilku minut.

– Zderzenie! – powtórzył Tytan ze zgrozą. – To niepojęte! Co się wtedy stanie?

Ascar zaśmiał się znowu, jeszcze straszniej i okrutniej.

– Nie domyślacie się? Oba procesy czasowe dzieli teraz odległość zaledwie czterystu lat, i obie strony już uświadomiły sobie nawzajem swoją obecność. Każda ze stron przyszykuje przeciw drugiej zmasowany atak. – Oczy Ascara lśniły, jakby fizyk dał się bez reszty pochłonać przeraźliwej wizji. – Mimo że fale czasu będą nadal odległe od siebie o całe wieki, a ich natura nadal pozostanie niewyjaśniona, proces zagłady będzie postępował. Każda z dwu cywilizacji obserwując magiczny rozrost drugiej we własnym wnętrzu, widząc, jak z każdym rokiem cywilizacja wroga staje się coraz młodsza, ulegać będzie rosnącemu przerażeniu i hysterii. W końcu obie strony będą usiłowały manipulować tym samym materiałem z dwóch różnych punktów czasu! Lecz wszystko na próżno, bo jakież może być wynik nieuchronnego zderzenia obu strumieni czasu? Czy cokolwiek zdoła przetrwać podobny wstrząs? Nastąpi unicestwienie. Unicestwienie i absolutny zanik wszelkiego czasu...

Tytan z wielkim wysiłkiem uwolnił się z magii słów Ascara. Stanął na baczność.

– Nie ma chwili do stracenia. Należy bezzwłocznie powiadomić o sytuacji naczelnego dowództwo.

– Tak, to nasz obowiązek – Ascar drżał na całym ciele. Zwolnił fotel pilota, pozostawiając broń na pulpicie. I drżącą dłonią otarł czoło. – Zajmijcie swoje miejsce, poruczniku.

Tytan zasiadł przy konsolce i nastawił przyrządy. Wyglądało na to, że w pełni odzyskał już równowagę. Odezwał się z miazdzącą pewnością siebie.

– Należy przyznać, że oddaliście ludzkości niebagatelną przysługę, obywatelu Ascar. Mimo to, po powrocie w Absolutną Terażniejszość, staniecie przed sądem za odmowę wykonania rozkazu i zabójstwo na osobie Tytan-Oficera.



– Na miłość boską, niech go pan zostawi – przerwał strwożonym głosem Heshke. – Nie widzi pan, że ten człowiek oszalał?

– Oszalał... – powtórzył Ascar. – Kto by nie oszalał... Pięć lat samotności... tam... Każdy by oszalał. Ten ciężar... świadomość, że jest się jedynym człowiekiem na Ziemi zdolnym rozwiązać zagadkę... zdolnym odkryć przed ludzkością tajemnicę podróży w czasie. Nie wiedziałem, czy mi się uda. Wróg miał nad nami przewagę. Pozostawało przewyższyć go lub zginąć... A teraz... zginiemy i tak.

Szum silników wzrastał, w miarę jak nabierali szybkości. Machina czasu ruszyła w przeszłość. Heshke uspokoił się widząc, że przy sterach znów siedzi barczysty Tytan, a Ascar – przynajmniej na pozór – zamknął się w sobie.

Blisko godzinę podróżowali w milczeniu. Heshke zdrzemnął się, gdy wtem poderwał go przeraźliwy okrzyk pilota, któremu towarzyszyło silne szarpnięcie maszyny. Pilot usiłował wyminąć jakąś przeszkodę.

Heshke zauważył, że rejestrator Absolutnej Teraźniejszości znów pulsuje zmiennym światłem. Pilot nastawił okno na pełną przejrzystość: zobaczyli, że ściga ich obca machina czasu. Ascar wydał nieartykułowany okrzyk i w tej samej chwili poczuli dojmujący wstrząs, po którym pojazd zaczął obłądnie wirować.

Heshke dostał zawrotu głowy. Gdy opanował mdłości, machina trwała w bezruchu, dziwnie pochylona, z wielką dziurą w jednej ścianie. Z siłowni dobiegało urywane, zgrzytliwe buczenie.

Heshkego, nie wiedzieć czemu, zdumiało odkrycie, że obca machina czasu była uzbrojona.

– Cholera! – jęczał Ascar. – Cholera!

Heshke podniósł się. Tytan już stał przy dymiącym otworze w ścianie i wyglądał na zewnątrz, Heshke przyłączył się do niego i zobaczył wiszący w powietrzu cygarowaty przedmiot, półrealny, jakby za mgłą, który wreszcie zniknął zupełnie. Heshke cofnął się odruchowo, lecz widząc, że Tytan ostrożnie wychodzi na zewnątrz, podążył za nim i rozejrzał się dookoła.

Jeżeli śmierć oznacza nieobecność życia, to Heshke nigdy jeszcze nie oglądał takiego triumfu śmierci. Dookoła nich roztaczał się szary, sterylny krajobraz, pozbawiony jakichkolwiek wyróżników, jeśli nie liczyć kilku pagórków na zachodzie i zmurszałych ruin w kierunku północnym. Ani źdźbła trawy, całkowity bezruch. I pył, Heshke nie wyobrażał sobie, że takie nagromadzenie pyłu w ogóle jest możliwe, chyba że na powierzchni Księżyca.

Trupioblady Ascar wygramolił się za nimi z kabiny.

– Siłownia zniszczona! – wyrzucił przez ściśnięte gardło. – Skurczybyk wiedział dokładnie, gdzie celować!

Bezradnie rozejrzał się wokół.

– Pytał mnie pan o przyszłość, panie Heshke – oto ona. Oto przyszłość, do której czas jeszcze nie dotarł, a w której my ugrzęźliśmy po pachy.

A więc to jest to, czego się bał, pomyślał Heshke.

– Nie udało się – rzekł porucznik załamującym się głosem. – Towarzysze nie poznają naszego sprawozdania...

– No i co z tego, idioto – warknął Ascar. – Życie na Ziemi potrwa jeszcze dokładnie dwieście lat, potem nie będzie już nic.

Krew i ziemia, pomyślał Heshke. Krew i ziemia.

Stali we trzech, wpatrzeni w martwy krajobraz.

## Rozdział piąty

Z dala od Ziemi, gdzieś w pół drogi między Altairem a Gwiazdą Bernarda – czyli w miarę możliwości jak najdalej od innych ciał niebieskich – dryfował, jakby wtopiony w czerń przestworzy, KZM: Kosmiczny Zespół Międzygwiazdny, zwany przez swych mieszkańców Miastem-Retortą. Nazwa oddawała jego wygląd zewnętrzny, KZM miał bowiem kształt podwójnej retorty, czy też klepsydry, z tym, że niezwykle smukłej. Miasto-Retortę można by też nazwać miastem w butelce, gdyż jego powłoka, prócz przezroczystości, miała również i szklisty połysk. Ktoś, kto oglądałby KZM z zewnątrz, dostrzegłby w środku szklistego pancerza coś w rodzaju bliźniaczych wrzecion, taki był bowiem kształt wewnętrznej konstrukcji miasta. Poprzez kurtynę światła obserwator dostrzegłby również nieregularny ruch środków transportu wewnętrznego w obu kierunkach.

Historia miasta sięgała pięciu tysięcy lat, pozbawionych z reguły bardziej dramatycznych zdarzeń. Rząd KZM nie wykluczał możliwości istnienia gdzieś w promieniu stu lat świetlnych od Słońca innych podobnych sobie komórek, ocalałych cząstek dawno wymarłych cywilizacji ziemskich, gdyż idea rezygnacji z życia na planetach i zakładania sztucznych osad w próżni międzygwiazdnej była niegdyś na Ziemi dość modna. Rząd KZM nie miał jednak co do tego żadnej pewności, ani też nie odczuwał potrzeby penetrowania kosmosu w poszukiwaniu znajdujących się tam ewentualnie krewniaków.

Dwie połowy KZM nazywano potocznie Retortą Dolną i Retortą Górną, które to nazwy oddawały ich układ społeczny, nie zaś przestrzenny. Oficjalnie KZM dzielił się na Retortę Produkcyjną i Retortę Konsumpcyjną. Nikt, poza noworodkami, nie miał prawa przenosić się z jednej retorty do drugiej.

Prawie nikt.

Hiu Siu-Ming wyłączył maszynę i przez dłuższą chwilę toczył biednym wzrokiem po hali produkcyjnej: wielką, przestronną halą wypełniały rzędy maszyn, po części takich jak ta, przy której pracował Siu-Ming. Zaczęła już nadchodzić następna zmiana: robotnicy rozmawiali, przeglądali faktury, uruchamiali maszyny, od pierwszej chwili zaabsorbowani pracą.

Większość zmiany Siu-Minga rozeszła się już do domów. Siu-Ming też kierował się właśnie ku wyjściu, kiedy zatrzymał go uśmiechnięty chłopak, nieco od niego starszy.

– Cześć, Siu-Ming. Na moim wydziale niewiele się dzisiaj dzieje. Może byś mi wymyślił jakąś robotę?

Siu-Ming zawahał się. Sam pracował akurat nad czymś, co go bardzo wciągnęło, zamierzał dokończyć pracę następnego dnia. Zainteresowała go do tego stopnia, że odłożył realizację końcowego stadium tamtego projektu, aby uporać się z tym, co robił tutaj. Rzucił okiem w dół, na półwykończony zespół precyzyjnych elementów – nowy typ kalkulatora zamówiony przez Górną Retortę do urządzenia, o którym Siu-Ming nie miał zielonego pojęcia.

– Może byś się wziął za to? – zaproponował Siu-Ming bez cienia zachęty. Wydobył projekt i wyjaśnił koledze wszystkie szczegóły, a także jak daleko sam zaszedł z robotą. – Nie ma się co spieszyć – dodał. – Termin dopiero za miesiąc z hakiem.

Młody robotnik kiwnął głową. Oczy paliły mu się do roboty.

– Znowu zwolnione tempo! Nie cierpię takiej ślamazarnej roboty!

Siu-Ming wyszedł z hali, powiesił w szafce fartuch ochronny, umył ręce i twarz, a na koniec odświeżył się specjalnym dezodorantem. Dzięki mgiełce esencji hormonalnej, która osiadła na jego skórze i nozdrzach, poczuł się świeżo i rześko; zmęczenie po wielogodzinnym wysiłku przeszło jak ręką odjął.

Siu-Ming, smukły i dobrze ubrany, zszedł spiralnymi schodami do windy. Gorączkowo rozmyślał o swych tajemniczych planach, które to myśli przerwał zniecka Li Kim, dawny przyjaciel ze szkoły zawodowej, którego spotkał w mknącej na poziom mieszkalny windzie. Li Kim zaproponował krótki mecz ping-ponga. Nie bardzo wiedząc, jak odmówić, Siu-Ming wysiadł z windy razem z nim i obaj udali się do najbliższej świetlicy.

Kim wziął z automatu dwie puszki piwa i jedną podał Siu-Mingowi. Minęli szpaler automatów do gry, a następnie szereg wejść do teatrów, nieco dalej spoza ściany dobiegał dudniący hałas, prawdopodobnie odgłos żywiołowej rozgrywki w krykieta.

Ping-pong, pomyślał Siu-Ming. Tak, tutaj grywa się w ping-ponga. W Górnej Retorcie ping-pong jest grą nieznaną. O, Czasie Wszechmocny! Tam to są gry!

Ping-pong w wersji uprawianej przez mieszkańców Miasta-Retorty był jednak grą całkiem interesującą, chociaż proletariacką. Znaleźli stół i Siu-Ming ujął raketkę. Wklęsły stół w kształcie szerokiego, płytkiego koryta przedzielony był cienką aluminiową ścianką. Li Kim dopił piwo, uśmiechnął się szeroko, rozejrzał po sali i zaserwował.

Piłka kilka razy przemknęła rykoszetem między graczami. Kim był mistrzem ping-ponga,

o czym Siu-Ming od dawna wiedział. Wklęsła powierzchnia stołu wymagała szczególnie sprawnego oka i ręki, ale Kim miał coś więcej.

Siu-Ming omal nie stracił piłki, dosięgnął jej raketką w ostatniej chwili i ściał w kierunku lewej strony aluminiowej przegrody.

Tuż nad przegrodą piłka nagle rozplynęła się w powietrzu.

Zniknął również Kim. W ułamek chwili później piłka szybowała z impetem w stronę Siu-Minga, a Kim pojawił się z powrotem na swoim miejscu przy drugim końcu stołu.

Był to pokaz głównej atrakcji Miasta-Retorty: możliwości manipulowania czasem. Stół podzielony był na strefy czasowe, a momenty teraźniejszości każdej ze sfer dzieliły ułamki sekundy. Trzeba tu było czegoś więcej niż doskonałego refleksu: aby przewidzieć, kiedy i z którego punktu przyjdzie piłka, należało posiadać zdolności niemal parapsychicznie. Fazy można było modulować w kierunku większej lub mniejszej różnicy czasu, a także – i to potrafili tylko nieliczni – wprawiać w ruch rotacyjny, dzięki czemu piłka wybita w lewy róg wracała nieoczekiwanie z prawej strony. Możliwe było nawet odbicie piłki przed jej odebraniem.

Robotnicy z Dolnej Retorty traktowali te techniczne zabawy z pełną nonszalancją. Technika była, bądź co bądź, ich żywiołem.

Kim był w wyśmienitej formie. Znikał i pojawiał się szybciej, niż Siu-Ming był w stanie go śledzić. Siu-Mingowi szłoby może lepiej, gdyby potrafił skoncentrować się na grze, ale głowę miał zaprzątniętą innymi myślami i myśli te plątały mu ruchy. Kim wygrał.

– Jeszcze raz? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Siu-Ming odłożył raketkę.

– Może innym razem. Tak mi dzisiaj słabo idzie, że aż trudno to nazwać meczem.

– To może w czaso-szachy? Każdy szereg na innym gradiencie czasowym?

Siu-Ming przecząco pokręcił głową. Czaso-szachy wymagały tak niebywałego skupienia uwagi, tak fenomenalnej pamięci, że nie miał ani cienia szansy na wygraną.

– Chcesz trochę odpocząć? To może obejrzymy jakieś widowisko albo pójdziemy do dziewczyn? – nie ustępował Kim.

– Wybacz, Kim, ale mam robotę w domu. Muszę lecieć.

– Rozumiem. No to leć. Ja też już pójdę.

Kim pomachał mu beztrąsko na do widzenia i wielkimi susami popędził ku pstrokatemu przepierzeniu, za którym mieściła się sekcja skoków na trampolinie. Siu-Ming wyszedł z centrum

rekreacyjnego i udał się do domu.

Po drodze myślał, że Kim nigdy nie zrozumiałby tego, co go dręczy. Więcej: zamiary Siu-Minga zaskoczyłyby go i oburzyły. Nie pojąłby ich również nikt inny, i to po obu stronach podzielonego miasta, gdyż ludzie nie są w stanie zrozumieć czegoś, co pozostaje poza sferą ich doświadczeń. Dla wszystkich, z wyjątkiem Siu-Minga, druga retorta – i Górna czy Dolna – była pojęciem abstrakcyjnym...

Winda pomknęła w dół, mijając liczne poziomy fabryk i warsztatów, centra rozrywkowe i strefy mieszkalne. Wsiadłszy z niej nareszcie, Siu-Ming wszedł w labirynt maleńkich uliczek i dotarł w końcu do małego, sympatycznego domku, stanowiącego jeden z identycznych elementów architektonicznej całości. Złożył na zamku odcisk kciuka dostał się do środka.

Dziadek siedział przy stole ze szklanką musującej wody mineralnej. Dziadek był zaledwie o dwadzieścia sześć lat starszy od Siu-Minga (kolejny dowód opanowania czasu przez mieszkańców Miasta-Retorty).

Siu-Ming powitał go z szacunkiem, wziął posiłek z automatu i zabrał się do jedzenia syntetycznej potrawy z ryżu, kurczaka w sosie curry i pędów bambusa.

– Jak tam w pracy? – zagadnął dziadek przyglądając mu się z uwagą. Siu-Ming machinalnie kiwnął głową.

– Nieźle.

Mimo że minęło już dziesięć lat, wciąż zdumiewało go, jak wiele miejsca zajmuje praca w codziennych rozmowach ludzi z Dolnej Retorty. System społeczny działał tu bez najmniejszych zakłóceń: wszyscy podzielali obsesyjne wręcz zainteresowanie produkcją, wytwarzaniem przedmiotów. On sam również się tym interesował – produkcja jest, bądź co bądź, rzeczą ciekawą – ale praca nie pochłaniała całej jego uwagi. Dbał o to, by nie zatracić szerszej perspektywy myślenia, niedostępnej tym... niewolnikom...

Zjadł szybko i rozsiadł się wygodnie, pogrążony w myślach. Dziadek włączył ekran ścienny. Jakiś specjalista wyjaśniał zasadę konstrukcji obwodu zwalniania biegu czasu. Obwód taki istotnie zwalniał bieg czasu, kilkakrotnie przepuszczając cząsteczkę ruchomego „teraz” przez tę samą fazę. Siu-Ming, który znał już objaśnianą metodę, patrzył na program bez zainteresowania. Pomyślał, że zaraz nadadzą jakiś kiczowaty dramat, rewię komediową albo coś w tym stylu.

Poczuł, jak wzbiera w nim fala protestu.

– Szkoda, że nie widziałeś, co pokazują tam, w Górnej Retorcie – rzekł z nieoczekiwaną

gwałtownością.

Dziadek westchnął i spojrzał na niego ze sceptycznym uśmiechem.

– Znowu to samo?

– Ale pomyśl, dziadku, nie chciałbyś zobaczyć, jak tam jest? – zapytał Siu-Ming. – Tam jest absolutnie inaczej. Ludziom żyje się o wiele lepiej, wszystko jest ta kie... luksusowe. Powinieneś to koniecznie zobaczyć.

Dziadek roześmiał się. Był to śmiech łagodny, pełen dobrotliwej tolerancji.

– To robota twojego ojca! – zachichotał. – Lepiej się żyje, mówisz? A ja twierdzę, że gorzej. – Skrzywił się. Nie pracują, nie produkują, co za sens ma takie życie. Ja tam wolę swoje.

I o to chodzi, pomyślał Siu-Ming. Oto podstawa funkcjonowania systemu. Żadna ze stron podzielonego miasta nie zazdrości drugiej. Mieszkańcy Retorty Konsumpcyjnej uważali robotników, z którymi nigdy się nie zetknęli, za bezmyślne roboty; robotnicy zaś twierdzili, że ci, którzy żyją w otoczeniu przeestetyzowanej kultury klas próżniaczych, to zwyczajne trutnie, których nic by bardziej nie uszczęśliwiło niż dobra pożyteczna praca. Tę idealną równowagę mogłaby zakłócić jedynie bezpośrednia konfrontacja obu grup.

Dlatego właśnie system nie sprawdził się w przypadku Siu-Minga.

– Daj sobie spokój – namawiał dziadek. – Żyjemy tu w końcu całkiem nieźle. Nie zaprzataj sobie głowy tymi, co na górze. Niech sobie żyją po swojemu. Mnie wystarczy to, co mam.

System społeczny Miasta-Retorty nie miał chyba sobie równych. Był nie tylko przebiegły, ale i genialny. Wprowadzając rygorystyczną segregację klasową, pozwalał jednocześnie na zachowanie dość specyficznego modelu demokracji: demokracji polegającej na wymianie klas społecznych z każdym kolejnym pokoleniem. W kilka godzin po urodzeniu noworodki odbierano rodzicom i przenoszono do drugiej retorty, gdzie wychowywali je dziadkowie.

Praktyce tej przyświecała prosta, fundamentalna zasada etyczna: człowiek może być skazany na spędzenie całego życia w Retorcie Produkcyjnej, ale ma przynajmniej tę satysfakcję, iż wie, że jego dzieci pławić się będą w wykwintnych luksusach Retorty Konsumpcyjnej. I odwrotnie, każdy mieszkaniec Górnej Retorty zmuszony był odesłać swe dzieci w surowe warunki pracy i dyscypliny Retorty Dolnej, w zamian jednak otrzymywał na wychowanie własne wnuki.

Wszystko szło jak w zegarku. Przez całe stulecia zdarzyło się zaledwie kilka przypadków naruszenia tego porządku, a samych zasad systemu społecznego nie kwestionował jeszcze nikt. Siu-Ming przynajmniej nic o tym nie słyszał. Siu-Ming żałował, że były już pewne precedensy:

może w przeciwnym razie nie dręczyłyby go zmory powszechnego potępienia.

Był bowiem żywym przykładem odstępstwa od panujących reguł, i to jedynym, o ile wiedział, na przestrzeni ostatnich lat.

Jego ojcem był Hiu Siao, wysoki urzędnik państwowy, chyba nawet minister, jak sądził Siu-Ming, w Górnej Retorcie. Musiało z nim być coś bardzo nie w porządku, skoro żyjąc w społeczeństwie, którego członkowie byli od wieków wzorowo przystosowani do akceptacji odwiecznych obyczajów, stwierdził nagle, że nie może pogodzić się z myślą o odesłaniu nowonarodzonego syna do Dolnej Retorty. Łamiąc prawo, zatrzymał dziecko przy sobie i przedstawiał je wszędzie jako przybyłego „z dołu” wnuka.

Zdawało się, że oszustwo musi wyjść na jaw, zwłaszcza że Siu-Ming nie pojawił się tam, gdzie przybyć powinien, a jednak Hiu Siao zdołał utrzymać mistyfikację przez pełne dziesięć lat. Po dziesięciu latach zbrodnia wyszła na jaw. Prawo było surowe: nie przewidywało żadnych wyjątków, Siu-Ming, wychowany w warunkach najdoskonalszej chyba kultury w całej galaktyce, został, mimo młodego wieku, zesłany w absolutnie obce i znacznie surowsze środowisko.

Pierwsze lata były koszmarne i mimo że w końcu przynajmniej po części zaadaptował się do nowych warunków, Siu-Minga nadal dręczyło silne poczucie buntu przeciwko zasadom podziału społecznego.

Jego ojciec zaś – syn człowieka siedzącego teraz po przeciwnej stronie stołu – został ukarany. Kara jeszcze nie dobiegła końca.

Patrząc na dziadka, Siu-Ming uświadomił sobie, że budzi w tym starszym człowieku swoiste zażenowanie. Pojawił się w jego życiu zbyt późno, jak posłaniec z innego świata.

Nie mieli prawa tak postąpić, pomyślał Siu-Ming. Powinienem być pozostać tam, gdzie jest moje miejsce.

Wstał od stołu i odsunął jeden z parawanów, Jakimi poprzegradzane było całe niewielkie mieszkanie. Za parawanem mieścił się mini-warsztat. Z wąskiej przegródki Siu-Ming wyjął wykonany przez siebie model Miasta-Retorty: dwie szklane kolby ściśnięte w punkcie złączenia metalową obręczą, wewnątrz których metalicznie migotały liczne odgałęzienia konstrukcji przypominającej drzewko.

Wykonanie modelu trwało blisko dwa lata. Właściwie nie był to model, lecz mistyfikacja: zabawka Siu-Minga była w pełni sprawną maszynką. Siu-Ming włożył w jej budowę wszystkie swoje umiejętności, całą wyobraźnię i niezmożoną cierpliwość konstruktora. W Retorcie



Produkcyjnej przynajmniej jednej dziedzinie nie można było niczego zarzucić: dziedzinie szkolenia fachowców.

Aparat miał umożliwić Siu-Mingowi przedostanie się tam, gdzie było jego miejsce: do ojca.

Przez kilka następnych godzin Siu-Ming sprawdzał funkcjonowanie modelu używając rozmaitych urządzeń. Wreszcie usłyszał, że dziadek układa się na macie i niemal natychmiast zasypia z cicha pochrapując. Siu-Ming dokonał ostatniego sprawdzianu, po czym prześliznął się do własnej przegródki za parawanem, gdzie nałożył luźną, fałdzistą tunikę z wysokim kołnierzem. Model Miasta-Retorty zapakował w płócienną torbę i wyszedł z domu.

Nieco później mknął szybkobieżną windą w stronę centrum transportowego Retorty Produkcyjnej – wielkiego metalowego pierścienia, którym wszystkie środki transportu przedostawały się do drugiej połowy miasta. Obojętnie mijał widoki, które kiedy indziej uznałby za fascynujące: gigantyczne lśniące konstrukcje ze stali, aluminium i tytanu, składające się w obraz narastania procesu produkcyjnego, który ma swój epilog w sekcji transportowej.

Nie zwracając niczyjej uwagi wysiadł z windy i podjął marsz przez place manewrowe, z których ogromne cylindryczne pojemniki wypychano w górę, do drugiej retorty. Siu-Ming wszedł w rzadko używany, wąski szyb, który biegł poza głównymi punktami kontrolnymi. Zamknąwszy za sobą kilkoro drzwi, znalazł się w półmroku, na spiralnych schodach, które pięły się w górę na pozór bez końca.

Odkrycie tej drogi było owocem żmudnego ślęczenia nad mapami i planarni oraz licznych rekonesansów. Okazało się, że podobnych przejść jest kilka: przestrzeń dzieląca obie retorty była gęsto utkana pasażami komunikacyjnymi. Należało jedynie zaopatrzyć się w odpowiedni sprzęt i ciepłość.

Siu-Ming stanął wreszcie na szczycie schodów, gdzie otwierały się galerie otaczające masywne obręcze, które obiegały całe wnętrze metalowego pierścienia między retortami. Natychmiast poczuł fizyczne sygnały tego, że znajduje się w pobliżu przemożnej siły pola czasu zmiennego, które stanowiło barierę między dwiema społecznościami: ucisk w okolicy przegrody nosowej, lekkie zaburzenia wzroku, ostrzegawcze trzepotanie serca.

Gdyby zdecydował się przebyć tę drogę ukryty we wnętrzu któregoś z kontenerów, skokowe różnice czasu niechybnie by go zabiły, niezależnie od zastosowania wszelkich możliwych środków ostrożności. Teraz, przesuwając się jak dżdżownica przez kanały maszynierii, nie podlegał szczególnemu zagrożeniu. Wydobył z torby model Miasta-Retorty i wcisnął kilka

guzików u podstawy, zapalając w środku kalejdoskop przytłumionych światełek, złocistych, zielonych i białych.

Ponownym dotknięciem guzików dokonał korekty świateł. Od tej chwili model przejął kontrolę nad jego indywidualnym „teraz”, chroniąc Siu-Minga przed naporem ścierających się fal energii wewnątrz zwojów. Dzięki temu Siu-Ming mógł liczyć na łagodniejszy przebieg procesu synchronizacji ze zmiennym czasem, a więc na bezpieczne dotarcie do celu.

Posuwał się do przodu. Monstrualnie wielka przestrzeń, która go otaczała, była tak gęsto wypełniona maszyną, że zdawała się tworzyć zwarty monolit. Im dalej przeciskał się między kabinami i podnośnikami, tym głośniejszy stawał się warkot urządzeń. Dwukrotnie przystanął, aby dostroić model, aż wreszcie odczytał na nim te, czego sam już zdołał się domyślić.

Był oto po drugiej stronie bariery czasu, zsynchronizowany z czasem Retorty Konsumpcyjnej.

Przeszkód pozostało niewiele. Jeszcze przez jakiś czas przeciskał się jak robak przez aparaturę kontroli czasu, aż w końcu pomoc modelu okazała się zbędna. Siu-Ming wyłączył aparat. Zaraz potem natknął się na nieprzewidzianą przeszkodę. Tam, gdzie spędził dziesięć ostatnich lat, nie istniały mapy ani plany Górnej Retorty. Siu-Ming miał nadzieję, że wejście do niej będzie mniej lub więcej lustrzanym odbiciem wyjścia z Retorty Dolnej; spodziewał się schodów prowadzących w dół, umiejscowionych analogicznie do tych, którymi wspinał się w górę. Gdzież one są?

Po chwili poszukiwań znalazł wreszcie to, o co mu chodziło. Nie schody, lecz niewielką ruchomą platformę, która przeniosła go poza obszar metalowego pierścienia. Był w Górnej Retorcie.

W dole widział plac przeładunkowy, gdzie odbierano wszelkie dobra dostarczane miastu przez gorliwych niewolników z dołu. Sekcja przeładunkowa była niemal identyczna jak w Dolnej Retorcie, z tym tylko, że miało się wrażenie, iż wszystkie operacje sterowane są cybernetycznie: zawartość otwartych już pojemników przenoszona była na wózki elektryczne, które rozwoziły produkty do miejsc przeznaczenia.

Siu-Ming zjechał na podnośniku i pewnym krokiem ruszył przed siebie. Nie było powodu do obaw. Wiedział, że nikt go tu nie zatrzyma ani nie spyta, co robi w tej okolicy: w Retorcie Konsumpcyjnej nikogo o nic nie pytano.

Z bijącym sercem obserwował pierwsze różnice między światem, w którym się znalazł,

a tym, z którego przybył. Przede wszystkim – powietrze: będąc przez długie lata robotnikiem, Siu-Ming przestał zauważać, że w całej Retorcie Produkcyjnej powietrze przesiąknięte było nikłym zapachem smaru i substancji przemysłowych. Tu czuło się w powietrzu delikatny, przyjazny zmysłom aromat.

Siu-Ming wielokrotnie odtwarzał sobie w pamięci plan sytuacyjny Retorty. Postanowił nie zwlekając udać się do celu swojej misji.

Najbliższe pół godziny okazało się istnym koszmarem. Siu-Ming mijał przepyszne ogrody i promenady, które zdążyły już zatrzeć się w jego pamięci. Mijał spokojnych, pogodnych ludzi, zdążających bez pośpiechu do zajęć, które mogą poczekać; ludzi wolnych od rygorów i harmonogramów, pochłoniętych abstrakcyjnymi, nobliwymi problemami sztuki, filozofii i innych subtelnych dziedzin kultury. Życie osiągnęło tu szczyt sublimacji, było to życie niepojęte dla mieszkańców Retorty Produkcyjnej, nienawykłych doceniać podobne uroki. Siu-Ming zdołał je poznać i docenić, po czym brutalnie mu je odebrano. Chłonąc atmosferę Retorty Konsumpcyjnej, Siu-Ming czuł, jak całe doświadczenie życia na dole przeistacza się w sen... Otrząsnął się gwałtownie. Nie wiedział, jak długo uda mu się tu pobyc, a miał do spełnienia zadanie wielkiej wagi.

Dotarł do mało ruchliwej dzielnicy Górnej Retorty, którą zajmowały głównie gmachy rządowe. Nie zatrzymywany przez nikogo, mijał świeżo wyperfumowane korytarze w odcieniach oranżu i zieleni, prowadzące do zespołu gabinetów, których wspomnienie przejęło Siu-Minga grozą: tam właśnie przetrzymywano jego ojca.

Przed dziesięciu laty Siu-Ming był świadkiem uwięzienia Hiu Siao. Rada Wymiaru Sprawiedliwości zastosowała karę najstraszliwszą, stosowną do powagi przestępstwa. Brak ludzi w okolicy nie zaskoczył Siu-Minga ani trochę: było to miejsce, którego wszyscy unikali.

Drzwi miały nieskomplikowany zamek, który jednak dawał się otworzyć tylko od zewnątrz. Siu-Ming wydobyl z torby niewielki przyrząd i, pomajstrowawszy chwilę, bez trudu poradził sobie z zamkiem. Znalazł się w oszklonym przedsionku, skąd widać było celę przestępcy. Cella przypominała mieszkanie, które w Dolnej Retorcie zajmował Siu-Ming wraz z dziadkiem, była jednak większa i znacznie dostatniej wyposażona. Okazało się, że nikt jej nie pilnuje. Siu-Ming przyjrzał się uważnie tablicy rozdzielczej wmontowanej w tylną ścianę przedsionka. Tablica upstrzona była indykatorami i kontaktami. Siu-Ming wyjął z torby swoje urządzenie do kontroli czasu i uniósł je na wysokość tablicy. Siedząc zmiany wewnątrz szklanej klepsydry, dotknął

kilku zewnętrznych guzików.

Następnie podniósł mikrofon i przemówił, starając się, aby głos brzmiał możliwie spokojnie i beznamiętnie.

– Czcigodny ojcze. Wiem, że mnie widzisz, chociaż ja nie widzę ciebie. To ja, Siu-Ming, twój syn. Chcę cię uwolnić, jeśli tylko jest to możliwe.

Odłożył mikrofon i wrócił do tablicy w ścianie. Jego własny model Miasta-Retorty zakończony był z jednej strony metalową płytką – którą teraz Siu-Ming przytknął do deski rozdzielczej. Krążące wewnątrz płytki bąbelki magnetyczne pobudziły przepływ kontrolnych strumieni prądu w osadzonym w ścianie mechanizmie.

Nic nie zdołałoby przekonać Siu-Minga, że jego ojciec istotnie zasłużył na karę, jaka go spotkała. Rada Wymiaru Sprawiedliwości skazała, Hiu Siao na dożywotnie odosobnienie w przeszłości. Został zdesynchronizowany: jego indywidualne „teraz” podążało w odstępnie kilku minut a być może jedynie kilkudziesięciu sekund – za powszechnym „teraz” Retorty Konsumpcyjnej. Nie można było doświadczyć większej samotności, a swoboda opuszczania co jakiś czas pomieszczeń więziennych była tu doprawdy nikłym zadośćuczynieniem, skoro i tak wszyscy żyli w czasie przyszłym względem Hiu Siao: widział ludzi, lecz oni ani go nie widzieli, ani nie słyszeli, ani w żaden inny sposób nie odnotowywali jego obecności. Był jak duch snujący się wśród postaci absolutnie na niego obojętnych.

Siu-Ming pomyślał, że była to najokrutniejsza banicja, jaką człowiek zdołał wymyślić.

Światelka w szklanym aparacie Siu-Minga zamigotały i zaczęły gonić się jak w kalejdoskopie. Pomieszczenie roziskrzyło się zniecka i pole sztucznie opóźnionego czasu pierzchno w jednej chwili. Hiu Siao popatrzył na syna w zdumieniu, ale podobnie jak Siu-Ming zmusił się do zachowania pełnej godności rezerwy.

Były minister uderzająco przypominał swego ojca z Retorty Produkcyjnej. Zgadzał się nawet wiek, obaj mieli pod pięćdziesiątkę. A jednak na tle ogólnego podobieństwa różnice kulturowe były bardzo widoczne. Hiu Siao nosił długą, rzadką brodę i starannie długie wąsy, okalające wąskie wargi. Brwi, wyskubane w cienką, gwałtownie zawijającą na końcach linię, nosiły ślady henny, a starannie zaczesane do tyłu szpakowate włosy były zdecydowanie dłuższe niż równo przystrzyżone czupryny ludzi z dołu.

Hiu Siao nieruchomym wzrokiem śledził gesty Siu-Minga, który otworzył wewnętrzne drzwi i wszedł do pokoju.

– Mój synu – odezwał się wreszcie. – Cóż to za niedorzeczny pomysł?

Lecz Siu-Ming, wpatrzony w niego takim samym nieruchomym spojrzeniem, nie był w stanie przemówić i wyjaśnić, skąd wziął się ów niedorzeczny pomysł. Nigdy nie wybiegł wyobraźnią poza tę chwilę: chwilę, w której uwolni ojca. Podświadomie wierzył w to, że jego ojciec, czcigodny starszy pan, znany ze swej inteligencji i zaradności, będzie wiedział, co dalej robić.

Dopiero teraz Siu-Ming uświadomił sobie, że była to wiara dziesięciolatka, zrodzona w chwili, gdy prawo siłą ich rozdzieliło. Był to wciąż ten sam dziecięcy podziw syna dla ojca. Stojąc teraz twarz w twarz z Hiu Siao, Siu-Ming pojął, że ojciec jest równie bezradny i bezsilny jak on sam.

## Rozdział szósty

Zgromadzeni w bezpiecznym pokoju przy wyludnionej uliczce pogrążyli się w absolutnej ciszy. Sobrie Oblomot spojrział ku Przewodniczącemu, z lekka zażenowany dowodami współczucia, jakie okazali mu koledzy.

– To bardzo przykre, Oblomot – przemówił niepewnie Przewodniczący. – Pański brat zginął śmiercią godną towarzysza. Z głośnym hukiem. I pociągnął za sobą czterech Tytanów.

– Nie jest to aż tak wielkie poświęcenie, jak by się wydawało – odparł chłodno Sobrie. – Sam bym popełnił samobójstwo wiedząc, co tam na mnie szykują w Biurpolbloku Dwa.

Szef Grupy Okręgu Kansom kiwnął głową.

– Tytani ostatnio znacznie uradykalnili metody. Przyznam, że sam budzę się czasem po nocy zlany potem. Nie ruszam się na krok bez granatu „S”.

– Ja tak samo – potwierdził jego sąsiad, który siedział w masce na twarzy i mówił przez modulator głosu, gdyż zarówno jego wysokie stanowisko publiczne, jak i znaczenie dla Ligi wymagały bezwzględnej anonimowości.

– Liga chwieje się pod ciosami Tytanów – powiedział. – W ciągu kilku ostatnich miesięcy aresztowano blisko trzysta osób. Siatki terenowe praktycznie przestały istnieć. Jeśli proces ten miałby postępować, lękam się o istnienie naszego ruchu.

Członkowie zgromadzenia słuchali go w bezradnej rezygnacji. Przewodniczący szurnął wreszcie krzesłem i przemówił z większym wigorem:

– Powodów do obaw jest mniej, niż to się na pozór wydaje. Represje są dowodem naszej rosnącej siły, nie zaś słabości. Przypomnijmy sobie, jaką siłę reprezentowaliśmy dwadzieścia lat temu: było przecież i tak, że całą Ligę Panhumanistyczną zredukowano do pięćdziesięciu osób. – Przewodniczący uśmiechnął się rzewnie. – Sama jej nazwa brzmiała wówczas jak niezły żart. Tak było podczas wojen. Teraz jednak, po długich latach pokoju, zdołaliśmy rozszerzyć naszą działalność i umocnić wpływy. Reakcja Tytanów na nasze sukcesy była nieuchronna.

– To prawda – wtrącił szef Grupy Okręgu Kansom. Jedyne problem to jak się temu przeciwstawić. Wszystko zależy od tego, czy wytrzymamy napór.

Przewodniczący kiwnął głową.

– Oto i główny punkt z tych, które zostały nam do omówienia. Na ostatnim spotkaniu padła

propozycja, aby nie przyjmować do Ligi osób mieszanej krwi. Propozycja ta, jak wszyscy z pewnością pamiętamy, miała na celu przekonanie opinii publicznej – wymówił te słowa z dużym niesmakiem – że nie jesteśmy stowarzyszeniem „obmierzłych dziwołagów i podludzi”. Zakładam, że wszyscy rozważyli sobie tę kwestię.

– Jestem przeciw – zaprotestował gwałtownie jakiś głos. – To sprzeczne z naszymi ideałami. Dowiedlibyśmy w ten sposób, że i my uznajemy inne podgatunki rodzaju ludzkiego za gorsze. Nie dajmy się wciągnąć w rasistowską grę Tytanów.

– Ja jestem za – oświadczył przedstawiciel Kansorn. Oczywiście, jak to już zostało podkreślone, jedynie ze względów taktycznych.

– Jaki procent naszych ludzi stanowią mieszańcy krwi? – zapytał ni stąd, ni zowąd Sobrie.

– Wydział statystyczny podaje liczbę dwudziestu procent – odparł Przewodniczący. – To niemało. Z pewnością dość dla propagandy wymierzonej przeciwko Lidze.

– Propaganda to nasze najmniejsze zmartwienie skrzywił się szef Grupy Kansorn. – Tytani sami wzmagają nagonkę na mieszańców. A tępiąc Ich, dopadną w końcu i samej Ligi. Jedno pociąga za sobą drugie.

– Dla tych ludzi Liga jest tarczą – powiedział Sobrie. – Jeśli ich wykluczymy, nie możemy żądać od nich lojalności. Będziemy wówczas podwójnie zagrożeni.

– I jeszcze jedno – dodał autor protestu. – Czy mielibyśmy również zerwać kontakt z rezerwatami dewiantów?

Po chwili pełnej napięcia ciszy głos zabrał Przewodniczący.

– Sądzę, że w pewnym stopniu musielibyśmy ograniczyć swoje działania w rezerwach. Kontrola Tytanów na tych obszarach jest obecnie tak ścisła, że stanowią one w tej chwili najsłabsze ogniwa naszej sieci. Zatrzymano już cały szereg agentów usiłujących wejść lub wyjść z rezerwatów. Z drugiej zaś strony, internowane plemiona wiedzą o naszych działaniach. Wiele z nich zrezygnowało już z nadziei na wolność i jedyne, czego pragną, to żyć w spokoju, na tyle, na ile jest to możliwe.

Odezwały się pełne oburzenia chrząknięcia. Większość członków Ligi kategorycznie odrzucała wszelką wizję przyszłości na łasce znieawidzonych Tytanów, tytańskich naukowców i ekspertów od utylizacji ziemi (wciąż postulujących zmniejszanie i tak już minimalnych terenów „zagrabionych Człowiekowi Właściwemu”).

Oczy wszystkich powędrowały ku człowiekowi w masce, z którego opinią – mimo iż autor

był zakamuflowany bardzo się liczone. Człowiek w masce namyślał się przez chwilę.

– Korzyści, jakie mogłoby przynieść tak drastyczne posunięcie – stwierdził w końcu – nie zdołałyby zapewne usprawiedliwić odstępstwa od zasad ideowych. Na dalszą metę nie pomogłoby to nam w zwalczeniu legendy Ciemnego Sprzysiężenia.

Tak, pomyślał Sobrie Oblomot, Ciemne Sprzysiężenie: niezwykle wyrafinowany, precyzyjnie rozpracowany plan zniszczenia Człowieka Właściwego, który miał się rzekomo zrodzić setki lat temu wskutek zbiorowego matactwa wszystkich istniejących jeszcze wówczas podgatunków dewiantów. Członkowie Ligi wiedzieli, że podobny dokument, jakikolwiek w ogóle dokument lub plan choćby na jotę do tego zbliżony, nigdy nie istniał. A jednak przesady, jakimi obrósł mit, były głęboko zakorzenione w umysłach ludzi i wciąż na nowo podsycane przez Legiony Tytana. Według obiegowej opinii, Liga Panhumanistyczna stanowiła istotny element jednego z projektów Sprzysiężenia i powstała z wyniku pierwszego nieudanego zamachu na Człowieka Właściwego, którego zastąpić miały pomyłki natury... mutanci Matki Ziemi, jej kalekie, poronione płody.

Znając tego rodzaju niedorzeczne twierdzenia, Sobrie Oblomot miał chwile absolutnego zwątpienia w to, że Lidze uda się kiedykolwiek osiągnąć cel: przywrócić cywilizacji ziemskiej zdolność racjonalnego rozumowania.

Słuchając sporu towarzyszy, Sobrie powrócił myślami do sprawy swego brata. Rozpamiętywał ją bez przerwy, od chwili gdy doniesiono mu o samobójstwie Blare'a. Blare popełnił samobójstwo – słowa te dźwięczały mu w głowie jak bezmyślnie wyuczona lekcja. Ujęty przez Tytanów, zginął w ogniu eksplozji. Taki epizod świetnie nadawałby się do kronik historycznych opisujących zwycięstwo. Znakomity motyw na pomnik w jakimś lepszym świecie. Tu jednak, w mroku podziemnej walki, był po prostu bez sensu.

Blare dopiero od niedawna czynnie działał w Lidze. Sobrie wyrzucał sobie, że go tam wprowadził. Swoimi aluzjami, wywodami, odwoływaniem się do rozsądku, przeciągnął brata na stronę opozycji. Blare nie kazał się długo przekonywać, był jednak zbyt naiwnym idealistą i prostaczkiem moralnym, aby odnosić sukcesy w działalności podziemia. Sobrie dopiero teraz uświadomił to sobie z całą jaskrawością. Nie należało wciągać Blare'a do Ligi. To nie Blare powinien był zginąć od eksplozji granatu „S”.

Zginąć powinien on, Sobrie.

Przewodniczący zamknął dyskusję i rozpoczął głosowanie. Kwestia czystości krwi została



oddalona nieznacznie większością głosów.

Rozpoczęła się dalsza dyskusja o metodach taktycznych. Postanowiono rozwiązać kilka grup, a ich członków rozproszyć po całej kuli ziemskiej, gdzie mieliby biernie czekać dalszych poleceń. Pozostał jeszcze jeden punkt zebrania.

– Dotyczy to twojego brata, Oblomot – rzekł Przewodniczący. – Jak zapewne wiesz, pracował on w obcych ruinach okręgu Hathar, w ekipie znanego archeologa, Ronda Heshke. Są podejrzenia, że tej samej nocy, kiedy zginął twój brat, Heshke został również uprowadzony przez Tytanów.

– Nie wiedziałem, że Heshke ma coś wspólnego z Ligą – zdziwił się Sobrie.

– Bo i nie ma. O ile nam wiadomo, Heshke to prawomyślny obywatel z oficjalnym zaświadczeniem o czystości krwi. Wiemy, że przewieziono go do Cymbel, gdzie przejął go prywatny transport raketowy. Podejrzewamy, że rakieta, na pokładzie której znajdował się Heshke, wylądowała na obszarze Pustyni Sarn.

– A co z tego? – zapytał Sobrie.

– Tytani prowadzą tam tajny ośrodek badawczy – wyjaśnił Przewodniczący. – Ośrodek strzeżony jest tak pilnie, że nie zdołaliśmy stwierdzić, czym się zajmuje. Sam fakt jednak, że zatrudniono tam prawdopodobnie Ronda Heshke, świadczyłby o związku badań ze sprawą interwencji Obcych.

– Czyli tym samym, co i nas interesuje – kiwnął głową Sobrie.

– Właśnie. My również chcielibyśmy wiedzieć, kim byli obcy najeźdźcy, skąd przybyli i do jakiego należeli gatunku. Być może rasistowski fanatyzm Ziemian bierze się właśnie z antagonizmów między człowiekiem a Obcymi. Jeśli tak jest istotnie, nasi psychologowie twierdzą, że nim wykorzeni się nienawiść międzygatunkową, należy w pierwszej kolejności zwalczyć w ludziach strach przed obcymi przybyszami.

Zebrani kiwali głowami. Teoria ta była wszystkim znana. Jej oczywistość nie wymagała nawet powoływania się na autorytety psychologów.

– Wspominam o tym jedynie dlatego, że potrzebujemy więcej informacji, a trudno uzyskać je bezpośrednio zakończył niefrasobliwym tonem Przewodniczący. – Rozpytajcie przez swoje siatki, czy ktokolwiek wie coś o transportach kierowanych na Pustynię Sarn, a jeśli tak, to co się tam transportuje. Cała sprawa wygląda tym bardziej interesująco, że Ronda Heshke uprowadzono z Hatharu nagle i w dość dramatycznych okolicznościach.

Człowiek w masce zaśmiał się gardłowo.

– To o niczym nie świadczy. Tytani lubują się w spektaklach.

– Tak, może to i racja... – Przewodniczący gwałtownie zwrócił się ku otwieranym właśnie drzwiom. W jego dłoni błysnął pistolet.

Okazało się, że to tylko wartownik.

– Mamy meldunki, że Tytani patrolują okolicę, panie przewodniczący. Uznaliśmy, że należy pana powiadomić.

– Dziękuję. Ty najlepiej idź już do domu, tak samo czujki uliczne.

– Zamkniemy teraz zebranie z uwagi na bezpieczeństwo – oświadczył Przewodniczący, kiedy za wartownikiem zamknęły się drzwi. – Kto nie ma alibi?

Sobrie podniósł rękę do góry. Jako artysta mógł poruszać się swobodnie bez podawania celu. Wszyscy pozostali mieli przy sobie służbowe lub prywatne dowody uzasadniające obecność w Cymbel. Większość przybyła tu na pierwsze posiedzenie Światowej Konferencji Wspólnoty Ekonomicznej. Dlatego właśnie na miejsce spotkania Ligi wybrano tym razem Cymbel.

– Oblomot wychodzi pierwszy – zarządził Przewodniczący. – Jeśli strażnik jeszcze jest za drzwiami, poproś go, żeby cię przeprowadził przez patrole i natychmiast wyjeżdżaj z miasta. – Obrzucił wzrokiem pozostałych. Wszyscy zostaną powiadomieni o miejscu i terminie następnego zebrania.

Sobrie bez specjalnych ceremonii opuścił zgromadzenie. Pozostali mieli wychodzić kolejno co dziesięć minut, człowiek w masce jako ostatni.

Strażnika już nie było. Sobrie wyjrzał na ulicę i chyłkiem wysliznął się z obskurnego budynku. Szedł pośpiesznie, niemal biegł, póki nie dotarł do wąskiego przesmyku prowadzącego do głównej arterii.

Tytani połapali się już na pewno, że ogólnoświatowe sympozja stanowią wybory parawan dla tajnych spotkań, pomyślał Sobrie. Przewodniczący będzie musiał wymyślić coś nowego.

Sobrie napotkał, zaledwie kilku mundurowych Tytanów, podejrzewał jednak, że większość nosi się po cywilnemu. Nietrudno było wyróżnić na ulicy wysokich jasnowłosych młodzieńców, którzy obrzucali twarze zwykłych przechodniów zimnymi, pogardliwymi spojrzeniami. Zapewne poszukiwali konkretnych osób.

Sobrie z całych sił starał się mijać ich w miarę obojętnie. Nadal dręczyła go pewność, że mając Blare'a, dobiorą się i do niego. Incydent z Blarem miał jednak miejsce przed wielu

tygodniami i nikt jakoś nie odwiedził Sobriego w środku nocy. Może więc dostatecznie starannie zacierał za sobą ślady.

A jedyne ślad, którego zaniedbał, zatarł za niego Blare. Granatem „S”.

Dotarłszy do olbrzymiego centrum komunikacyjnego Cymbel, Sobrie kupił bilet na najbliższy statek powietrzny do Sannan. Miał ponad godzinę do odlotu. Wypił kieliszek na uspokojenie, ale zaraz potem zdecydował, że poczekalnia nie jest miejscem, w którym powinien się pokazywać. Wyszedł więc na zewnątrz, przez kilka minut spacerował wokół dworca, na koniec zaś wstąpił do baru. Po kilku kolejnych kieliszkach poczuł się znacznie lepiej.

Nie ma się czego bać, powiedział sobie. Przewodniczący jest po prostu przesadnie ostrożny – co mu się chwali. Liga Panhumanistyczna nie przetrwałaby stu lat z górą, gdyby jej członkowie nie potrafili wydostawać się z najcięższych opresji.

Jeszcze kilka kieliszków i w końcu rakieta z Sobriem na pokładzie wystartowała w przestrzeń z przeraźliwym rykiem silników. Sobrie miał ochotę przedrzemać dwugodziną podróż powyżej najwartościowszej warstwy atmosfery, ale bolała go głowa i bez przerwy myślał o bracie.

Statek obniżył lot nad rodzinnym miastem Sobriego, Sannan. Był wczesny jesienny wieczór. Sannan było pięknym miastem, nietkniętym przez wojny z dewiantami. Wzdłuż linii horyzontu stały bloki mieszkalne, mieniające się barwami w ukośnych promieniach słońca. We wspinaczce ku niebu konkurowały z nimi kopuły i wieże kościołów, stanowiących niegdyś ośrodki kultu, z których słyneło miasto. Wiernych stopniowo odstręczano od praktyk religijnych i religie umarły śmiercią naturalną. Świątyn używano teraz przy okazji tytańskich akademii i obchodów ku czci Matki Ziemi.

Sobrie wyszedł z dworca. Świeże wieczorne powietrze przejaśniło mu nieco w głowie. Wsiadł w metro i dojechał do swojej dzielnicy. Przekraczając próg mieszkania doznał uczucia, że oto wkracza do sanktuarium, w obszar wyczekującej obecności Layelli, kobiety, z którą mieszkał.

Sobrie miewał chwile znużenia, zmęczenia celem, dla którego żył. W takich chwilach kusilo go, aby poddać się natarczywej presji społecznej i machnąć na wszystko ręką: do diabła z tym wszystkim, czas pomyśleć o sobie. Co mnie obchodzą inni? Tak w końcu myśleli prawie wszyscy. Tytani działają, bądź co bądź, dla naszego dobra, dla dobra Ludzi Właściwych. Los tamtych jest nieuchronny, nie mamy na niego wpływu.

Kiedy jednak popatrzył na Layellę, natychmiast odzyskiwał wiarę. To właśnie z jej powodu nigdy chyba, za żadną cenę, nie wyrzeknie się swoich celów. Layella była mieszane.

Nieczystej rasy. W jej żyłach płynęła domieszka krwi Amhraków.

Nie było jej wiele – Layella sama nie potrafiła powiedzieć, czy Amhrakiem był jej dziadek, czy pradziadek, czy też po prostu w pewnym momencie obudziły się dawno uspione geny – a dzięki umiejętnie stosowanemu makijażowi, postronny obserwator w ogóle nie zauważyłby, że coś jest nie tak. Sobrie jednak znał wszystkie cechy różniące Layellę od reszty ludzi, a urok, jakiego ta odmienność jej przydawała, oszałamiał go wciąż na nowo. Po Amhrakach odziedziczyła małą kształną głowę i okrągłe oczy o łagodnym wejrzeniu, których kąciki umiejętnie przedłużała tuszem. Sporą wątpliwość mogły budzić jej uszy i dlatego Layella ukrywała je zawsze pod równo przystrzyżoną czupryną barwy pomarańczy. Cera także była inna niż wymagały tego przepisy, z lekkim odcieniem czerwieni znamionującym Amhraków. Layella tuszowała jej kolor specjalnym barwnikiem.

Drobne odchylenia w proporcjach ciała i postawie maskowała ubiorem.

Póki żyli spokojnie i nie rzucali się w oczy, Layella była bezpieczna. Pobrać się naturalnie nie mogli, gdyż legalna ceremonia ślubna wymagała od obojga małżonków zaświadczeń o czystości rasy, lecz żaden przypadkowy obserwator nie odróżniłby Layelli od Kobiety Właściwej.

Sobrie wiedział jednak, podobnie jak sama Layella, że przepadłaby w badaniach antropometrycznych, jakie prowadzili tytańscy eksperci od spraw rasowych. Urządzenia pomiarowe natychmiast obnażyłyby mistyfikację. Zmierzono by jej nos, czaszkę, zdjęto by setki innych parametrów. Zastosowano by chemikalia ujawniające rzeczywistą barwę skóry, a następnie zbadano by odcień kolorometrem. Wzięto by do badania próbkę włosów, aby sprawdzić ich sprężystość. Kazano by Layelli rozebrać się do naga, aby skontrolować postawę podczas marszu i w pozycji siedzącej. Na koniec, jeśli antropometrycy okazaliby się rzeczywiście sumienni, wykonano by jej specjalną fotografię, na podstawie której można przeprowadzić analizę chromosomów.

Prawdopodobnie jednak, pomyślał Sobrie, nie poddano by jej w ogóle żadnym badaniom. Nie trzeba by było aż tak drobiazgowych analiz, by odkryć jej prawdziwe pochodzenie. Chodziły słuchy, że niektórzy eksperci to istni mistrzowie w swojej dziedzinie, zdolni „rozpoznać krew na pierwszy rzut oka”. Spojrzeliby na nią jeden raz, potem kazaliby jej przespacerować się po

pokoju albo usiąść na krześle, aby sprawdzić ułożenie pośladków. I natychmiast wiedzieliby wszystko. Skierowaliby Layellę, na bezbolesny zastrzyk albo jeszcze gorzej: do rezerwatu Amhraków.

Sobrie rzucił się na kanapę, wyczerpany zdarzeniami dnia, i z ulgą przyjął z rąk Layelli kojąco ciepłą miskę zupy. Potem opowiedział jej o sprawie Blare'a.

Współczucie Layelli nie było, na szczęście, tak żenujące jak współczucie towarzyszy z Ligi. Layella instynktownie wyczuwała nastroje i potrzeby Sobrie. Usiadła obok w milczeniu, lekko dotykając dłonią jego uda.

Sobrie pośpiesznie dopił zupę i wyciągnął się na kanapie z głębokim westchnieniem.

– Layello – przemówił z wysiłkiem – musimy się rozstać.

Oczy Layelli rozszerzyły się w przerażeniu.

– Dlaczego?

– Robi się niebezpiecznie.

Sobrie szukał odpowiednich słów na wyjaśnienie jej, o co chodzi. Layella bywała czasem absolutnie nieczuła na czyhające zewsząd zagrożenie. Zupełnie tak samo jak Blare, pomyślał Sobrie, zaskoczony własnym porównaniem.

Uparcie odmawiał Layelli pozwolenia na przystąpienie do Ligi, mimo iż dzięki niemu wiedziała o niej całkiem sporo. Sobrie nie potrafił zatrzymać spraw Ligi tylko dla siebie. Utwierdzał się jednocześnie w przekonaniu, że to właśnie on sam jest dla Layelli największym zagrożeniem. Gdyby go ujęto, Layella nie miałaby szansy na ucieczkę.

– Nie chcę, żeby jeszcze ktoś przeze mnie zginął rzekł bezbarwnym głosem.

– Co znaczy: jeszcze ktoś?

– Nie rozumiesz, dlaczego Blare się zabił? – zapytał patrząc jej w oczy i z całych sił hamując drżenie głosu,

– Każdy by tak zrobił – próbowała go uspokoić. – Tak trzeba.

– Nie, wcale nie rozumiesz – Sobrie zacisnął pięści. – Blare to nie jest... nie był... typ człowieka, który popełnia samobójstwo. Trzymałby się życia, póki tylko byłoby to możliwe. Blare to optymista. Nie zabiłby się tak od razu a jednak to zrobił. Zabił się, ledwie go ujęli, zanim zdołał się przekonać, ile rzeczywiście wie. Zrobił to dla mnie. Żeby mnie nie sygnąć. Byłem jedynym człowiekiem, o którym mógł coś powiedzieć. Z nikim innym nie miał bezpośredniego kontaktu.

Oboje zamilkli na dłuższą chwilę.

– Teraz już wiesz, czemu musimy się rozstać – odezwał się w końcu Sobrie. – Za długo igraliśmy z ogniem. Nie chcę stać się przyczyną także i twojej śmierci.

– Blare był twoim bratem – argumentowała Layella. Gdyby cokolwiek podejrzewali, już by tu byli.

– Nie wiadomo, czy mnie nie śledzą – odparł Sobrie. – Nasza rodzina jest co prawda duża i bardzo rozproszona. Mogli nie skojarzyć mnie z Blarem. Ale nie w tym rzecz. Tak czy owak, pewnego dnia mogą po mnie przyjść. I ciebie wtedy nie może tu być.

– Wykluczone – odparła kategorycznie Layella biorąc go za rękę. – Jesteś moim... mężem. Zostanę z tobą, wszystko jedno, co się stanie.

Sobrie zerwał się z kanapy i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem, popatrując przez okno na światła wieczornego miasta, rozbłyskujące konstelacjami w gęstniejącym mroku

– Co za bagno! – westchnął ciężko. – Ci przekłęci Tytani, ten ich cały terror... Nigdzie na świecie nie ma takiego miejsca, gdzie człowiek mógłby poczuć się wolny.

– To nie ich wina – zaprzeczyła łagodnie Layella, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. – To się nie zaczęło przez tak zwanego Człowieka Właściwego, tylko chyba przez Lorenów.

– Nie, nie przez Lorenów – przerwał jej gwałtownie Sobrie. – To się zaczęło jeszcze wcześniej. Początkiem tego całego szaleństwa była inwazja Obcych. Gdyby nie oni, rasy ludzkie do dziś żyłyby zapewne w pokoju. Tak jak, przypuszczam, żyły przed inwazją.

Layella podeszła do niego od tyłu i otoczyła go ramionami. Poczul na plecach napór jej obfitych piersi, poczul ciężar jej głowy na swoim ramieniu. Przed sobą widział uchylone drzwi do pracowni i jej wnętrze, pełne płócien i przyborów malarskich. Było tam wiele portretów Layelli. Sobrie z goryczą pomyślał o wszystkich obrazach, których nigdy nie odważył się namalować w obawie, że ktoś je zobaczy: o portretach Layelli bez maski kosmetyków, nagiej, z charakterystyczną proporcją korpusu i bioder. Pomyślał o dzieciach, których nie odważyli się począć ze strachu przed tym, co je może spotkać.

Wszystko wydawało się beznadziejne. Za jego życia nie nastąpią żadne zmiany: wszelkie dotychczasowe sukcesy Ligi Panhumanistycznej, tak podkreślane przez jej członków, były w gruncie rzeczy trywialne. Sobrie przypomniał sobie wielokrotnie powtarzaną maksymę Przewodniczącego: tego, o co walczymy, nie da się osiągnąć przez całe stulecia; trzeba patrzeć

w bardzo odległą przyszłość.

– Posłuchaj mnie – odezwała się Layella. – Nie zniósłabym rozstania. To by mnie po prostu zabiło. Opuść Ligę, jeśli jest ci z nią za ciężko. Wyjedziemy gdzieś daleko, gdzie nikt nie będzie wiedział, co kiedyś robiliśmy. Nie proszę cię o to. Jedyne, o co cię proszę, to abyś mnie nie odtrącał.

– Dobrze – powiedział Sobrie. – Zostań, jeśli tak bardzo chcesz, jeśli potrafisz pogodzić się z konsekwencjami. Ja nie wystąpię z Ligi, Liga to sprawa najważniejsza.

Całkiem gdzie indziej, w ogromnym zamczysku o kilka mil od granicy miasta Pradna, odbywało się posiedzenie będące absolutnym przeciwieństwem ukradkowych spotkań Ligi Panhumanistycznej.

Legiony Tytana lubowały się w ceremoniach: wysokie oparcia krzesel nosiły imienne tabliczki z tytanu ze złotymi obwódkami, krzesła otaczały mahoniowy stół inkrustowany platyną, na ścianach zaś wisały gobeliny ilustrujące wzniosłe treści: Matka Ziemia i jej silny, posągowy syn, obrazy dawnej świetności, heroiczne sceny ze zwycięskich wojen.

Rada Generalska Legionów zbierała się zwyczajowo raz do roku lub w trybie nadzwyczajnym, na osobiste życzenie Naczelnego Wodza Planety, Limnicha. Członkowie Rady powitali Wodza w bezruchu, z przymkniętymi oczami, pogrążeni w ćwiczeniu duchowym, któremu oddawali się wszyscy, zwłaszcza podczas sesji na zamku. Naczelnny Wódz Planety, Limnich, był wielkim zwolennikiem medytacji: wierzył, że medytacja potęguje siłę woli. Ćwiczenia duchowe datowały się z bardzo dawnych czasów, a przekazywali je – i to wyłącznie nielicznym wybrańcom biegli w sprawach życia duchowego Ludzie Właściwi.

– Uwaga.

Limnich wymówił to słowo cicho, lecz dobitnie, z chwilą gdy masywne dębowe drzwi zamknęły się za nim z ledwie słyszalnym cmoknięciem. Limnich był niższy od przeciętnego Tytana, blady, z cofniętym sinawym podbródkiem, wydatnymi policzkami i zimnym rybem spojrzeniem spoza dużych, okrągłych okularów, które przedkładał nad modne szkła kontaktowe.

Wyrwani z medytacji generałowie jak jeden mąż otwarli oczy i wyprężeni na baczność patrzyli, jak Naczelnny Wódz Planety, Limnich, zajmuje honorowe miejsce przy stole, po czym usiedli ponownie ze sztywną rewerencją.

– Witam panów – rzekł Limnich tonem wyniośle jowialnym. – Dziwi panów zapewne, że

powołałem zebranie Rady właśnie dziś, mimo iż termin naszego dorocznego posiedzenia nie jest odległy. Jak się zapewne słusznie domyślacie, mam wam do przekazania informacji istotnej wagi. Najpierw jednak chciałbym wysłuchać waszych, panowie, sprawozdań.

Generałowie jeden po drugim wygłosili zwięzłe oświadczenia. Były to skrótowe rekapitulacje doniesień zawartych w obszernych, gromadzonych przez komputery dokumentacjach, gdyż każdy z generałów miał pod swą pieczę szeroki zakres spraw. Limnich był jednak zagorzałym orędownikiem rytuału. Ze wzmożoną uwagą wysłuchał sprawozdań o akcjach przeciw Lidze Panhumanistycznej i ściganiu przedstawicieli ras mieszanych, których wciąż nie mało było wśród zdrowego społeczeństwa, mimo iż od ostatniej wojny z dewiantami minęło wiele lat.

– Czeka nas dalsza żmudna praca, panowie, lecz jej wynik może być tylko jeden – podsumował wreszcie. Należy z niesłabnącą energią kontynuować działania. Gwarancją bezpieczeństwa Ziemi jest stuprocentowa czystość rasy... A teraz chciałbym przejść do sedna sprawy, która nas tutaj zgromadziła...

W półmroku sali, gdzie jedynym źródłem światła były ocienione kaganki, głos Limnicha przeszedł w dramatyczny pomruk, znany słuchaczom z bardzo nielicznych transmisji widkastowych. Naczelnym Wódcą Planety Limnich był najważniejszą osobą na Ziemi. Tytuł „Wodza” był jedynie ostentacyjnym podkreśleniem faktu dowodzenia Legionami Tytana. Istniał wszak Prezydent Rasy Świata, cywil, któremu Legiony ślubowały ochronę, a jednak to właśnie Limnich, szara eminencja, sprawował pieczę niemal nad wszystkimi dziedzinami życia publicznego i podejmował najistotniejsze decyzje, choć głośno mówiło się zawsze o wstępnych konsultacjach z Prezydentem.

– Wiedzą panowie o badaniach prowadzonych w Ośrodku Sarn i poczynionych tam odkryciach – mówił Limnich, kładąc obie dłonie na stole i nie odrywając wzroku od mahoniowego blatu. – Tajną notką poinformowano panów o niewyjaśnionym zniknięciu naszej pierwszej udanej maszyny czasu, z głównym fizykiem Leardem Ascarem i archeologiem Rondem Heshke na pokładzie.

Utrata Ascara to dla nas niebagatelny cios, jako że to jego geniuszowi zawdzięczamy rozwinięcie teorii czasu. Na szczęście badania osiągnęły już takie stadium, że możemy się bez niego obejść. Udało nam się stosunkowo szybko uruchomić maszyny numer dwa i trzy, za pomocą których natychmiast podjęto poszukiwania zaginionej ekspedycji. Ustalono, że wyprawa



dotarła do celu. Jednak mimo wnikliwego przeszukania całej trasy przelotu, jak również jej najbliższych okolic i ewentualnych tras alternatywnych, które należało wybrać w razie nagłego zagrożenia, nie natrafiono na żaden ślad zaginionego pojazdu.

Limnich przerwał, uniósł głowę i błysnął spojrzeniem spoza szkieł jak upiorny karzeł.

– Skłaniamy się ku opinii, że machina została przechwycona przez Obcych, a jej załogę uprowadzono.

Wokół stołu podniósł się szmer konsternacji, wszyscy zastygli na miejscach. To, co przed chwilą usłyszeli, było przedmiotem koszmarnych snów i opowieści znanych wszystkim z czasów dzieciństwa: opowieści o niesamowitych bestiach wciągających swe ofiary w bezdenną czeluść. Nie ma zaś czeluści równie bezdennej jak czeluść czasu.

– Biorąc pod uwagę możliwość nakłonienia uprowadzonych do podania lokalizacji Ośrodka Sarn, poleciłem natychmiast rozbić go na komórki działające w różnych punktach kuli ziemskiej, jak również maksymalnie szybko udoskonalić sposoby podróżowania w czasie. W wyniku skomasowanych wysiłków, zdołano w ciągu kilku tygodni skompletować dwadzieścia urządzeń do podróży w czasie i podjąć dokładniejsze badania natury czasu, który nas otacza.

Jedna z pierwszych machin została zaatakowana i zniszczona podczas lotu. Poleciłem jednak wysłać je eskadrami, co najmniej po trzy. Machiny towarzyszące zniszczonej jednostce podjęły pościg za obiektem atakującym i podążyły za nim w przyszłość, gdzie straciły trop. W trakcie dalszych poszukiwań stwierdzono obecność Obcych w wielu punktach, co oznaczałoby istotne zagrożenie, wynikające stąd, że ożywiona aktywność Obcych nie ogranicza się do naszej przeszłości i teraźniejszości, lecz obejmuje również naszą przyszłość.

– Przyszłość, wodzu? Jakże to możliwe? – zdumiał się zażywny generał około sześćdziesiątki, klasyczny Tytan starej daty, urodzony i wychowany w dobie wojen z dewiantami. Całą jego biografię tworzyły podboje i triumfy niepokromionej siły, wskutek czego z trudem ogarniał abstrakcyjne wywody Limnicha.

Limnich zzymał się w duchu na tępotę niektórych generałów. Kilku weteranów, pomyślał, należałoby zdecydowanie usunąć. Muszą ich zastąpić młodszy, bardziej lotni, zdolni pojąć nie tylko konieczność działania, ale i pewne teorie.

– Wszystko wskazuje na to, że wróg założył w przeszłości silną bazę, od której dzieli nas kilka stuleci – odparł Limnich generałowi. – Zapewne w nadziei, że tam go nie wyśledzimy. Myli się jednaki – Bezbarwna, rybia twarz Limnicha rozbłysła gwałtowną pasją. Naczelnym Wód

Planety rąbnął pięścią w stół. – Chcę wam powiedzieć jedno, panowie: po raz kolejny wkraczamy na wojenną ścieżkę. Druga konfrontacja z Obcymi, konfrontacja, którą zawsze braliśmy pod uwagę, jest dziś nieuchronna.

Wieńczący te słowa błysk radosnego podniecenia wyjaśnił pozostałym wszelkie wątpliwości. To, co usłyszeli, było jasne jak słońce i równie jak słońce radosne.

Wojna!

– Zobowiązuje, panów do przestawienia wszystkich sektorów gospodarki na potrzeby produkcyjne stanu wojennego – ciągnął Limnich, już spokojniej. – Szczegółowe zalecenia otrzymają panowie już wkrótce, skoro tylko wyszkolimy dostateczną ilość ekip technicznych w dziedzinie operowania czasem. Podjąłem już kroki w kierunku uruchomienia produkcji elementów machin do podróży w czasie na skalę przemysłową. W związku z powyższym w Legionach Tytana uformujemy nowe bataliony, wyszkolone i wyposażone dla potrzeb wojny w czasie.

Limnich zrobił kolejną pauzę, po czym wpadł w kaznodziejski ton, którego nigdy nie potrafił sobie odmówić przy podobnych okazjach:

– Matka Ziemia raz jeszcze wzywa swe dzieci na pomoc. Musimy przywdziać oręż i uzbroić się w odwagę, musimy uderzyć, zanim runie na nas lawina Obcych. W to, że podobny atak jest przygotowany, wątpić nam nie wolno. Nie ma czasu do stracenia: wkraczamy oto w nową erę konfrontacji.

Limnich wstał i odczekał chwilę, póki nie powstała reszta generałów. Wszystkie ramiona wystrzeliły w górę, zaciśnięte pięści skrzyżowały się w tytańskim pozdrowieniu. Limnich odwrócił się i bez słowa opuścił salę.

## Rozdział siódmy

Przez pierwsze dwa dni świadomość Heshkego uparcie odrzucała myśl o nieuchronnej śmierci. Jego myśli nieustannie krążyły dawnymi torami, jak gdyby życie miało potoczyć się dalej.

Drugiego dnia wyczerpał się zapas wody. Tytański oficer techniczny, porucznik Gann, proponował ruszyć na poszukiwanie wody, lecz Leard Ascar wyśmiał jego pomysł.

– A to po co? – argumentował kąśliwie. – Wodę może i znajdziemy, ale jedzenia nie znajdziemy na pewno. Jesteśmy na martwej planecie. – Ascar dotknął pistoletu. Coś wam powiem: jak poczuję, że za bardzo chce mi się pić, posłużę się tym, i koniec.

A jednak, mimo że bez przerwy oblizywał spierzchnięte wargi, mimo że przez wyschnięte gardło z trudem i płacząco skarżył się na pragnienie, nie pociągnął za spust. Heshkemu zdawało się, że zna przyczynę: niewiarygodny umysł Ascara wciąż pracował na najwyższych obrotach, zdecydowany zmagać się z enigmą czasu aż do ostatniej chwili.

Pochowali zabitego Tytana w płytkiej mogile, po czym zasiedli w cieniu zdemolowanej maszyny czasu i pograżyli się w beładnej rozmowie. Porucznik Gann ubolewał z początku nad fiaskiem wyprawy, lecz Ascar wyjaśnił mu, że jest w błędzie.

– Tytani zaczną wysyłać kolejne sondy, to kwestia tygodni. Prawda musi wyjść na jaw. Trochę czasu, a dotrze nawet do tej bandy półgłówków... zaczną szykować się na masakrę...

Heshke zadrżał słysząc tę beznamiętną zapowiedź nieuchronnego kataklizmu.

– Jaką więc mamy szansę na to, że nas uratują? – zapytał.

– Żadnej. Nie wolno nam żywić nadziei. Teren poszukiwań jest ogromny: cała planeta i kilkaset lat w obie strony. Nie mogą na nas trafić.

– A na cywilizację Obcych?

– Owszem, na nich tak. Nie tak szybko jak my, co prawda, nie wpadną na to, na co ja wpadłem, ale trafią na nią na pewno.

– Mogą ich zestrzelić, tak jak nas.

– I pewnie kilku zestrzelą. Wtedy nasi połapią się, o co chodzi, wyślą maszyny opancerzone, i tak dalej.

Porucznik Gann włączył się w dialog grobowym głosem:

– To, co odkryliśmy... to przechodzi ludzkie pojęcie... Czy jesteście pewni, Ascar, że musi nastąpić zderzenie czołowe?

– Ja też nie rozumiem – przyznał Heshke. – Czy miałyby to oznaczać, że odkryliśmy cywilizację, która porusza się w czasie? Cywilizację, która zna sposób na przemieszczanie w czasie wszystkich członków swojej społeczności?

Ascar pokręcił przecząco głową.

– To jeszcze coś więcej. Mamy do czynienia z całkiem odrębną biotą, kompleksem życia biologicznego, który nie ma nic wspólnego z naszym życiem. Sądzę, że jest to zjawisko naturalne, nie sztucznie wytworzone. Wydaje się, że nasza terażniejszość, strumień czasu, w którym żyjemy, nie jest jedynym, jaki istnieje. Jest jednym z dwóch, co najmniej dwóch, takich strumieni, dążących ku sobie poprzez czterowymiarową przestrzeń. Kiedy się spotkają, będzie to tak, jakby Pan Bóg klasnął w dłonie, a wszystkie żywe stworzenia akurat były w środku...

– To brzmi jak opis końca świata!

Fizyk wzruszył ramionami i westchnął głęboko.

– Może nie aż tak. Może tylko końca czasu. Nie wiem, nie potrafię tego rozpracować.

– I jeszcze jedno nie daje mi spokoju – podjął Heshke po krótkiej ciszy. – Tamta cywilizacja znajduje się prawdopodobnie zaledwie o czterysta lat od nas. A jednak stan jej szczątków – na przykład Ruin Hatharu wskazywałby na to, że zostały opuszczone znacznie dawniej niż cztery wieki temu. Trudno tu precyzyjnie ustalić liczbę lat, ale skłaniałbym się ku szacunkowi ośmiuset czy nawet tysiąca. To jakaś anomalia.

Mimo złego samopoczucia, Ascar zdobył się na ironiczny uśmiezek.

– To był właśnie jeden z sygnałów, które naprowadziły mnie na właściwy trop. Istnieją dwa rodzaje rozkładu. Rozkład może postępować w miarę upływu Absolutnej Terażniejszości, czyli zgodnie z zasadą entropii. Istnieje jednak i drugi rodzaj procesu rozkładu, z ośrodkiem poza wędrowną falą czasu – a więc rozkład w nie-czasie. W momencie, gdy ustaje działanie konstruktywnych sił terażniejszości, włącza się proces rozkładu. Z początku entropia jest tu znacznie przyśpieszona w stosunku do terażniejszości: dlatego właśnie podróżując w przyszłość obserwujemy tak gwałtowny rozpad świata materialnego. Dlatego, na przykład, formy żywe znikają całkowicie.

Zapadła cisza. Rozmyślali nad słowami Ascara.

– Naturalnie – dorzucił mimochodem Ascar – w miarę zbliżania się fali „teraz”, wszystko odradza się na nowo, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Heshke zastanawiał się właśnie, jak sformułować kolejne pytanie, kiedy z góry dobiegł go przejmujący świst. Wszyscy trzej podnieśli oczy, a to, co ujrzeli, kazało im z dzikim wrzaskiem przerażenia popędzić do maszyny czasu, mimo iż nie mogła im ona dać już żadnego schronienia.

Na tle błękitnego nieba opadał ku nim z wielką szybkością metalowy obiekt. Heshke i jego towarzysze machinalnie sięgnęli po broń. Heshke doszedł właśnie do wniosku, że próba ucieczki z pewnością nie ma sensu, kiedy nadlatujący obiekt wyhamował i z niezwykłą sprawnością osiadł na Ziemi, zaledwie o kilka jardów od nich.

– Zdaje się, że ci cholerni Obcy po nas wrócili – rzekł Ascar przez zaciśnięte zęby.

Tytan gestem ostrzeżenia położył dłoń na ramieniu Heshkego.

– Żywych nas nie wezmą – zagroził bez przekonania. – Naszym obowiązkiem jest zadać sobie śmierć.

– Tak, tak, naturalnie – mruknął Heshke.

Wszyscy trzej odwlekali jednak decydujący moment. Heshke wodził palcem po pistolecie: myśl o tym, że mógłby sam strzelić sobie w łeb, napawała go panicznym lękiem. Ascar skrzywił się i postąpił kilka kroków do przodu, buńczucznie stawiając czoło obcemu statkowi i ważąc przy tym broń na otwartej dłoni.

Pewnie chce zabrać kilku ze sobą, pomyślał Heshke z podziwem dla irracjonalnej odwagi Ascara. Może powinienem zrobić to samo.

Ku zdumieniu Heshkego, obiekt, który przed nimi wylądował, w niczym nie przypominał znanych mu już maszyn czasu. Podobny był do ziemskich pojazdów kursujących jako wahadło kosmiczne: kształt miał owalny i lądował na ogonie, wsparty na teleskopowych nóżkach. Coś takiego właśnie wymyśliłby ziemski inżynier jako „pojazd z obcej planety”, pomyślał sobie Heshke.

Jego osłupienie wzrosło, gdy przez otwarty właz ukazały się postacie bez wątpienia ludzkie. Ascar opuścił broń, a porucznik Gann skoczył do przodu z zaferowaną, czujną miną wnikliwego eksperta.

– Coś podobnego! – parsknął Ascar.

Heshke roześmiał się, z początku niepewnie.

– A mówił pan, że nikt nas nie uratuje.

– Cicho! – warknął gniewnie Ascar.

Heshke zamilkł. Nadchodzący ku nim ludzie nie nosili ani mundurów, ani insygniów tytańskich. Nie mieli też na sobie charakterystycznych dla ziemskich pilotów kombinezonów.

Było ich trzech. (Trzech na trzech, pomyślał z ulgą Heshke. Nie będą atakować). Wszyscy w lekkich, jednoczęściowych uniformach bez naszywek czy symboli. Na głowach mieli pospolite obłe helmy z pierzastymi antenkami. Zbliżywszy się, wyciągnęli ku rozbitkom otwarte dłonie, uśmiechając się przy tym i zagadując w dziwnym, śpiewnym języku.

Heshke schował broń: przyjazne intencje przybyszów były aż nadto oczywiste. Popatrzył na ich twarze: były żółtawe, właściwie całkiem żółte, o nienaturalnie wydatnych kościach policzkowych, lekko spłaszczonych nosach i skośnych oczach...

Heshke poczuł natarczywą falę mdłości.

Za jego plecami porucznik Gann głośno, spazmatycznie zachłysnął się powietrzem.

– Dewianci!

Ascar cofnął się, chcąc być bliżej towarzyszy. Pistolet chwiał się niepewnie w jego dłoni. Patrzył na przybyszów w osłupieniu graniczącym z obłędem.

– Co to za zwierzaki? Skąd? Po co?

Przybysze bez wątpienia nie mieli nic wspólnego z Człowiekiem Właściwym. Mimo iż nie byli aż tak groteskowi jak przedstawiciele niektórych ras zwalczonych nie tak dawno przez prawowitych synów Ziemi, nie pasowali jednak do modelu Człowieka Właściwego, modelu określonego przez tytańskich antropometrów. Nawet najmarniejszy amator w dziedzinie rozróżniania ras poznałby natychmiast, że ma do czynienia z reprezentantami podgatunku dewiantów.

Odgłos strzału był ogłuszający. Porucznik Gann raz po raz naciskał spust z pełnym przekonaniem i zawziętością. Jeden z dewiantów zakręcił się w miejscu i upadł, chwytając się za zranioną rękę.

Zdezorientowany Heshke na powrót dobył broni, myśląc w popłochu, że może on powinien ruszyć na nieprzyjaciela. Nie zdążył jednak wystrzelić. Obaj towarzysze rannego przyklękli i starannie wycelowali w rozbitków przedmioty, które cały czas trzymał w dłoniach – zbyt małe, aby je zidentyfikować z dzielącej ich odległości. Tuż przed utratą świadomości Heshke usłyszał pod czaszką natarczywy brzęk.

Przyszedł do siebie w jednej chwili, jakby ktoś pstryknięciem zapalił mu w głowie światło. Był jednak w pełni świadom luki w czasie.

Dłuższą chwilę zajęło mu osvajanie się z dziwnym otoczeniem. Leżał, półsiedział właściwie, na czymś pośrednim między fotelem a kanapą, w wąskim, podłużnym pokoju udekorowanym na obu końcach lśniącym, złocistym filigranem. Był sam, jeśli nie liczyć żółtoskórego dewianta, który stał przy urządzeniu z płaskim szarym ekranem i powitał Heshkego oficjalnym uśmiechem.

– Czuje-dobrze? – zapytał z przedziwnym, nienaturalnym akcentem, wymawiając słowa wolno i starannie.

Heshke kiwnął głową.

– To-dobrze.

Heshke z uwagą obserwował gładką twarz drobnego, młodego strażnika. Ci dewianci kogoś mu przypominali... Z pewnością nie należeli do żadnego z podgatunków współczesnych, ale Heshke pamiętał, że widywał już podobne twarze na fotografiach ras dawno już eksterminowanych. Jakże oni się nazywali? Szinkowie? Chinkici? Tak czy owak, nie była to liczna grupa. Fakt, że posługują się machiną czasu czy też statkiem kosmicznym, był jednak wysoce bulwersujący.

– Gdzie moi przyjaciele? – zapytał Heshke.

Żółty grzecznie wysłuchał pytania, ale chyba nie zrozumiał. Posługiwał się językiem Heshkego na bardzo ograniczoną zapewne skalę.

Heshke stwierdził, że pozostawiono mu pełną swobodę ruchów. Wstał z kanapy i ze złowrogą miną podszedł do dewianta.

– Coście zrobili z moimi kolegami? – powtórzył podnosząc głos niemal do krzyku.

Dewiant powstrzymał go z dala jednym gestem, swobodnym, płynnym i pewnym siebie.

– Nie-bać-nic – uśmiechnął się serdecznie. Następnie gestem skierował uwagę Heshkego na obficie zastawiony stół: czajnik, filiżanka, półmiski pełne rozmaitych dań. Otworzył drzwi, których Heshke wcześniej nie zauważył, i wyszedł, zamykając je za sobą.

Heshke podszedł do stołu, zajął ustawione przy nim krzesło i przez dłuższą chwilę kontemplował ekspozycję naczyń i potraw. Ujął w końcu czajniczek i – świadom promiennego blasku tworzywa, jego kruchej żółtawej jasności i doskonałego kształtu – nappełnił czarkę cieczą barwy cytryny. Wypił chciwie aż do dna, zachwycony nieporównywalnym, niezemskim

smakiem napoju. Dopiero nalewając sobie drugą porcję zwrócił baczniejszą uwagę na mistrzostwo wykonania filiżanki. Zrobiona była z lekkiej jak piórko materii przypominającej kość, lecz cienkiej i delikatnej aż do przezroczystości. Nie miała żadnych ozdób: doskonałość formy nie wymagała podkreśleń.

Heshke uświadomił sobie, że jest oto w rękach ludzi, którzy wiedzą, jak zadośćuczynić zmysłom.

Głodny jak Wilk, rzucił się następnie na jedzenie: mieszankę ostro przyprawionych mięs, jarzyn i pozbawionych niemal smaku białych ziarenek, których nie zdołał zidentyfikować. W pierwszej chwili skrzywił się, gdyż potrawa było zaledwie letnia – nie cierpiał zimnego jedzenia o jednak ze smakiem sprzątnął wszystko z talerza.

Zaspokoiwszy głód, poczuł się znacznie lepiej. Niepokojąca świadomość, że dostał się w łapy dewiantów, nie dawała się całkiem odsunąć, ale w Heshkem dominowało teraz poczucie niezwykłości sytuacji.

Nie zabili go i chyba nie mieli takiego zamiaru. Wszystko wyglądało lepiej niż przed niezwykłym spotkaniem.

Heshke z uwagą lustrował pokój. Okazało się, że proporcje cztery do jednego mogą dać bardzo miłe wrażenie. Heshke pomyślał, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy nadać pokojowi taki właśnie kształt, a jednak coś w tym było; pokój był estetyczny. Dewianci, nie dewianci, pomyślał Heshke, ale z pewnością artyści.

Przypomniał sobie Blare'a Oblomota i jego buńczuczne wystąpienia w obronie dewiantów. Poczul skurcz serca. Biedny Blare.

Nagle Heshke uświadomił sobie ledwie słyszalny warkot maszyn, który dobiegał spod podłogi. Odnosił wrażenie, że pokój wędruje w górę, przechyla się lekko na jedną stronę i zaraz z powrotem odzyskuje równowagę.

No jasne! Był przecież na pokładzie jakiegoś pojazdu.

Heshke obszedł pokój wzdłuż ścian wyłożonych poziomymi listewkami barwy miodu i zatrzymał się przed urządzeniem, przy którym uprzednio stał dewiant. Urządzenie, wsparte na masywnym słupku, przypominało umywalkę. Kiedy Heshke się zbliżył, płaski szary ekran rozbliśnie neutralnym światłem i pojawiły się na nim słowa;

LECISZ W PRZESTRZEŃ MIĘDZYGWIEZDĄ.

Ściśle funkcjonalny wykrój liter pozbawił je jakiegokolwiek wdzięku. Dalej następował



schemat złożony z mocniej i słabiej zaznaczonych punkcików, na które nakładał się cały szereg koncentrycznych kół. Od środka oderwała się strzałka, która wolno ruszyła ku obwodowi schematu, a następnie zrywami podążyła w pustą przestrzeń.

Heshke odgadł, że ma przed sobą mapę nieba, jednak, jako dyletant w dziedzinie astronomii nie zdołał na niej niczego odczytać.

Odczekał chwilę, ale ekran nie dostarczył mu żadnych nowych informacji. Poczul paraliżujący lęk. Jego cywilizacja nie opanowała jeszcze możliwości lotów międzygwiazdnych, mimo iż stosunkowo dokładnie poznała okoliczne planety aż po Saturna. Fakt, że dewianci posługują się tak zaawansowaną techniką, dotkliwie zranił dumę rasową Heshkego, który natychmiast bezwiednie zaczął się doszukiwać w swoich porywaczach cech intelektualnej lub duchowej niższości, jakie znamionować miały wszystkich dewiantów.

Pogrążony w rozmyślaniach, przemierzał pokój w tę i z powrotem. Machinalnie pchnął drzwi, przez które wyszedł jego opiekun, a następnie pociągnął za wmontowaną w boazerię zasuwę. Ku jego zdumieniu poddała się bez trudu, znikając w ścianie.

Wyjrzał na pusty korytarz, wyłożony takimi samymi miodowymi listewkami jak jego pokój. Zawahał się. Może dewiant zapomniał zamknąć drzwi? Wyśliznął się jednak z pokoju i podążył korytarzem rozglądając się niepewnie w absurdalnym poczuciu winy, przekonany, że lada moment ktoś go zatrzyma.

Korytarz kończył się okrągłym hallem, z którego promieniście wybiegały inne korytarze. Heshke posuwał się ostrożnie tuż przy ścianie, zaglądając w głąb każdego pasażu po kolei. Nagle zeszywniał: korytarzem po prawej szedł ku niemu dewiant, którego wcześniej nie zauważył.

Heshke postanowił nie stawiać oporu i z bezradnie opuszczonymi ramionami stanął twarzą w twarz z obcym. Dewiant zwolnił kroku i spojrzał na Heshkego z ciekawością wnikliwego badacza. Następnie uniósł dłoń w geście sugerującym powitanie, zdawkowo kiwnął głową i, poszedł dalej.

Heshke popatrzył za nim w osłupieniu.

– Obywatelu Heshke!

Heshke odwrócił się zaskoczony. Głos należał do porucznika Ganna, który na wpół biegnąc, zbliżał się ku niemu jeszcze innym korytarzem.

– Chwała Ziemi, że pana znalazłem – powitał go zdyszany Tytan. – Bałem się, że coś z panem zrobili.

– To pan też jest wolny?

Gann skinął głową.

– Ascar tak samo. Tym diabłom jest po prostu wszystko jedno: oddali nam cały statek.

– Ale dlaczego?

– Pojęcia nie mam. Umysł dewianta to piekielna machina. Pewnie chcą nas poobserwować i przyłapać, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewali.

Tytan popatrzył dookoła, spojrzął na podłogę i na sufit, z wyraźną intencją zlokalizowania urządzeń podsłuchowych.

– Gdzie Ascar? – zapytał Heshke.

– W swoim pokoju. Popadł w apatię, siedzi i w ogóle się nie odzywa.

Heshke uważnie spojrzął Tytanowi w oczy. Dostrzegł oznaki wyczerpania nerwowego. Gann był inteligentny i dobrze wyszkolony, ale uległ działaniu stresu: w końcu, według doktryny, którą wyznawał, znalazł się w samym sercu piekła.

– Chodźmy – szturchnął go Gann. – Póki będziemy w ruchu, będzie im trudniej nas podsłuchać.

Poprowadził Heshkego w głąb jednego z korytarzy, krocząc szybko i perorując cichym, nerwowym szeptem.

– Tylko cicho – ostrzegł. – Nie trzeba im ułatwiać.

– Czy pan coś wie? – zainteresował się Heshke.

– Lecimy w przestrzeń międzygwiazdną. Statek posiada zapewne aparaturę umożliwiającą przemieszczanie się w czasie i przestrzeni międzygwiazdnej równocześnie. Zawsze podejrzewaliśmy, że Obcy czymś podobnym dysponują. Tak czy owak, to, co się stało, przeczy teorii Ascara, jakoby obcy interwencyjniści byli w istocie Ziemianami.

– Obcy? – zdziwił się Heshke. – Przecież...

Gann zmroził go wzrokiem.

– To chyba oczywiste. Ci dewianci są na usługach Obcych. To dokładnie w ich stylu. Na pewno wiozą nas do jakiejś obcej bazy.

Tak, pomyślał Heshke, dla niego to musi być oczywiste, bo umacnia wiarę w Matkę Ziemię, oczyszcza ją z zarzutu zdrady, jaką byłoby wydanie na świat aż dwóch równoprawnych potomków.

Nawet sam Heshke, po odrzuceniu doktryny, widział w twierdzeniu Ganna pewien sens.

– Ale skąd ta pewność? – zapytał. – Może to robota samych dewiantów?

Gann nie odpowiedział od razu. Czujnie popatrzył dookoła, wymachując przy tym rękami.

– Nie sądzę, obywatelu. Sami widzieliście wysoki standard wyposażenia tego statku. Niemożliwe, aby zbudowali go dewianci. Musieliby ponadto sami wymyśleć sposób podróżowania w czasie, a to już wymaga geniuszu. Rasy zdegenerowane nie dysponują takimi zaletami umysłu. Potrafią być sprytni, to fakt, ale nie genialni. Nie, obywatelu, za tym na pewno kryją się Obcy.

To także brzmiało wiarygodnie. Heshke musiał podbiec, aby dotrzymać kroku Tytanowi. Jeśli jednak uznać racje Ganna, oznaczałoby to, że we wszechświecie działa gigantyczna sieć konspiracyjna skierowana przeciwko Człowiekowi Właściwemu...

Gann szturchnął go ponownie, kierując w boczny korytarz. Minęli hali czy też świetlicę, w której grupa dewiantów stała przed ściennym ekranem, przypatrując się jakimś enigmatycznym wykresom. Dewianci prowadzili cichą dyskusję, którą przerwali tylko na chwilę, by rzucić okiem na przechodzących.

Gann przemówił, dopiero gdy znaleźli się w kolejnym pustym korytarzu.

– Nie wiecie, kim oni są? – zapytał, nieco głośniejszym głosem niż przedtem. – No tak, macie prawo nie wiedzieć, ale ja przeszedłem podczas studiów kurs identyfikacji ras.

– Istotnie, nie wiem, kim są – przyznał Heshke.

– To Chińcy – oświadczył Gann. – Oficjalnie podaje się, że ostatnie ich grupy eksterminowano pięćset lat temu. Całkiem ciekawy szczep, jak na dewiantów. Podobno byli obdarzeni nadludzkim wprost sprytem.

– Nadludzkim? – powtórzył w osłupieniu Heshke. A pan kwestionuje ich możliwości intelektualne?

– To chyba tylko zwierzęca przebiegłość, jakkolwiek znacznie spotęgowana. Umysł dewianta jest zawsze wynaturzony, jego owoce to dziwaczne nauki i praktyki, mimo iż stać ich czasem na niebywałą wprost subtelność. Kiedyś mówiło się nawet: „zmyślny jak Chiniec”.

Heshke uśmiechnął się ubawiony, lecz Gann przywołał go do porządku karcącym spojrzeniem.

– Nie ma się z czego śmiać. Sami byście się przekonali, gdyby was zasadzili nad chińską łamigłówką.

– Chińską łamigłówką? A to co takiego?

– Broń, której używali dla wywołania u ludzi rozstroju nerwowego. Jakieś niesamowicie chytne urządzenie z drutu czy z kawałków metalu. Człowiek, usiłujący ją rozwiązać, staje natychmiast wobec szeregu zawikłanych problemów i pytań, które całkowicie paraliżują mózg. A najgorsze jest to, że wolność można odzyskać dopiero po rozwiązaniu łamigłówek, co potrafi tylko Chiniec.

Heshke z głębokim westchnieniem pomyślał, że może istotnie rozeźmiał się przedwcześnie.

– Sami widzicie, że to urodzeni kandydaci na aliantów dla Obcych – podsumował Gann, – Może współpracowali z nimi od samego początku?

– Więc co teraz zrobimy?

– Naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, aby przejąć statek i doprowadzić go z powrotem na Ziemię, w Absolutną Teraźniejszość.

– Ale jak? – spytał Heshke, oszołomiony śmiałością planu.

– Jeszcze nie wiem. Nie zakończyłem rekonesansu. Załoga nie jest chyba zbyt liczna.

– Ale nawet zakładając, że zdobędziemy stery, co wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, to jak sobie z nimi poradzimy?

– Umiem pilotować maszynę czasu. Zasada działania jest taka sama jak w naszej. Z pomocą Ascara jakoś sobie poradzimy. A zmuszę go do pomocy, choćby siłą.

Tytan przerwał nieoczekiwanie. Znaleźli się w przestronnym pasażu, czy raczej galerii, której ścianę przesłaniały jedwabne parawany przedstawiające naszkicowane delikatną kreską postacie mężczyzn i kobiet na tle wierzb. Kreska, jaką posłużył się artysta, była oszczędna, ascetyczna, lecz niebywale wymowna.

– Tak by się w skrócie przedstawiała nasza sytuacja powiedział Gann. – A teraz możemy wracać do siebie. Nic nie jadłem i jestem potwornie głodny.

– Nie dali panu jeść? – zdumiał się Heshke.

– Coś tam postawili, ale zobaczyłem, że drzwi są otwarte, i postanowiłem natychmiast podjąć działanie. Zwiedziłem już cały statek.

A więc to dlatego Tytan wiedział o tyle więcej niż on. Gann był istotnie wzorowym służbistą.

– Obawiam się, że nie trafie, z powrotem – powiedział Heshke.

– Odprowadzę was. Albo lepiej chodźcie do mnie. Chociaż nie sądzę, aby bezpiecznie było rozmawiać w pokojach.

Heshke pozwolił poprowadzić się przez sieć korytarzy i wysłuchał wykładu o planie

wewnętrznym statku, który Gann rozpracował z zadziwiającą łatwością. Zanim się pożegnali, Heshke spojrział Tytanowi w oczy i unióśł palec, jakby miał teraz powiedzieć coś szczególnie ważnego.

– Mówił pan o chińskiej łamigłówce. Nie mogę pojąć, czemu oni pozwalają nam się tak wałęsać, szeptać po kątach i snuć wrogie plany. Może jesteśmy właśnie częścią takiej łamigłówki, którą oni manipulują?

Z ponurej, zaciętej twarzy Tytana wyczytał, że i jemu podobna myśl przyszła już do głowy.

Na statku Chińców łatwo było stracić rachubę czasu. Posiłki dostarczano nieregularnie, w miarę zgłaszania zamówień. Wystarczyło wcisnąć jeden z guzików przy szarym ekranie, aby już po chwili do pokoju wmaszerował radośnie uśmiechnięty Chiniec z tacą niezwykłych dań.

Porucznik Gann jadał niewiele. Cały swój czas poświęcał na szukanie sposobów realizacji planu opanowania statku, który to plan z konieczności zakładał współpracę Heshkego. Dość szybko zrezygnowali z zasady nie prowadzenia rozmów w pokojach. Heshke miał dość uganiania się po korytarzach za niezmordowanym Tytanem, a ponadto – jak powiedział Gannowi – obecni na pokładzie Chińcy najwyraźniej słabo znali Ziemską Mowę. W pokojach prawdopodobnie w ogóle nie było podsłuchu.

Celowo wygłosili kilka wyjątkowo śmiałych propozycji, aby sprawdzić, czy istotnie – jak przypuszczał Gann wyskoczy na nich z ukrycia banda Chińców, ale nic takiego się nie stało.

Zarówno Gann, jak i Heshke, usiłowali dogadać się z Leardem Ascarem, lecz fizyk tak doszczętnie zamknął się w sobie, iż zdawało się, że ledwie ich poznaje. Opychał się do nieprzyzwoitości chińskimi potrawami, a bulwersowanie Ganna egzotyką gustów wydawało się sprawiać mu wielką przyjemność.

– Te wasze pomysły nie mają rąk i nóg – zrzędził w odpowiedzi na tyrady Heshkego. – Tak samo jak te wasze bzdurne teorie.

Heshke był zdziwiony. Niezależnie od stanu psychiki Ascara, szanował wnikliwość jego intelektu.

– Dziwi mnie pańska postawa – rzekł z wyraźną przyganą. – Sądziłem, że akurat panu wyjątkowo zależy na pokonaniu Obcych.

Ascar tylko wzruszył ramionami, skrzywił się paskudnie i całą swą uwagę skupił na pochłanianiu dymiącej góry ryżu.

Heshke i Gann przeszli do pokoju Tytana.

– Na razie nie ma co na niego liczyć – przyznał niechętnie porucznik. – Ale jestem przekonany, że gdy nadejdzie właściwa pora, nie odmówi nam pomocy. Krótko mówiąc, z najgorszym musimy sobie radzić sami.

Heshke westchnął. Jego entuzjazm wobec całego przedsięwzięcia był znacznie mniejszy, niż to okazywał.

– Nie sądzę, abyśmy zdołali sobie poradzić – powiedział. – Sami przeciwko całej reszcie?

– Naszym obowiązkiem jest podjąć próbę, niezależnie od szans. Jeśli się nie uda, pozostanie nam popełnić samobójstwo, nim statek dotrze do celu. Nie możemy dopuścić do przesłuchań. A więc nie mamy nic do stracenia. – Gann popatrzył na Heshkego ponuro. – Ascara też trzeba będzie zabić.

– Ach tak... A co teraz?

– Mam pewien plan.

Gann sięgnął w fałdy tuniki i wydobyl z kieszeni ostry nóż.

– Skąd pan to ma? – zdziwił się Heshke.

– Z kuchni. Udało mi się zwędzić, zanim mnie wyrzucili.

– Ależ to żadna broń – zaoponował Heshke, otrząsnąwszy się z zaskoczenia.

– Mam jeszcze coś. Popatrzcie.

Gann rozpiął tunikę, podciągnął koszulę i dotknął miejsca tuż pod żebrami.

– Dotknijcie.

Heshke spełnił polecenie. Wyczuł pod skórą Tytana twardą grudkę.

– To coś, o czym Chińcy nie mają pojęcia – oświadczył Gann z satysfakcją. – Fiolka z gazem paraliżującym. – Nagle Tytan wymierzył ostrze noża w Heshkego. – No, już!

– Co już? – nie zrozumiał Heshke.

– Proszę to wyciąć!

Heshke ujął nóż, walcząc z falą mdłości. Gann wyciągnął się na leżance i zacisnął zęby na mankiecie koszuli. Heshke ciął, świadom, że zadaje ból.

Fiolka tkwiła na szczęście tuż pod skórą. Wszczepiono ją tak przemyślnie, że na ciele nie pozostał nawet ślad zabiegu chirurgicznego. Ciekawe, czy wszyscy Tytani są tak wyposażeni, pomyślał Heshke. Pewnie tak. Było to bardzo w stylu, jakim demonstrowali swą przynależność do elity, podobnie jak tatuaże z grupą krwi na wewnętrznej stronie ramienia.

Jajowata kapsułka, śliska od krwi, dała się usunąć z łatwością.

– Dzięki – odetchnął Gann. – Mogłem to zrobić sam, ale bałem się, że coś spaprzę.

– Mocno pan krwawi – zauważył Heshke.

Gann rozejrzał się po pokoju, ściągnął serwetę z małego stolika i silnymi dłońmi oderwał z niej równy pas, którym owinął się jak bandażem.

– Na razie wystarczy. A oto nasz plan. – Ostrożnie ujął kapsułkę i otarł ją z krwi. – Po pierwsze: musimy zdobyć broń. Po drugie: opanować sterownię. Chińcy na ogół chodzą nieuzbrojeni, ale zauważyliście pewnie tych, którzy ubierają się inaczej niż reszta, w niebieskie kurtki z wysokim kołnierzem?

Heshke potakująco skinął głową.

– Mamy powody sądzić, że oni noszą broń. To prawdopodobnie jacyś urzędnicy albo oficerowie. Zawsze jeden trzyma straż przed wejściem do sterowni. Podejdziecie do niego i postaracie się go zagadać. Wtedy ja zajdę od tyłu, jasne?

Gann wydobyl nóż i odegrał pantomimę obezwładnienia człowieka od tyłu i podcięcia mu gardła.

Heshke kiwnął głową, choć znów było mu niedobrze z obrzydzenia.

– Jasne – ciągnął Tytan. – Potem zabierzemy mu broń i wrzucimy fiolkę z gazem do wnętrza sterowni. Gaz działa błyskawicznie, a ulatnia się już po upływie pół minuty, więc przejmujemy kontrolę bez trudu. Gdyby któryś wydostał się stamtąd, zanim powali go działanie gazu, zastrzelimy go w drzwiach.

– A potem?

Gann zmarszczył brwi,

– Potem będziemy niestety musieli improwizować. Pozostaje problem: co z resztą załogi. Tak czy owak, zajmiemy najsilniejszą pozycję w newralgicznym punkcie statku, a na dodatek zyskamy cały arsenał broni. Przynajmniej pokażemy im, co to walka.

Nie nadaję się do zabijania, myślał Heshke w drodze do miejsca, gdzie miał się zrealizować plan Ganna. Jestem archeologiem, i to w średnim wieku. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

Nie było.

Całe szczęście, że to tylko dewianci, myślał dalej Heshke. Zabić dewianta to nie to samo, co zabić Człowieka Właściwego.

Ale nawet myśl o zabiciu psa napawała go odrazą.

Takie to myśli kłębiły mu się w głowie, gdy weszli w ostatni odcinek dzielący ich od

sterowni. Gann krzepiąco ścisnął łokieć Heshkego i ukrył się w jednym z bocznych korytarzy.

Heshke poszedł prosto aż do półowalnej niszy, z której przez wahadłowe drzwi wchodziło się do sterowni. Stał tam Chiniec, jak portier przed wejściem do wytwornego lokalu. Heshke zamarł na jego widok, zdjęty chwilową bezwładnością. Chiniec był bardzo młody, a jego twarz ufna do granic naiwności.

Odwrociwszy się, nie mógł nie zauważyć zmieszania Heshkego. Z drugiej strony, za plecami Chińca, pojawiła się wysoka, złowieszcza sylwetka Ganna. Gann niecierpliwym gestem ponaglał go do działania. Heshke posunął się o jeden chwiejny krok do przodu.

Wówczas, zniecierpliwiony jego wahaniami, Gann rzucił się do ataku. Otoczywszy szyję Chińca ramieniem, odchylił jego głowę do tyłu, obnażając miejsce, które przeciąć miał nóż. Heshke poczuł, że oczy wyłażą mu z orbit: nie mógł na to patrzeć, ale i nie był w stanie się odwrócić.

Lecz właśnie w chwili, gdy miało stać się najgorsze, coś – świetlna strzałka – przemknęło w dół z sufitu, godząc Ganna w plecy. Ciało Tytana momentalnie zwiotczało i osunęło się na ziemię, próbując pociągnąć za sobą Chińca. Twarz jednak prawie nie zmieniła wyrazu.

Chiniec odzyskał równowagę i, stanąwszy nad ciałem, przypatrywał mu się z widoczną konsternacją. Następnie pchnął wahadłowe drzwi i wysokim, śpiewnym głosem krzyknął coś do ludzi w środku. Ze sterowni wybiegła grupa Chińców. Wszyscy najpierw spoglądali na ciało Ganna, a zaraz potem zwracali się ku Heshkemu, zagadując w swoim języku i mimiką wyrażając mu współczucie, serdeczność i żal.

Jeden z Chińców ujął Heshkego pod ramię i wprowadził do sterowni. Heshke zlustrował ją okiem dyletanta: ciągnące się po obu stronach wklęsłe konsolety i migające kalejdoskopowymi obrazami ekrany nie znaczyły dla niego absolutnie nic.

Chiniec, który wprowadził go do środka, podszedł do jednej z tablic i wystukał coś na klawiszach. Po chwili na ekranie nad jego głową pojawił się napis: PROGRAM STATEK SAMOOBRONA. SMUTNA ŚMIERĆ PRZYJACIEL. BYŁO OSTRZEC. WIELKI ŻAL.

Heshke smętnie pokiwał głową i wyszedł ze sterowni, przed którą nadal stała grupka Chińców. Nie wiadomo skąd pojawił się Ascar. Z nieodgadnioną miną wpatrywał się w ciało porucznika. Nagle wzniosł ręce skrzyżowane w geście tytańskiego pozdrowienia.

- Chwała dzielnemu oficerowi – rzekł z przekąsem.
- On naprawdę był dzielny – powiedział Heshke.



– Wiem.

Heshke poczuł obezwładniające zmęczenie.

Wrócił do swego pokoju i nie ruszył się stamtąd aż do końca podróży. Czuł się pokonany, ale ze zdumieniem stwierdził, że śmierć Ganna poruszyła go mniej, niż się tego spodziewał.

Nie popełnił też samobójstwa. Doszedł do wniosku, że Ascar miał rację: Gann zbyt pochopnie osądził ludzi, którzy wyratowali ich z nie-czasu. Nie było żadnych dowodów na ich wrogie intencje.

Heshke spał, jadł, znowu spał i znowu jadł, aż poczuł się wypoczęty. Wówczas pojawił się Chiniec, który znów zaprowadził go do sterowni. Obecny tam Ascar powitał Heshkego spojrzeniem i kiwnięciem głowy. Najwyraźniej czuł się w sterowni jak u siebie w domu.

Chiniec wskazał palcem na ekran i nareszcie Heshke zrozumiał wszystko. Przed sobą widział cel podróży. Jak w transie wpatrywał się w rozmigotany obiekt przypominający klepsydrę, który wisiał w ebonitowej przestrzeni na tle błyszczących gwiazd. Odezwała się w nim dawno zakorzeniona wątpliwość: baza Obcych, czy...

No właśnie: czy co?

## Rozdział ósmy

Spoza przezroczystej ściany obserwatorium czaso-przestrzennego Siu Kung-Czien patrzył na lądujący w pobliskiej bazie statek, który powracał z Ziemi. Patrzył bez entuzjazmu, a nawet z lekkim zniecierpliwieniem: przelot statku zakłócał działanie jego aparatury, co zmusiło Siu Kung-Cziena do chwilowego zawieszenia eksperymentu.

Czekając, aż wszystko wróci do normy, Siu popijał zieloną herbatę, kontemplując otaczający go zewsząd ciemny, upstrzony gwiazdami wszechświat. Z satysfakcją odnotował uczucie własnej znikomości wobec ogromu, któremu się przyglądał: czuł, że jako twór organiczny i myślący jest w tym świecie obcym elementem. Wokół niego roztaczał się bezmiar nie-czasu, wszechświat, który bardzo długo w ogóle nie znał takiego zjawiska jak czas. Zjawisko to zaczęło się stopniowo pojawiać tu i ówdzie, na ogół bardzo słabe, choć zdarzały się i procesy o wielkiej sile, postępujące w rozmaitych kierunkach, pod różnymi kątami względem siebie. Niektóre przecinały się. Dzięki takim właśnie sporadycznym, krótkotrwałym zjawiskom możliwe było życie.

Ziemię spotkało największe nieszczęście wszelkiego bytu: pojawiły się na niej dwa różne strumienie czasu. Co więcej, strumienie te dążyły do czołowego zderzenia.

Nie była to sytuacja unikalna, zwłaszcza w galaktykach, w których brak równowagi sił in i jang powodował powstanie kilku systemów czasu na raz. Choćby dlatego lepiej było zamieszkać w przestrzeni międzygwiazdnej, z dala od ośrodków czasu. Nawet w takim oddaleniu Miasto-Retorta przed kilku laty otarło się o widmo zagłady, trafione rykoszetem przez obiekt, którego trajektoria czasu krzyżowała się ukośnie z kierunkiem przepływu czasu Miasta. Siu Kung-Czien nadal śledził tamten obiekt: on właśnie był przedmiotem jego obecnych eksperymentów.

Nalewając sobie trzecią filiżankę aromatycznej herbaty, Siu Kung-Czien stwierdził, że statek czasoprzestrzenny przeszedł już przez służę. Ziemscy pasażerowie będą na pewno roztrzęsieni i bezradni, pomyślał przewidując szereg uciążliwych obowiązków, które w związku z tym go oczekują. Siu Kung-Czien był zdecydowanie przeciwny udzielaniu Ziemi jakiegokolwiek pomocy, a to w obawie przed obróceniem na ten cel wszystkich możliwości produkcyjnych Dolnej Retorty, co przyniosłoby znaczne niedogodności, zwłaszcza jeśli idzie o dostarczanie jemu samemu zamówionego wyposażenia badawczego. Jego opór nie znalazł jednak poparcia innych

członków gabinetu, powodowanych synowskim szacunkiem dla planety, która wydała na świat rodzaj ludzki.

Umieszczony z boku indyktor poinformował go, że statek właśnie wygasił silniki. Siu Kung-Czien wstał i skinieniem ręki przywołał swych cybernetycznych asystentów.

– Droga wolna. Zaczynamy.

Roboty rozjechały się po sali, by dokonać ostatnich przygotowań. W tej samej chwili przerwano Siu Kung-Czienowi jeszcze raz: od strony wejścia do obserwatorium rozległo się uprzejme powitanie, po czym w drzwiach pojawiła się stateczna postać premiera Hwen Wu.

– Witani szanownego kolegę w mojej pustelni – rzekł Siu Kung-Czien z ledwie dostrzegalną nutką rozdrażnienia w głosie. – Przybywa pan zapewne w związku z lądowaniem statku z Ziemi.

Gość skinął głową.

– Jednym z pasażerów jest podobno uczony o dość wysokiej reputacji. Ściślej rzecz biorąc ten sam, który rozszyfrował zagadnienie podróży w czasie. Nienasycony, jeśli idzie o wiedzę. Na pewno będzie chciał z panem dłużej porozmawiać.

Siu Kung-Czien niecierpliwie szarpnął brodę i zaklął pod nosem.

– Mam tracić czas na pogaduszki z przygłupim barbarzyńcą? Niech komuś innemu demonstruje bezmiar swojej ignorancji. Do tego wystarczy byle kto.

Hwen Wu dał wyraz swemu zdumieniu.

– Należy być uprzejmym, Kung-Czien. Mówiono mi, że sądząc po jego sposobie bycia, człowiek ten będzie należał na spotkanie z naszym głównym ekspertem w tej dziedzinie, a więc z panem.

– No dobrze już, dobrze. Ale nie można by tego odłożyć? Jestem w połowie niezwykle ważnych badań. Lada chwila mogę nawiązać kontakt z Istnieniem Ukośnym.

– Doprawdy? – Hwen Wu aż klasnął w dłonie ukryte w czeluści szerokich rękawów. – Myślałem, że jest ono już poza naszym zasięgiem.

– Tak, w świetle starej techniki. Moje nowe urządzenie działa jednak na zasadzie bezpośredniego kontaktu wszechmysłowego.

– Czy to aby nie jest odrobinę niebezpieczne? – zaniepokoił się dobrodusznie Hwen Wu.

Siu Kung-Czien wzruszył ramionami.

– Z tym Ziemianinem nie ma wielkiego pośpiechu przyznał premier po krótkiej pauzie. – Musi jeszcze przejść kurs językowy. Czy nie naraziłbym na szwank pańskiego eksperymentu

pozostając tutaj i...

– Ależ proszę, proszę popatrzeć – odparł Kung-Czien. – Chociaż pewnie niewiele będzie widać.

Roboty zasygnalizowały pełną gotowość. Siu Kung-Czien, główny ekspert Miasta-Retorty w kwestii badania zjawiska czasu, zamknął się w szklanej kuli, której wewnątrz – mimo przejrzystości ścian – pograżone było w półmroku. Kung-Czien wymamrotał jakieś polecenie, natychmiast przejęte przez cybernetyczny system kontroli.

Hwen Wu przypatrywał się wszystkiemu z jowialnym uśmiechem. Zobaczył, że zamknięty w kuli uczony sztywnieje, jak gdyby tknięty nagłym paraliżem. Kung-Czien patrzył nie widząc, nasłuchiwał nie słysząc, jego skóra nie czuła już dotyku ubrania ani ucisku podłogi, na której opierał stopy. W sensie cielesnym istniał nadal, jednak wszystkie jego zmysły – a zatem i umysł – przeniosły się na odległość setek lat świetlnych, w kierunku, którego nie potrafiłby wskazać żaden kompas: na ukos w czasie.

– Co teraz zrobimy, ojczy?

Były minister Hiu Siao spojrział na Siu-Minga i ze ściśniętym sercem uzmysłowił sobie, że jego syn wyrósł na bardzo przystojnego młodzieńca.

– My? – powtórzył zdumiony. – Przecież to twój plan, to ty powinieneś mieć jakieś dalsze zamiary...

– Miałem nadzieję – płątał się Siu-Ming – że udzielisz mi, ojczy, jakichś wskazówek. Może udałoby się uciec z Miasta i przedostać na Ziemię?

– Hramm... Może i tak... chociaż wątpię, a poza tym nie wiemy nic o panujących tam teraz warunkach. Nie sądzę, że zdołalibyśmy tam przeżyć.

Siu-Ming nie przejął się specjalnie: plan podróży na Ziemię i tak wydawał mu się od samego początku najmniej realny. Liczył po prostu na to, że we dwóch z ojcem jakoś dadzą sobie radę. Początkowe ośpienie nagle minęło, Siu-Ming wyprostował się i przemówił z nieoczekiwaną determinacją:

– W takim razie wracaj ze mną do Retorty Produkcyjnej. Pełno tam opuszczonych, bezludnych terenów. Znajdziemy ci kryjówkę.

– Mam zamienić jedno więzienie na drugie? A co to da? – ojciec zmarszczył brwi.

– Nie o to chodzi – Siu-Ming pojął nagle z całą jaskrawością sens swojego działania. – Mamy coś bardzo ważnego do zrobienia! – zawołał z pasją. – Musimy obalić ten ustrój!

Ojciec spojrział na niego jak na wariata.

– Nie wiesz, co mówisz! – szepnął zdławionym głosem.

– A czy nie z tych samych powodów ty popełniłeś zbrodnię, usiłując uchronić mnie przed wyznaczonym losem? – wpadł mu w słowo Siu-Ming. – Czy nie uderza cię ogrom niesprawiedliwości, w jakiej żyjemy? Jedną część społeczeństwo zmusza się do tego, by produkowała i żyła tylko pracą, jeśli nie liczyć tych kilku prymitywnych rozrywek, które są im dostępne, podczas gdy druga część pasożytuje sobie na nich w najlepsze, jak pijawka?

– Ale utrzymujemy w ten sposób najwyższy stopień rozwoju cywilizacji! – odparł gwałtownie Hiu Siao. – Sztuka i nauka osiągnęły w Retorcie Konsumpcyjnej swoje apogeum, nie wspominając już o doskonałości naszego stylu życia. Czy bylibyśmy w stanie poświęcić się temu wszystkiemu, gdybyśmy musieli równocześnie wytwarzać dobra materialne?

Siu-Ming był wstrząśnięty tą nieoczekiwaną repliką,

– Mieszkańcom Dolnej Retorty też spodobałoby się życie tutaj – powiedział. – Gdyby tylko mieli okazję go zaznać. Nie mają jednak takiej okazji, i to jest właśnie niesprawiedliwe. Wszyscy powinni uczestniczyć zarówno w produkcji, jak i w konsumpcji dóbr wyższego rzędu.

– Wówczas nie rozwinęlibyśmy przywoicie ani produkcji, ani kultury – odparł ojciec, zbywając jego wywód machnięciem ręki. Zniżył głos i spochmurniał. – Co do moich motywów, kiedy próbowałem zatrzymać cię w Retorcie Konsumpcyjnej, wyznam, że były one czysto egoistyczne. Chciałem, aby mój syn żył tak, jak ja sam żyłem. Nie było w tym ani cienia poczucia ogólnej niesprawiedliwości. Poczucie takie zrodzić się mogło, jak sądzę, jedynie w kimś, kto zaznał życia po obu stronach.

– A więc chodź ze mną do Dolnej Retorty i zobacz drugą stronę na własne oczy!

Hiu Siao westchnął.

– Zdaje się, że chowając cię w sekretnych pokojach dokonałem większej zbrodni, niż mi się zdawało. Rewolucja społeczna, ha!

– A więc zgadzasz się? Jeśli znikniemy natychmiast, nie dowiedzą się przez jakiś czas o twojej ucieczce.

– Już o niej wiedzą – odparł Hiu Siao wskazując na tablice przy drzwiach. Na jednej z nich paliło się złotawe światelko. – Kontroler fazy czasu dał już znać o wywołanym przez ciebie zakłóceniu.

Siu-Ming skulił się i wstrzymał oddech. Następnie rzucił się ku tablicy, wyciągając

pośpiesznie model Miasta-Retorty, który służył mu do kontrolowania czasu.

– Szybko! Zanim tu przyjdą! Może uda mi się przenieść nas za pomocą tego w inną fazę, staniemy się niewidzialni.

Twarc Hiu Siao wyrażała mieszaninę smutku, litości i żalu. Wyszedł za synem na korytarz, gdzie Siu-Ming z desperacją majstrował przy swoim modelu, mieniącym się teraz rojem migotliwych światełek.

– Udało się! – rzekł w końcu zadowolony Siu-Ming. Jesteśmy cofnięci w czasie o całe pół minuty. Jeśli się pośpieszymy, za godzinę będziemy w Dolnej Retorcie.

Hiu Siao ponownie się zawahał, po czym, jakby podjął nagłą decyzję, kiwnął głową i podążył za Siu-Mingiem poprzez perfumowane korytarze, trzymając się cały czas w zasięgu kontrolera czasu. Siu-Ming kroczył szybko, w radosnym podnieceniu. Zanim jednak opuścili niebezpieczny teren, natknęli się na to, czego Hiu Siao od początku się spodziewał, choć w przyływie optymizmu zwątpił w nieuchronność takiego właśnie rozwoju zdarzeń.

Był to rzadki widok w Retorcie Konsumpcyjnej: z drugiej strony korytarza nadchodzili ku nim czterej obywatele w strojach obrońców prawa, o uderzająco surowym wyglądzie, jaki nadawały im obcisłe granatowe bluzy ze sztywnymi kołnierkami. Szli spokojni i pewni siebie.

Dowódca trzymał w dłoni niewielką tulejkę, którą dzierżył przed sobą jak pochodnię. Siu-Ming poczuł, że robi mu się niedobrze i z niesmakiem uświadomił sobie, że przywrócono go oto do czasu normatywnego. Instynktownie sięgnął ku swej podwójnej retorcie, ale ręka zatrzymała się w połowie, gdyż Siu-Ming zrozumiał, o ile większą moc ma urządzenie przeciwnika.

Dowódca popatrzył kolejno na obu zbiegów i w, jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– Panowie będą łaskawi pójść ze mną – rzekł uprzejmie. – Przykro mi, ale mamy podejrzenia, że występują panowie przeciwko panującym w Mieście zasadom.

Cała czwórka wykonała w tył zwrot i podążyła naprzód, pozwalając więźniom iść za sobą bez przymusu. Siu-Ming z rozpaczą pomyślał, jak płonne okazały się jego nadzieje.

Od chwili gdy opuścili statek i znaleźli się w niesamowitym kosmicznym mieście, towarzyszyła im nieustanna fantasmagoria zaskakujących wrażeń. Heshke teraz dopiero uświadomił sobie, że statek, którym tu przybyli, był wzorem surowej, praktycznej funkcjonalności w porównaniu z przepychem, w jakim żyli mieszkańcy Miasta.

Orzeźwiający powietrze pełne było miłych zapachów. Rond Heshke i Leard Ascar wyszli

z doku, w który ich pojazd wpasował się jak ulał, i ujrzeli przed sobą oszałamiający widok: na licznych poziomach ciągnęły się we wszystkich kierunkach ściany parawanów i murów, zagmatwane jak labirynt, który miejscami ukazywał fragmenty bajecznie kolorowych ogrodów i parków.

Wszystko ociekało luksusem. Dookoła, takie ze ścian i sufitów, wyrastały kiście kwiatów i subtelne kielichy orchidei. Przypominało to potoczną wizję Raju.

Chiniec powiódł ich pod niskimi arkadami i gestem zaprosił do zajęcia miejsc w powozie, który właśnie się przed nimi pojawił, a który – co Heshke odnotował ze zdumieniem – zdawał się być zrobiony z zielonego nefrytu. Powóz ruszył bezszelestnie uliczkami labiryntu, a Heshke korzystał z okazji, by poobserwować mieszkańców Miasta. Ubrani byli rozmaicie, jednak większość mężczyzn nosiła długie, fałdziste jedwabne szaty o przepastnych rękawach. Starsi mężczyźni wyróżniali się na ogół długimi, rzadkimi brodami, co dodatkowo udziwniało ich skośne rysy i tak niewiele mające wspólnego z ludzką twarzą.

Kobiety stroiły się znacznie bardziej różnorodnie. Jedne opływały w przepyszne jedwabie, inne nosiły krótkie, śmiało rozcięte spódnice lub też coś, co tylko symbolicznie nazwać by można strojem. Czarne włosy zdobiły kwiatami. Pomimo odruchowej niechęci do dewiantów, Heshke chłonał obce sobie piękno jak zauroczony, przejęty gracją i spokojem, z jakim poruszali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Jego „naukowa” koncepcja dewiantów z każdą chwilą traciła na wiarygodności. Niemożliwe było, aby – zgodnie z teorią porucznika Ganna – wszystko to było tworem istot pozaziemskich. Ci Chińcowie mieli niezaprzeczalne poczucie piękna – cechę przynależną, zgodnie z tytańską doktryną, jedynie Człowiekowi Właściwemu. Heshke przypomniał sobie Blare’a Oblomota, którego podobna konstatacja wcale by nie zdziwiła.

Ascar raz jeszcze miał rację: oni tam na Ziemi mylili się od początku do końca. A Ascar nie był przecież żadnym sympatykiem podziemia. Heshke odwrócił się ku fizykowi, chcąc powiedzieć coś na ten temat, ale Ascar w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie. Tępy wzrokiem wpatrywał się we własne kolana, a na twarzy miał swój zwykły wyraz naburmuszonej pogardy.

Nic do niego nie dociera, pomyślał zdumiony Heshke. Ascar to mózg, ślepy na wszystko poza abstrakcją.

Powóz dotarł do szybu z platformą, która, poprzez gęstwą pachnącego listowia, przeniosła

ich na wyższy poziom. Nie było tu ogrodów; przed podróżnikami ciągnęła się teraz nieskończona perspektywa komnat letniego domu, poprzedzielanych wiotkimi, ruchomymi, bogato zdobionymi parawanami. Na polecenie przewodnika Ascar i Heshke wysiedli z powozu i przespacerowali się po domostwie bez ścian. Heshke stwierdził, że prawie nie było tam mebli – i słusznie, gdyż nadmiar przedmiotów z pewnością popsułoby wrażenie lekkości i nierealności wnętrza. Wszystko w tym mieście zdawało się być urządzone tak, aby sprzyjało ogólnej harmonii.

Skręcili za róg i zatrzymali się w niewielkim pomieszczeniu, gdzie wysoki brodaty starzec powitał ich wyniośle chłodnym spojrzeniem. Na stoliku obok znajdowało się kilka miseczek i zestaw cienkich igieł, złotych i srebrnych. Za stolikiem widniał niewiadomego przeznaczenia aparat, a na ścianie za plecami starca – z pozoru zwyczajny ekran telewizyjny.

Starzec powiedział coś cicho i nobliwym gestem wskazał Heshkemu miejsce na leżance.

Heshke usłuchał, nie bez ociągania, i ze zgrozą stwierdził, że Chiniec ujmuje jedną z długich cienkich igieł. Odraza do dewiantów wróciła z całą gwałtownością, a wyobraźnię Heshkego w jednej chwili wypełniły koszmarnie obrazy wstrętnych, przemyślnych tortur. Widząc jego przerażenie, Chiniec zawahał się i spojrzał na niego z ukosa.

Wtedy odezwał się Ascar, walcząc z opornymi sylabami. Ku bezgranicznemu zdumieniu Heshkego, fizyk zdołał opanować kilka fraz niebywale trudnej mowy Chińców. Starzec odpowiedział coś Ascarowi, wymawiając słowa bardzo wolno i wyraźnie, tak, aby tamten na pewno zrozumiał.

– Nie ma się czego bać – zwrócił się Ascar do Heshkego. – Nic się panu nie stanie. To tylko rodzaj indukcji: chcą nas nauczyć swojego języka.

Częściowo uspokojony Heshke opadł z powrotem na leżankę. Starzec zbliżył się, pomrukując coś pod nosem, i dotknął Heshkego tuf za uchem. Miejsce, którego dotknął palcem, momentalnie straciło czucie. Wówczas Chiniec użył igły: Heshke wywnioskował z jego ruchów, że wbija ją pod skórę na coraz większą głębokość.

Aż do mózgu!

Heshke walczył z uczuciem paniki. Chiniec, z całą precyzją i znanstwem doświadczonego lekarza, umieścił ze dwanaście igieł w różnych punktach jego ciała, zwłaszcza w okolicach głowy, szyi, dłoni i ramion. W miarę postępowania zabiegu uczucie lęku mijało, wypierane przez dziwny, nieokreślony stan błogości. Wreszcie starzec odszedł na bok i za chwilę powrócił, by nałożyć Heshkemu na uszy słuchawki, na oczy zaś gogle, które pograżyły go w absolutnej czerni.



Heshke usłyszał jeszcze pstryknięcie kontaktu.

Zasnął w mgnieniu oka.

Kiedy się ocknął, nie miał pojęcia, ile mogło upłynąć czasu. Starzec z precyzyjną skrupulatnością usuwał igły z jego ciała. Ascar także był już po zabiegu. Uniósł się na sąsiedniej leżance, witając Heshkego sardonicznym uśmiechem.

– Znakomicie – rzekł starzec. – Witam was w naszym mieście, czcigodni goście.

Powiedział to w śpiewnym języku Chińców, a jednak Heshke rozumiał każde słowo.

– To niesamowite! – zawołał, starzec jednak uciszył go skinieniem ręki.

– Nadal przemawiasz w swoim języku – skarcił go melodyjnie. – Popróbuj znaleźć w sobie drugi język i przemów jeszcze raz.

Heshke, zaintrygowany, spróbował zastosować się do polecenia, kierując całą swą uwagę do wewnątrz.

– Chwaliłem efektywność zabiegu – rzekł. – Chciałbym wiedzieć, na czym to polega.

Mówiąc to, dokonał nagłego odkrycia: znalazł „drugi język”, egzystujący teraz w jego umyśle na równi z „pierwszym”, w pełni zdolny, by opanować krtań i język, by wyrażać myśli Heshkego równie automatycznie i bezbłędnie jak jego macierzysta mowa. Kilka ostatnich słów wymówił Heshke w języku Chińców.

Z początku doznał dziwnego uczucia: jakby udało mu się samą siłą woli zmienić kanał wideoru.

Starzec uśmiechnął się uprzejmie.

– Zasada zabiegu jest niezwykle prosta – wyjaśnił. Podczas gdy był pan uśpiony, metodą przyspieszoną wprowadzono panu do mózgu treść zaprogramowanego przez komputer kursu językowego. W rezultacie pański ośrodek mowy dysponuje w tej chwili naszym odpowiednikiem na każde słowo i każde pojęcie pańskiego języka ojczystego.

– Całkiem niezłe – wtrącił się Ascar, bezbłędnie władając mową Chińców. – Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem. Nie uwierzyłbym, że to możliwe, a już na pewno nie w tym tempie.

Heshke z podziwem wsłuchiwał się w płynność wypowiedzi Ascara, z równym podziwem stwierdzając zarazem własną zdolność jej rozumienia.

– Zdaje się, że zdolność mózgu ludzkiego do przyswajania informacji z prędkością pracy komputera nie jest znana ludziom na Ziemi – przyznał starzec. – Osiągamy to poprzez zastosowanie starej techniki zwanej akupunkturą. – Tu wskazał na leżące na stoliku igły. –

Umieszczenie tych oto igieł w określonych punktach pod skórą daje nam możliwość uspienia bądź ożywienia poszczególnych nerwów. W ten sposób otwieramy bezpośrednie kanały do mózgu, który potrafi wówczas przyswajać dane znacznie szybciej niż normalnie. Akupunktura ma też szereg innych zastosowań.

– Metoda ta sprawia jednak wrażenie bardzo prymitywnej – zauważył Heshke przypatrując się igłom. – Trudno to nazwać szczególnie wyszukany urządzeniem.

– Jest to metoda bardziej związana z wiedzą i praktyką, niż z doskonałością techniki – odparł starzec. – Stosowano ją od bardzo dawna, ale dopiero nam tu, w Mieście, udało się znacznie udoskonalić i rozszerzyć zasięg jej działania. Podobno wymyślił ją starożytny filozof Mao Tse-Tung, także wynalazca metody generacji energii elektrycznej. – W tym miejscu Chiniec uśmiechnął się pobłaźliwie. – To oczywiście legenda, na której nie można do końca polegać. O tym samym Mao Tse-Tungu mówią, że wypędził złe demony, Liu Szao-Tsi i Lin Piao.

Ascar chrząknął pogardliwie i rzucił Heshkemu kąpiące spojrzenie.

– Święta racja. Historia to jedna wielka bujda.

Heshke zignorował przytyk.

– Zakładam, że pańscy ludzie sprowadzili nas tutaj nie bez kozery – zwrócił się do starca. – Kiedy poznamy powód?

Starzec westchnął.

– Tak, to bardzo przykre. Ale nie moja to rzecz. Spotkacie się z przedstawicielami rządu, być może nawet z samym premierem. Cierpliwości.

– Do licha z cierpliwością! – nie wytrzymał Ascar, stwierdzając, że przekleństwa obowiązujące w Mieście-Retorcie są jak na jego gust stanowczo za łagodne. Kiedy wreszcie będę mógł pogadać z waszymi fizykami?

Ze względu na powagę przestępstwa, sądowi przewodniczył sam premier Hwen Wu. Obok niego zasiedli dwaj ministrowie, natomiast miejsce w bocznej ławie zajęli doradcy sądowi, eksperci w dziedzinie logiki i prawa.

Hui Siao odpowiadał jako pierwszy. Zaproponowano mu filiżankę zielonej herbaty, lecz odmówił. Przyznał się do próby ucieczki z miejsca odosobnienia, dodając przy tym, że zamierzał szukać schronienia w Retorcie Produkcyjnej, gdzie miał mu pomagać syn. Jego cichy i spokojny głos zdradzał ogromne znużenie.

Przebieg procesu zakłócił pogodę ducha Hwen Wu. Premier wiedział, że w sprawie tego

człowieka, który był niegdyś jego bliskim przyjacielem, zapasć może właściwie tylko jeden wyrok.

– Chciałbym złożyć Wysokiemu Sądowi jeszcze jedno oświadczenie – ciągnął Hiu Siao. – Domagam się uniewinnienia mego syna, Siu-Minga, który zgadzając się na przeprowadzenie mnie do Dolnej Retorty, co nie było jego pomysłem, lecz moim własnym, spełniał jedynie synowski obowiązek. Syn odnosi się do mnie z szacunkiem, jakim obdarzamy dziadków. Dodam też, że wszelkie jego odchylenia od normy są wynikiem moich własnych poczynań: gdybym nie popełnił przed laty pierwszej zbrodni, syn byłby dziś szczęśliwym i nienagannym obywatelem Retorty Produkcyjnej, który nic nie wie o innym życiu. Oświadczam zatem, że każda kara będzie w stosunku do niego, niesprawiedliwością.

Jeden z logików podniósł rękę do góry i wstał, gdy udzielono mu głosu.

– Oświadczenie oskarżonego, jakoby to on sam nakłonił syna do ucieczki w Retortę Produkcyjną, wydaje się niespójne – zauważył logik bez cienia napastliwości. – Oto fakty: Hiu Siao i Siu-Ming zostali ujęci w chwili, gdy opuszczali teren odosobnienia, gdzie przebywał Hiu Siao. Oskarżony potwierdza, że tak istotnie było. Uznając teraz jego oświadczenie za prawdziwe, należy pamiętać, że Hiu Siao musiał wiedzieć, że obaj z synem będą ujęci przed opuszczeniem Retorty Konsumpcyjnej, jakkolwiek syn mógł o tym nie wiedzieć i być może istotnie nie wiedział.

Niemożliwe, aby Hiu Siao świadomie podjął próbę zrobienia rzeczy niewykonalnej – a zatem jego działaniu musiały przyświecać inne cele.

– Jakież to mianowicie? – zainteresował się Hwen Wu.

– Fakty pozwalają nam przypuszczać, że Hiu Siu-Ming zjawił się u ojca niespodziewanie i bez jego udziału zlikwidował przesunięcie czasu. Hiu Siao znalazł się w kłopotliwej sytuacji: wiedział, że plan syna jest niewykonalny i że Hiu Siu-Ming wystawia się na surową karę. Od tej chwili jego głównym celem stało się uchronienie syna przed karą – proszę pamiętać o niezwyklej więzi, jaka ich łączyła, jakkolwiek nam może się ona wydawać nienaturalna. Hiu Siao udał zatem, że przystaje na plan syna, mając przy tym nadzieję, że w krytycznej chwili uznany zostanie za współnika Hiu Siu-Minga i weźmie na siebie część winy.

Hwen Wu zwrócił się do oskarżonego.

– Czy oskarżony potwierdza tę interpretację wydarzeń?

Hiu Siao skinął głową: logik bezlitośnie obnażył jego rzeczywiste motywy działania.

– Druga część oświadczenia Hiu Siao nie budzi jednak podobnych wątpliwości – ciągnął logik. – Zaburzenia umysłowe Hiu Siu-Minga należy rzeczywiście złożyć na karb postępowania ojca. Czy jednak należałoby w świetle tego faktu uniewinnić młodszego z oskarżonych, to już odrębna kwestia. Nie wolno nam tak lekkomyślnie pomijać zasady osobistej odpowiedzialności.

Premier słuchał z uwagą, wnikliwie rozważając każde stwierdzenie. Wreszcie ponownie zwrócił się do oskarżonego:

– Sąd stwierdza, że oskarżony winien jest podjęcia próby ucieczki. Sąd nie dopatrył się jednak winy oskarżonego w planowaniu i przygotowywaniu ucieczki. W przypadku oskarżonego, naruszenie kodeksu etycznego Miasta nie kwalifikuje się jako szczególnie drastyczne, ale tej kwestii nie będziemy tu rozważać. Istotne jest to, że wypłynęła oto ponownie prawdziwa zbrodnia oskarżonego, zbrodnia niewątpliwie poważniejsza. Oskarżony odpowiedzialny jest za wychowanie osobnika o nieuleczalnych prawdopodobnie skłonnościach przestępczych. Syn oskarżonego już w śledztwie wyznał, że jest zagorzałym wrogiem panującego ustroju społecznego.

Premier w zamyśleniu przeczesywał palcami pasemka brody.

– Zbrodnia oskarżonego jest zbrodnią niewybaczalną, gdyż godzi w podstawy naszego życia społecznego – podjął w końcu. – Rozprzestrzenienie jej mogłoby grozić zagładą całej cywilizacji Miasta-Retorty. Pomimo to zastosowano wobec oskarżonego łagodny wymiar kary, gdyż był to pierwszy przypadek popełnienia przestępstwa tego rodzaju na przestrzeni wieków. Ten łagodny wyrok musimy dzisiaj skorygować. Z żalem oświadczam, że Sąd skazuje oskarżonego na karę śmierci. – Premier spojrział na Hiu Siao bez cienia emocji. – Czy oskarżony zgadza się z wyrokiem?

Hiu Siao kiwnął głową. Niemalże czytał w myślach premiera: wyrok dotyczył nie tylko jego – Hwen Wu skorzystał z okazji ukarania Siu-Minga bez wymierzania mu kary. W ten sposób czynił zadość i sprawiedliwości moralnej, i prawnej, mimo kolizji tych dwu zasad.

– Proszę zatem o natychmiastowe wykonanie wyroku.

Hiu Siao odwrócił się i wyszedł drzwiami na prawo.

Po krótkiej chwili miejsce na ławie oskarżonych zajął Siu-Ming. Wysłuchał aktu oskarżenia i przyznał się do winy, po czym złożył oświadczenie, w którym całkowicie oczyszczał ojca z zarzutu udziału w planach ucieczki.

W tym samym czasie, tuż za ścianą, Hiu Siao spoczął na leżance i przyjął ofiarowaną mu

czarkę zielonej herbaty.

Była to czarka z wyjątkowo delikatnej porcelany, zdobiona szczególnie cenionym przez Hiu Siao, ledwie wyczuwalnym pod palcami, ornamentem. Hiu Siao sącył herbatę, delektując się jej zapachem. W miarę jak zawarta w płynie trucizna przenikała do jego ciała, ogarniało go uczucie drętwoty, które trudno by było nazwać niemiłym. Odstawił nie dopitą filiżankę na podręczny stolik i spokojnie oddał się śmierci.

Hwen Wu oficjalnym tonem ogłosił przyjęcie oświadczenia Siu-Minga i powiadomił go o wyroku, jaki wydano na ojca.

– Wyrok – dodał – został już zapewne wykonany.

Reakcja Siu-Minga wywołała u wszystkich obecnych wątle uczucie odrazy, dała bowiem świadectwo więzom emocjonalnym, jakie łączyły dwóch ludzi, którzy nawet nie powinni się byli znać. Siu-Ming pobladł i zgiął się wpół, jakby otrzymał cios w żołądek. Z trudem opanował się, stanął wyprostowany i z twarzą wciąż poszarzałą spojrział w oczy Hwen Wu.

– Bądź przeklęty – rzekł zduszonym głosem. – Wy wszyscy bądźcie przeklęci. Ten wasz system to samo zło, zło, które pewnego dnia legnie w gruzach...

Przewodniczący Sądu skinął głową.

– Pańskie poglądy, podobnie jak ich przyczyny, są nam znane. Wiemy też, że nie zechce pan zmienić swego stanowiska – i to właśnie stawia nas wobec problemu, co mamy z panem począć. Sąd nie zamierza karać pana, gdyż kara została już wymierzona: jest nią świadomość, że przyczynił się pan do śmierci ojca. Nie możemy też wydać panu zezwolenia na pozostanie w Retorcie Konsumpcyjnej, gdyż byłoby to naruszeniem obowiązujących przepisów. Jeśli natomiast zadecydujemy odesłać pana do Retorty Produkcyjnej, będzie pan z pewnością rozwijał tam swoją przestępczą działalność. Pozostaje więc pytanie: co mamy z panem zrobić...?

## Rozdział dziewiąty

Od wczesnej młodości Learda Ascara intrygował tylko jeden problem.

Problem czasu.

Ascar dobrze pamiętał dzień – był to dzień jego dziesiątych urodzin – w którym tajemnica czasu objawiła mu się po raz pierwszy z całą jaskrawością, kiedy dostrzegł dylemat, paradoks, niesamowity, nierozwiązalny paradoks czasu. Przelotny moment terażniejszości, który wypływa z przeszłości i znika w przyszłości, a ta przyszłość pojawia się nie wiedzieć skąd. I kolejne, jeszcze bardziej kłopotliwe pytanie, które Ascar nazwał później Problemem Regresji: jak czas może „mijać”, nie mając „czasu”, w którym to mijanie mogłoby się odbywać?

Zagadki te pozbawiły Ascara wszelkich innych zainteresowań. Czytał na ten temat wszystko, co potrafił zrozumieć, a potem studiował fizykę i matematykę, aby pojąć to, czego jeszcze nie rozumiał. Zawsze był nad wiek rozwinięty, zawsze górował wiedzą nad kolegami w szkole. Nie pozawierał żadnych przyjaźni, ale mógł z łatwością zrobić błyskotliwą karierę w każdej niemal dziedzinie fizyki, gdyby nie to, że wołał poświęcić się żmudnym badaniom natury czasu, które w dodatku sam musiał finansować. Wśród ludzi o bardziej konserwatywnych poglądach zyskał sobie opinię wariata i dziwaka, a jego doświadczenia co jakiś czas utykały w martwym punkcie z braku środków finansowych.

Wreszcie Ascar nawiązał kontakt z placówkami badawczymi Legionów Tytana, które umożliwiły mu kontynuację doświadczeń. Seria zwycięstw nad podgatunkami dewiantów wywołała istną eksplozję chełpliwego ekspansjonizmu w różnych dziedzinach nauki. Zapanowało przekonanie, że Człowiek Właściwy może osiągnąć wszystko, co zechce. Nie tylko Ascar otrzymał fundusze na urzeczywistnienie swych idei: otrzymali je również autentyczni szaleńcy i szarlatani, głoszący najbardziej nawet nieprawdopodobne teorie. Ascarowi udało się dzięki temu poczynić pewne postępy, aż wreszcie nadszedł niewiarygodny dzień, w którym pojmany wehikuł czasu Obcych objawił mu całą prawdę.

Było to przełomowe wydarzenie w życiu Ascara. Drugi przełom nastąpił w dniu, gdy przedstawiono mu Siu Kung-Cziena, głównego znawcę kwestii czasu, i to w mieście, które kwestią tę rozpracowało we wszystkich niemal szczegółach.

To, że nauczono go traktować przedstawicieli rasy Siu Kung-Cziena jako podludzi, wcale

Ascarowi nie przeszkadzało. Gotów byłby usiąść pokornie nawet u stóp szympansa, gdyby szympanś mógł go nauczyć tego, co chciał i wiedzieć.

Siedział teraz naprzeciwko wybitnego fizyka, obok którego na blacie stołu z laki tkwił parujący czajnik z zieloną herbatą. Siu Kung-Czien bez przerwy pił herbatę. Znajdowali się w obserwatorium, które, o ile Ascar zrozumiał, dawało możliwość badania tak przestrzeni, jak i czasu: przez jedną ze ścian, wypukłą i przezroczystą, widać było bezmiar aksamitnej pustki, w drugą zaś wmontowany był zespół urządzeń o niewiadomych dla Ascara funkcjach.

Ascar przyjrzał się Siu Kung-Czienowi i stwierdził, że nie wyróżnia się on niczym spośród swoich rodaków: wszyscy Chińcy wydawali mu się jednakowi. Siu Kung-Czien nosił się skromnie: prosty jedwabny kaftan przepasany szarfą i długa jedwabista broda, tak charakterystyczna dla mężczyzn z jego generacji. Ascar zauważył jednak, że Siu ma niebywale długie paznokcie, w dodatku polakierowane. Wyglądało na to, że nie wykonuje żadnych prawie czynności fizycznych: całe wyposażenie, jakim dysponował, choć jego projektu, wykonane zostało gdzieś indziej i już jako gotowe zainstalowano je w laboratorium, gdzie obsługą zajmowały się roboty, krzątając się teraz z cichym szumem w drugim końcu obserwatorium.

– Tak, to całkiem interesujące – powiedział Siu Kung-Czien, z uprzejmą uwagą wysłuchawszy tego, co Ascar miał mu do powiedzenia o własnych teoriach oraz ich genezie. Musieli przejść na język opisowy, Siu określił bowiem wzory Ascara jako niemal bezużyteczne, zaś jego własne okazały się dla Ascara kompletnie niezrozumiałe. Matematyka, którą posługiwał się Siu, wykraczała najwidoczniej poza obszar doświadczeń Ascara i nie pomógł tu nawet akupunkturowy kurs języka.

Ascar splótł ramiona i posapując kołysał się w tył i w przód na fotelu.

– Jeszcze do niedawna miałem w tym względzie absolutną jasność – powiedział. – Zdawało mi się, że odkryłem drugi<sup>©</sup> „teraz” – drugi system czasu dążący w przeciwnym kierunku – wszystko przestało mi się zgadzać i nie wiem już, co myśleć. Obraz, który sobie skonstruowałem na podstawie własnych teorii, jest do przyjęcia tylko przy założeniu unikalności Absolutnego Teraz. – Ascar popatrzył zniechęcony prosto w oczy Siu. – Mech pan mi powie: czy wszechświat istotnie zmierza ku zagładzie?

Na poranej zmarszczkami twarzy Siu malowało się rozbawienie. Fizyk zachichotał, jakby usłyszał niezły dowcip.

– Ależ nie, w żadnym razie. Na pewno nie wszechświat. Jedynie organiczne życie na Ziemi.

Ściślej mówiąc, na Ziemi wkrótce zabraknie czasu.

Na skinienie Siu cybernetyczny posługacz podjechał z czajnikiem świeżej herbaty.

– Pan nie do końca rozpracował Problem Regresji, choć wydaje się panu, że tak.

Ascar zmarszczył brwi.

– Ustalmy może, czy na pewno mówimy o tym samym. Problem Regresji ujawnia oczywistą niemożność przepływu czasu. Oto jego objaśnienie: weźmy trzy następujące po sobie zdarzenia, A, B i C, Jedno z nich ma miejsce „teraz”, zaś pozostałe należą do przeszłości i przyszłości. Załóżmy, że to B ma miejsce „teraz”, A jest w przeszłości, C zaś w przyszłości. Był jednak taki moment, w którym „teraz” działo się A, zaś B i C znajdowały się w przyszłości. Podobnie nadejście chwila, gdy C będzie zdarzać się „teraz”, a dwa pozostałe należeć będą do przeszłości. Możemy więc sporządzić schemat trzech konfiguracji tych trzech zdarzeń, otrzymując w ten sposób dziewięć różnych określeń. Należy jednak iść dalej: gdybyśmy na tym poprzestali, mielibyśmy trzy współczesne „teraz”, a „teraz” może być przecież zawsze tylko jedno. Musimy zatem przypisać „teraz” jednej tylko wybranej konfiguracji ABC – co daje „teraz” drugiego rzędu, odnoszące się nie do pojedynczego zdarzenia, lecz do dynamicznego układu trzech zdarzeń, tego, w którym występuje rzeczywista lokacja „teraz”. Ale i na tym nie koniec. Każda z trzech konfiguracji ma prawo być rozpatrywana w kategorii „teraz” drugiego rzędu, gdyż „teraz” jest elementem ruchomym. Należy zatem sporządzić kolejny wykres, w którym wykres pierwszy – dziewięć grup ABC – powtarzałby się trzykrotnie, a liczba pojedynczych wydarzeń wzrosłaby do dwudziestu siedmiu. Do takiego schematu odnosiłoby się pojęcie „czasu trzeciego rzędu”. Tą samą metodą osiągniemy schemat czasu czwartego rzędu, następnie piątego, i tak w nieskończoność.

Siu przerwał mu machnięciem ręki, jakby nagle zniecierpliwiony wykładem.

– Pański wywód jest dla mnie niejasny – powiedział. Na jakiej podstawie uważa pan jednak paradoks za rozwiązany?

– Kiedy w końcu odbyliśmy podróżę w przeszłość i w przyszłość – zaczął z namysłem Ascar – i kiedy stwierdziliśmy, że „teraz” tam nie istnieje, uznałem cały dowód za fałszywy. Fakty świadczyły o tym, że regresu po prostu nie ma.

– A nie zadał pan sobie pytania, dlaczego regres nie występuje? – przerwał mu z ironią Siu. – Nie, nie uczynił pan tego. Zachował się pan jak uczeń i po prostu machnął ręką na całą sprawę.

Ascar zamilkł na dłuższą chwilę.



– No dobrze – odezwał się wreszcie. – Więc w którym momencie popełniłem błąd?

– Podstawowym błędem było założenie, że czas jest ogólną cechą wszechświata – wyjaśnił Siu wymawiając słowa starannie i z emfazą. – Wyobrażał pan sobie Absolutną Teraźniejszość jako ruchomy trójwymiarowy fragment całego istnienia, coś w rodzaju główicy, która przesuując się po taśmie magnetycznej ożywia zawarte tam obrazy. Nie myłę się?

– Nie – przyzna! Ascar, – Bardzo trafnie to pan ujął.

– Czy nie widzi pan jednak, że nawet po przyjęciu tej koncepcji Problem Regresji nie przestaje istnieć?

– Nie – odparł po namyśle Ascar. – Nie, ponieważ czas tylko raz jeden przecina każdy kolejny punkt...

Zawahał się.

– Rzeczywiście, ma pan rację – poddał się nagle. Teraz już rozumiem, Musiałyby istnieć nieskończona liczba identycznych wszechświatów, odpowiadająca liczbie poszczególnych momentów naszego własnego wszechświata, które różniłoby jedynie to, że Absolutna Teraźniejszość, czyli przepływający czas, znajdowałby się w różnych punktach. A zatem każdy punkt przeszłości, teraźniejszości i przyszłości znalazłby w którymś z tych wszechświatów swą Absolutną Teraźniejszość, która w obrazie ogólnym pokrywałaby je wszystkie jednocześnie.

– I dalej – podjął za niego Siu – musiałyby istnieć kolejny zespół wszechświatów, w liczbie nieskończoność do potęgi nieskończoność, w obrębie którego rozegrałby Się kolejny etap regresji. Tym samym dotarliśmy do nadnieskończoności.

Ascar z ożywieniem pokiwał głową.

– Zgadza się. Zgadzam się również, że w świetle faktów mój model czasu okazał się fałszywy. Jak zatem wygląda prawda?

– Prawda – odparł Siu – jest taka, że generalnie rzecz biorąc, wszechświat w ogóle nie zna kategorii czasu. Fałszywym jest twierdzenie, że we wszystkich punktach jednocześnie panuje „teraz”. Wszechświat jest z natury swojej statyczny, martwy, obojętny. Nie ma ani przeszłości, ani przyszłości, ani też teraźniejszości.

Przerwał, by dolać sobie herbaty, i tym samym umożliwił Ascarowi wtrącenie uwagi:

– Ale przecież czas istnieje!

Siu wyrozumiale pokiwał głową.

– Jako wyraźnie zlokalizowane, przypadkowe zjawisko, bez jakiegokolwiek znaczenia

ogólnego. Procesy czasowe rodzą się tu i ówdzie na niewielkich obszarach, zazwyczaj na planetach, choć nie jest to regułą. Proces taki polega na przepływie fal energii z jednego punktu do drugiego: to są właśnie te niewielkie wędrujące fale „teraz”. Filozofia wyjaśnia to w następujący sposób: wszechświat wyłonił się z Najwyższego Bytu jako przeciwstawienie sił in i jang, zmierzających do osiągnięcia doskonałej, zamkniętej, harmonijnej równowagi. Od czasu do czasu następuje zachwianie równowagi tych dwu sił, co powoduje przepływ energii czasu, trwający aż do momentu odzyskania harmonii. Przepływ fali czasu organizuje materię w formy ożywione, początkując tym samym proces znany nam jako ewolucja.

– Czas byłby więc zjawiskiem biologicznym, a nie uniwersalnym?

– Odwrotnie: to raczej biologia jest konsekwencją czasu. Poza systemami biologicznymi czas wytwarza także i inne zjawiska. Jest ich bardzo wiele. W ruchomym punkcie teraźniejszości może jednak zrodzić się życie i świadomość, które następnie podróżują dalej wraz z tym punktem.

To wyjaśnia, dlaczego stosunkowo łatwo jest przemieszczać się w czasie – ciągnął Siu. – Wystarczy wydzielić fragment ruchomej fali „teraz” i skierować go w dowolny punkt rzeczywistego, statycznego świata nie-czasu. Można to zrobić bez trudu właśnie dlatego, że w grę wchodzi energia lokalna, nie zaś część schematu kosmicznego.

– Tak – zgodził się Ascar. – To wyjaśniałoby zarazem, dlaczego do uruchomienia maszyny czasu niezbędna jest obecność żywego człowieka. Tę zasadę potwierdziły nasze próby.

– To jedynie wina prymitywnych urządzeń – rozczarował go Siu. – My tu, w Mieście, wysyłamy w głąb czasu także pojazdy bezałogowe.

– Coś podobnego...

Ascar usilnie próbował ogarnąć wizję czasu, jaką przedstawił mu Siu.

– Spróbujmy zatem podsumować – powiedział po długim namyśle. – Wszechświat jest statyczną czterowymiarową matrycą...

– Nie czterowymiarową – poprawił go Siu. – Te wasze teorie na temat wymiarów są całkowicie błędne: żadnych wymiarów nie ma. Jeśli jednak są one panu niezbędne jako kategorie opisowe – to proszę bardzo. Tyle że wówczas, aby uwzględnić wszystkie możliwe kierunki, należałoby mówić o matrycy sześciowymiarowej. Fala czasu może obrać jeden z następujących kierunków: w przód, w tył, w bok, w górę, w dół albo od środka na zewnątrz. Zobrazowanie tego jest niemożliwe. Czoło fali, w miarę jak się ona posuwa, wyznacza jednak dla tego, kto tkwi

wewnątrz, środowisko trójwymiarowe. Zawsze też wytwarza w stosunku do uwięzionego w środku obserwatora przeszłość i przyszłość.

– A Problem Regresji? – upomniał się Ascar. – Jak się przedstawia w świetle tej teorii?

– W ogóle go nie ma. Problem Regresji pojawia się jedynie wtedy, gdy uznamy czas za absolutną cechę wszechświata. Czas jest jednak w istocie czynnikiem przypadkowym i dość błahym. Wszechświat jako całość jest obojętny na czas, podobnie jak i na jego efekty, na przykład żywe stworzenia. Nie ma zatem żadnej sprzeczności między „przedtem” a „potem”, między przeszłością a przyszłością i momentem ruchomym. W skali wszechświata nie wywołuje to żadnych zmian: nie-czas pochłania te incydenty bez śladu.

Siu taktownie uczynił pauzę, aby Ascar mógł spokojnie przyswoić sobie treść wyводу. Ziemianin oparł podbródek na dłoni i wpatrywał się w podłogę.

– A więc to właśnie przytrafiło się Ziemi – rzekł w końcu. – Zakorzenił się tam drugi proces czasowy, tworzący nowy system ewolucji – proces, który postępuje w kierunku przeciwnym do naszego. I te dwa systemy czasu muszą się zderzyć...

– Tak jest – powiedział beznamiętnie Siu.

– Nadal mam pewne trudności ze zrozumieniem koncepcji czasu, który biegnie wstecz, a jednak wywołuje skutki analogiczne do naszego. Przywykłem myśleć, że prawa fizyczne, w rodzaju reakcji chemicznych czy zasad termodynamiki, działają tylko w jednym kierunku. Zasada entropii, na przykład: jeśli ją uwzględnimy, musimy uznać, że czas płynie zawsze w określonym kierunku, bez względu...

– To znów bierze się z nawyku traktowania czasu jako funkcji absolutnej. Co się tyczy prawa entropii, zasady rozkładu w miarę upływu czasu, skutki działania tego prawa powoduje właśnie sam czas. Każda fala czasu zawiera w sobie dwie przeciwstawne tendencje; jedna to tendencja wzmaganie rozpadu, druga zaś – to tendencja wzmaganie integracji, której skutkiem jest powstawanie systemów biologicznych. To wynik obecności w fali sił in i jang, które miast harmonizować, walczą ze sobą. In to skłonność do integracji, jang to skłonność do burzenia ładu. Kiedy ich walka się kończy, czas zamiera.

– Nie tak przecież stanie się na Ziemi?

– Nie. Wasza cywilizacja ma potwornego pecha, tak samo zresztą jak ta druga, która się z nią zderzy. Nastąpi gwałtowne, katastrofalne w skutkach spotkanie sił nie do pogodzenia. Będzie to być może najniezwyklejsze wydarzenie w naszym wszechświecie.

– A jego wynik?

– Najprawdopodobniej wynik końcowy będzie taki; że czas przestanie istnieć. Przy zderzeniu czołowym nastąpi wzajemne zniesienie się fal w wyniku swoistej eksplozji czasu.

– Chodziło mi o coś innego – powiedział Ascar omijając wzrok Siu. – Jak odczują to ludzie, których ten moment zastanie na Ziemi?

– Naprawdę chciałby pan to wiedzieć? – zapytał Siu. – Mogę panu mniej więcej pokazać, jak to będzie.

Siu udał się w drugi koniec laboratorium, gdzie znajdowała się przezroczysta kula średnicy około ośmiu stóp.

– Miasto-Retorta przeżyło kiedyś podobny incydent.

Ascar skoczył na równe nogi i zbliżył się do niego.

– A jednak żyjecie! – wykrzyknął.

– Nie była to aż tak poważna katastrofa, na jaką zanosi się u was – wyjaśnił łagodnie Siu. – Po pierwsze: obiekt, który napotkaliśmy, musnął nas zaledwie pod niewielkim kątem, gdyż jego trajektoria biegła ukośnie wobec naszej. Nie było to zderzenie czołowe, jakie czeka Ziemi. Po wtóre: fakt, że jesteśmy zawieszeni w przestrzeni międzygwiazdnej, okazał się tu bardzo pomocny. Skoro tylko odebraliśmy pierwsze ostrzeżenie, zdołaliśmy się przemieścić tak, by nie dopuścić do bezpośredniego zetknięcia. Mimo to fale czasu spotkały się, a efekty tego spotkania były nad wyraz nieprzyjemne. Jeszcze nigdy nie byliśmy równie blisko zagłady.

Siu zatrzymał się przed przezroczystą kulą.

– Sporządzono wówczas szereg nagrań wszechzmysłowych. Czy zapis wszechzmysłowy jest znany na Ziemi?

Kompletnie oglupiały Ascar pokręcił głową.

– Jak sama nazwa wskazuje, jest to zapis działający na wszystkie zmysły – nie tylko z zewnątrz, lecz i od wewnątrz, budząc na przykład określone reakcje fizjologiczne. Tam, gdzie działają zmysły, działa również mózg, a zatem nie zdoła pan odróżnić tego, co zdarzy się za chwilę, od rzeczywistości.

Siu odwrócił się plecami do gościa.

– Jeśli pan chce, włączę jedną z tych właśnie taśm. Ostrzegam jednak, że może to być trochę niemiłe.

– Nic nie szkodzi – zgodził się skwapliwie Ascar. Chcę wiedzieć, jak to jest.

Siu kiwnął głową, zachowując nieprzenikniony i obojętny wyraz twarzy, po czym wskazał Ascarowi wąskie drzwiczki wiodące do wnętrza kuli. Drzwiczki zatrzasnęły się, ledwie Ascar za nimi zniknął. Siu uśmiechnął się do siebie. Był – o dziwo – bardzo zadowolony z ziemskiego gościa: taki barbarzyńca, a jednak okazał się całkiem pojętym uczniem.

Od wewnątrz przez szklane ściany nic nie było widać. W przyćmionym świetle Ascar dojrzał fotel przymocowany do podłogi. Ledwie zdążył na nim usiąść, światło zgasło i zapanowały kompletne ciemności.

Przez chwilę nic się nie działo. Nagle światło rozbłysło ponownie, ale Ascar nie znajdował się już we wnętrzu szklanej kuli: zajmował identyczny fotel w typowym przestronnym pokoju gdzieś na terenie Miasta-Retorty. W powietrzu unosił się bukiet subtelnych zapachów, a gdzieś z zewnątrz dobiegały dźwięki brzękliwej i jakby niepewnej muzyki, którą uprawiano tu z dużym zapalem.

Dopiero po dłuższej obserwacji pokoju Ascar stwierdził, że w jego otoczeniu jest coś dziwnego. Pokój miał niewłaściwe proporcje, które w dodatku z każdą chwilą stawały się coraz mniej właściwe. Kąt, pod jakim ściana spotykała się z podłogą i sufitem... stwierdził, że kąty się nie sumują, że tworzą jakieś niewiarygodne kombinacje, jak gdyby sama przestrzeń usiłowała zmienić zasady geometrii.

Muzyka utknęła na jednym dźwięku w samym środku skomplikowanego pasażu. Dźwięk ten rozciągał się teraz w nieskończoność, jęklivy i drżący, niezdolny uwolnić się z zatrzymanej chwili.

Ascar wybałuszyl oczy na smukły wazon, który uniosł się z półki i zaczął szybować w powietrzu po niezwykle wymyślnej orbicie. Nie byłoby to aż tak zdumiewające, gdyby nie fakt, że wazon przez cały czas zmieniał przy tym kształty. W końcu Ascar stwierdził w osłupieniu, że wazon przemienił się w przedmiot o czterech wymiarach – coś jak butelka Kleina, twór niemożliwy w przestrzeni trójwymiarowej, który nie ma strony zewnętrznej i wewnętrznej, lecz składa się z szeregu zakrzywionych płaszczyzn wchodzących jedna w drugą.

Ascar osłupiał na myśl, że nie tylko potrafi sobie wyobrazić taką deformację przedmiotu, lecz widzi go oto na własne oczy.

Inne przedmioty w pokoju zaczęły ulegać podobnym deformacjom. Ascar, zaniepokojony, spróbował unieść się z fotela, lecz okazało się to niemożliwe. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że przecież podlega tylko efektom nagrania, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Pomyślał, że

być może taśma wszechmysłowa ogranicza zdolność ruchów odbiorcy. Wkrótce zaprzestał prób uniesienia się z fotela, gdyż deformacje zaczęły dosięgać i jego samego, a skutki tego były obrzydliwe.

Ascar wydał przeciągły, piskliwy jęk. Boli... Boli... Boli...

Cały pokój zapadł się w sobie, a na jego miejsce powstało coś nieokreślonego. Ascar uświadomił sobie, że jego własny system nerwowy w postaci jakiejś gmatwaniny czy siatki unosi się w powietrze jak lotny obłok pozbawiony dotykanej formy i w tej postaci przepływa przez jakiś wielowymiarowy labirynt. Nic już nie dawało się określić, znikło też jakiegokolwiek poczucie czasu, tylko system nerwowy – być może z powodu zmiany funkcji chemicznych wywołanych obcym polem czasu, bez przerwy sygnalizował ból: dotkliwy, niemiłosierny ból.

Do świadomości Ascara docierało natomiast coś, co, zdawało się, już za moment tę świadomość unicestwi. Łup-łup-łup, dudniło jak serce albo jak młot, pod którym dusza Ascara spoczywała na kowadle.

Otoczenie wykrystalizowało się na krótką chwilę. Ascar zobaczył o wiele więcej niż pokój, w którym uprzednio siedział: zobaczył cały wycinek Miasta-Retorty, zniekształcony w przedziwne nieeuklidesowe postacie geometryczne, gdzie ściany nie stanowiły już osi rozpoznania kształtów. W koszmarze tym tkwili uwięzieni ludzie, zdeformowani tak, że w niczym nie przypominali istot człowieczych, jak muchy w lepkiej płataninie pajęczych nici: wystawali ze ścian, podłóg i sufitów, spojeni z fragmentami mebli, sami rozbici na luźne elementy ciała, połączone długimi nićmi rozciągniętych nerwów.

I nagle miasto znów się poruszyło, wszystko zaczęło zwijać się, rozciągać i przemieszczać jak nieforemny żywy potwór wyłaniający się z otchłani oceanu.

Siu Kung-Czien, obserwując wmontowany w postument kuli ekran monitora, postanowił w tym właśnie momencie wyłączyć nagranie w obawie, by u Ascara nie wystąpiły trwale zmiany psychosomatyczne.

Włączył światło wewnątrz kuli i otworzył drzwiczki. Leard Ascar wytoczył się na zewnątrz jak pijany. Twarz miał szarą i z trudem łapał oddech.

– Chyba wystarczy – powitał go Siu. – Potem jest jeszcze gorzej, ale nie chcę, żeby trafił pan na oddział psychiatryczny.

– Jeszcze gorzej?

– Tak. To, czego pan doświadczył, to jedynie efekt zbliżania się obcego poza czasu. Kiedy

już było po wszystkim, okazało się, że co dziesiąty człowiek w mieście nie przeżył. A byłoby jeszcze gorzej, gdyby tamten obiekt, podobnie jak my zdolny do operowania czasem, nie podjął również próby zmiany kierunku lotu.

Ascar całym ciałem zwisał na drzewkach kuli.

– I tak samo będzie na Ziemi?

– To, co stanie się na waszej planecie, będzie nieporównywalnie straszniejsze. Tu nastąpiło jedynie lekkie muśnięcie. To, co zdarzy się na Ziemi, przerasta chyba naszą wyobraźnię.

– O Święta Matko Ziemio! – wyszeptał chrapliwie Ascar.

## Rozdział dziesiąty

Ministrowie gabinetu Hwen Wu patrzyli beznamiętnie na dwóch Ziemiaków, a ich twarze wyrażały dobrotliwe poczucie wyższości. Ta mieszanina rezerwy i wyniosłości, tak charakterystyczna dla wszystkich mieszkańców Miasta-Retorty, działała Heshkemu na nerwy. Wydawało mu się, że nikt tu nie jest w stanie naprawdę zainteresować się drugim człowiekiem.

– Mam więc nadzieję, że przyszłe losy Ziemi są dla panów w tej chwili całkiem jasne – przemówił Hwen Wu tonem towarzyskiej konwersacji, jakby chodziło o propozycję miłego spędzenia kilku wolnych godzin. – My tutaj, w Mieście-Retorcie, wiemy o tym już od kilku miesięcy, od dnia, w którym Siu Kung-Czien przypadkowo skierował swoją sondę w kierunku Ziemi. Dlatego właśnie skierowaliśmy na orbitę okołozemską nasz statek czasoprzestrzenny, który dokonać miał szczegółowych obserwacji.

– Jakim cudem nasi go nie wyśledzili? – zaatakował Ascar. – Stacje radiolokacyjne Ziemi działają przecież na obszarze całego systemu słonecznego.

– Zdaje się, że jego orbita była eliptyczna w czasie – odpowiedział premier. – Statek nie tylko okrążył waszą planetę w przestrzeni, lecz przemieszczał się również bez przerwy z przeszłości w przyszłość, i na odwrót. Wasze stacje lokacyjne nie byłyby w stanie go wyśledzić.

– Genialne – mruknął pod nosem Ascar.

Hwen Wu podjął przerwana mowę.

– Postanowiliśmy zaoferować Ziemi wszelką pomoc, na jaką nas stać. Dla złożenia tej oferty potrzebni nam będą emisariusze, którym rząd ziemski zaufa, gdyż wasza ideologia nie uznaje rasy, do której należymy. Oto i cały powód, dla którego zostaliście przywiezieni do Miasta-Retorty: nasi obserwatorzy, widząc waszą tragiczną podróż w nie-czas, doszli do wniosku, że właśnie wy będziecie najbardziej odpowiednimi kandydatami. Obaj macie na Ziemi opinię ludzi wybitnych, a ponadto, przynajmniej w pewnym stopniu, poznaliście już istotne fakty.

– Co mamy dla was zrobić? – zapytał Heshke.

– Chcemy, abyście powrócili na Ziemię i wystąpili w naszym imieniu przed swoim rządem, informując go o faktach, które wam są już znane, a także o pomocy, jakiej skłonni jesteśmy



udzielić.

– A to w jakiej formie, jeśli wolno spytać? – wtrącił Ascar krzywiąc się z powątpiewaniem.

– Jedynym ratunkiem dla waszej cywilizacji będzie przyjęcie naszych warunków życia – odparł Hwen Wu. Mam na myśli życie w przestrzeni kosmicznej, w sztucznie stworzonych miastach. Musicie opuścić Ziemię, zanim nastąpi kataklizm.

Heshke zmartwił.

– Ależ to technicznie niemożliwe! Nie zdołamy zabrać wszystkich!

– Wszystkich nie, to prawda. Proponujemy wam jednak pomoc. Mamy wielki potencjał produkcyjny, co najmniej taki, jeśli nie większy, jak cała ziemska cywilizacja, jesteśmy w stanie przestawić Retortę Produkcyjną, to dolna połowa miasta, na czas cykliczny, w wyniku czego zamiast pojedynczego procesu produkcyjnego otrzymamy ich całą serię.

– Nauczmy was budować kosmiczne miasta – dodał nobliwy, starszy wiekiem minister – i ofiarujemy część zasobów.

Hwen Wu potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– Minie jeszcze kilka pokoleń, zanim oba systemy czasu spotkają się na Ziemi. Powinniśmy do tej pory rozmieścić w kosmosie jakieś dwieście milionów ludzi. Mogłoby być nawet więcej, ale – lekceważąco machnął ręką podobną ofertę składamy cywilizacji, która ma nieszczęście posuwać się kursem na zderzenie w waszym kierunku, wobec czego wykorzystamy cały potencjał produkcyjny Dolnej Retorty.

– Dwieście milionów ludzi... Ależ to tylko garstka mieszkańców Ziemi.

– Z pewnością jednak dość, aby zachować ziemską kulturę i zadbać o jej dalszy rozwój. W pewnej mierze przyświeca nam troska o to, by nie dopuścić do zagłady ciekawych kultur.

– Ciekawych kultur? – powtórzył osłupiały Heshke. Wiecie przecież, że wedle norm panujących w mojej kulturze, wy wszyscy jesteście wybrykami natury, potworami godnymi jedynie całkowitej eksterminacji. I mimo to chcecie nam pomagać? Nam?

– Przekonania religijne Ziemian nie mają wpływu na nasze decyzje – odparł Hwen Wu, jak zwykle chłodnym, lecz uprzejmym tonem. – Powodujemy się rozsądkiem i realną oceną możliwości, lecz w żadnym razie, taką przynajmniej mam nadzieję, emocjami.

– To nie chwyci – podsumował zgryźliwie Ascar. – Legiony Tytana nawet nie zechcą o tym słyszeć. Ziemia jest ich boginią. Nie opuszczą jej pod żadnym pozorem.

– Obawiam się, że Ascar ma rację – westchnął Heshke. – Czy na pewno nie ma innego

sposobu? Jesteście przecież panami czasu: czy nie możecie wpłynąć na to, by zderzenie nie nastąpiło?

– Żąda pan rzeczy niemożliwej – odrzekł Hwen Wu. – Nie panujemy nad czasem aż do tego stopnia. Potrafi- my kontrolować pole czasu w obrębie naszego miasta, ale nie obszar czasowy tak rozległy i potężny jak te dwa, które obecnie rozciągają się na Ziemi, taka próba byłaby równoznaczną z próbą przemieszczenia całej planety, czyż nie mam racji, panie Ascar?

– Tak przynajmniej poucza mnie Siu Kung-Czien – przyznał apatycznie Ascar.

– A jeśli mój rząd odmówi? – zapytał Heshke.

Hwen Wu ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

– To już ich sprawa. Po prostu przestaniemy się wówczas nimi zajmować.

Premier wstał i gestem dłoni przywołał cybernetycznego posługacza. Maszyna potoczyła się ku misternie delikatnym rozsuwanym drzwiom i otworzyła je.

– Nie wróćcie na Ziemię sami – oświadczył Hwen Wu. – Jeden z naszych ludzi będzie wam towarzyszył jako łącznik Miasta-Retorty. Jeśli misja się powiedzie, pozostanie on na Ziemi, by koordynować nasze wspólne wysiłki.

Do sali wkroczył Hiu Siu-Ming.

Heshke wyciągnął się na niskiej leżance. Pocierał czoło woreczkiem pełnym kostek lodu. Bolała go głowa, był śmiertelnie zmęczony. Wiedział, że musi porządnie wypocząć: jutro miał nastąpić odlot na Ziemię.

Jutro, jutro, jutro...

Iluzja czasu.

Heshke sięgnął po stojącą obok karafkę i napił się słabego wina o zapachu brzoskwiń. Wino działało orzeźwiająco i pobudzająco, ale Heshke nie miał jakoś ochoty na więcej.

Ascar odwrotnie: pił dużo i z wyraźną przyjemnością.

– Uważam, że to bardzo nieładnie z pana strony skarcił go Heshke – tak się wycofać, i to w takiej chwili. Pańskie dotychczasowe wybryki już dostatecznie dały nam w kość, a mimo to nie spodziewałem się po panu takiego braku poczucia odpowiedzialności, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Fizyk oznajmił, że nie wraca z Heshkem na Ziemię. Siu Kung-Czien przyjął go na ucznia i Ascar postanowił, że umywa ręce od projektu pomocy Miasta-Retorty dla Ziemi, poświęcając się całkowicie pracy naukowej pod kierunkiem mistrza.

Na reprimendę Heshkego odpowiedział wybuchem śmiechu.

– Przecież pan zna Tytanów, kolego. Cała impreza spali na panewce. Za stary jestem na przedsięwzięcia bez szans – zresztą pan jeden doskonale wystarczy, aby doprowadzić klapę do szczęśliwego finału.

Może i ma rację, pomyślał Heshke. Nawet ja sam przeżyłem ostatnio serię buntów wewnętrznych. Ktoś tak niezrównoważony jak Ascar musiał pewnie zareagować całkowitym odrzuceniem wszystkiego, nawet własnej rasy, nawet własnej planety.

Co prawda Heshke nie zaliczał już sam siebie do rasistów. Jak na archeologa przystało, pilnie przestudiował wersję historii Ziemi obowiązującą w Retorcie: nie wnioski z badań wykopaliskowych, lecz zapis faktów. Fakty zaś były takie, że na Ziemi nigdy nie doszło do obcej interwencji, nigdy też nie było Człowieka Właściwego. Cywilizacja ludzka okresowo popadała w barbarzyństwo, gdyż taki był schemat jej rozwoju. Starszyzna Miasta-Retorty utrzymywała, że panujący tu system jest jedynym, w którym nie obowiązuje ów ziemski schemat, a który zatem zdolny jest utrzymać się przez długie tysiąclecia. Co do podgatunków, Heshke dowiedział się, że wersja Blare'a Oblomota na temat ich powstania była prawdziwa. Naturalną tendencją każdego gatunku było wytwarzanie podgatunków. W epokach ruchów migracyjnych na całej kuli ziemskiej następowało takie wymieszanie ras, że podgatunki stapiały się w jeden rodzaj drogą naturalną. Jednak w pewnym momencie historii, po wyjątkowo gwałtownym upadku, poszczególne grupy ludzi odizolowano od siebie na dłuższy czas, stosując kryterium przynależności geograficznej. Wpływ promieniowania radioaktywnego, pozostałość po serii wojen nuklearnych, spotęgował naturalny stopień mutacji i w wyniku połączonych działań tych czynników wyłoniły się poszczególne rasy.

Podgatunek, do którego należał sam Heshke, w systemie rasowym Tytanów znany jako Człowiek Właściwy, nie był wcale bliższy gatunkowi homo sapiens sprzed trzystu, tysięcy lat, niż którykolwiek z pozostałych podgatunków. Po prostu udało mu się wywindować na górę.

– Ciekawe, czy plan ratowania kultur obejmie również kultury dewiantów – odezwał się Heshke, rezygnując z beznadziejnych prób zawstydzenia Ascara. – Wie pan, że na Ziemi działa zorganizowane podziemie, które sprzeciwia się Tytanom i usiłuje bronić praw dewiantów?

Ascar skrzywił się.

– Tak, słyszałem, Liga Panhumanistyczna. Banda półgłówków.

– Przypuszczam, że tak czy owak, dewiantom niewiele można w tej chwili pomóc – Heshke

odłożył worek i otarł czoło ręcznikiem. – Niech pan mi powie, Leard, co pan sądzi o naszych gospodarzach?

– Co o nich sądzę? To błyskotliwe umysły!

– Jakoś nie potrafię ich polubić. Jest w nich coś zimnego, zbyt wiele logiki, zbyt wiele inteligencji. Są przeintelektualizowani... i ani cienia ludzkich uczuć.

Ascar obruszył się.

– Nadaje pan jak tytańska taśma szkoleniowa.

– Możliwe. Ale czy wie pan na przykład, jak funkcjonuje ich system społeczny? Rodzą dzieci i zaraz potem oddają je w obce ręce, a te dzieci stają się robotnikami i technikami... – Heshke wciąż pamiętał uczucie przerażenia i odrazy, jakie go ogarnęło, gdy po raz pierwszy usłyszał o zasadach życia społecznego w Mieście. Retorty działały w dwóch różnych fazach czasu. Dzieci narodzone w Retorcji Konsumpcyjnej odbierano matkom tuż po położeniu, po czym cofano je w czasie o dwadzieścia pięć lat. Dzieci te zazwyczaj około dwudziestego piątego roku życia miały własne potomstwo, przekazywane z kolei natychmiast do Retorty Konsumpcyjnej. Ludzie pozbywali się więc własnego dziecka, ale tego samego dnia otrzymywali dziecko zastępcze... które było ich wnukiem.

– Dla mnie to jest fascynujące – oświadczył Ascar z rzadkim dla siebie szerokim uśmiechem.

– Oni tu robią różne sztuczki z czasem.. Retorta Produkcyjna może na przykład oscylować w kilku fazach czasu, może funkcjonować cyklicznie – I to nie tylko w tył i w przód, lecz także, jeśli dobrze rozumiem, w kierunkach bocznych... A to oznacza, że produkt, którego wytworzenie wymagałoby normalnie, dajmy na to, sześciu miesięcy, może być gotowy w pięć minut. Siu Kung-Czien korzysta z tej zasady przez cały czas. To piękne!

– Piękne, jeśli jest się Siu Kung-Czienem! – przerwał mu z irytacją Heshke. – Ale nie, jeśli jest się tym, którego całe życie polega na spełnianiu kaprysów różnych Siu Kung-Czienów. – W tym kontekście plany Tytanów dotyczące ludzkości, a przynajmniej Człowieka Właściwego, wydały się Heshkemu głęboko humanitarne i sprawiedliwe. Tytani uznawali przynajmniej konieczność przestrzegania swoistych zasad demokracji. Uznawali też wagę kultury – także dla robotników.

– Tamci też nie mają tak źle – odparł wymijająco Ascar. – Są zabezpieczeni materialnie, czują się szczęśliwi. A w ogóle, po co się tym martwić, skoro jesteśmy tutaj, a nie tam?

– Niech się pan nie gniewa – westchnął Heshke, doszczętnie zgnębiony ograniczonością

poglądów fizyka – ale chciałbym się zdrzemnąć. Ruszamy z samego rana.

– Jasne. Proszę tylko pamiętać, że pana ostrzegałem.

Ascar wyszedł z pokoju, nie troszcząc się o do widzenia.

## Rozdział jedenasty

Zza okien wielkiego pokoju dobiegał szum ruchliwej ulicy.

Wedle tytańskich standardów, prywatny gabinet Limnicha daleki był od luksusu. Naczelnny Wódz Planety znany był ze swych ascetycznych upodobań i wstrzemięźliwości obyczajów. Gabinet nie mieścił się nawet w Biurpolbloku, lecz w dwustuletniej kamienicy na peryferiach nowej dzielnicy administracyjnej miasta. Limnich przechowywał tu kolekcję czaszek, komplet dzieł z zakresu wiedzy o rasach oraz inne zbiory i paraferalia.

Przez kilka ostatnich dni biuro Limnicha było areną nieznaną tu dotychczas aktywności, która zburzyła kontemplacyjny spokój ciemnych mebli na wysoki połysk i dźwiękochłonnych dywanów. Sam Limnich przyznawał, że został całkowicie wytracony z równowagi. Nie było czasu na ceremonialne narady w wielkim zamku. Należało działać natychmiast. Gabinet Limnicha przemienił się w centrum operacyjne planety: to właśnie tu Naczelnny Wódz dokonywał reorganizacji Legionów Tytana dla potrzeb nadchodzącej walki.

Limnich zwolnił wielu starych generałów, jednych odsyłając na emeryturę, innym zaś oferując funkcje administracyjne, które nie wymagały specjalnej inicjatywy. Zastąpili ich młodszy, bardziej energiczni i błyskotliwi jak pułkownik Brask (który aż do momentu krytycznego był kapitanem Braskiem), człowiek od samego początku związany z planami dotyczącymi wojny w czasie. Tacy jak Brask działali teraz w samym centrum, szykując apokaliptyczną wojnę.

Brask siedział w gabinecie Limnicha. Przestukiwał na ekran ścienny mapę czasu, sporządzoną dla udowodnienia, jak kolosalną przewagę miał system czasowy Obcych nad ich własnym. Była to mapa ruchoma, w dramatyczny sposób obrazująca tempo zbliżania się Obcych i domniemany punkt ataku.

Obraz nadciągającej ściany czasu przejął Limnicha dreszczem.

– Zostało nam więc około dwustu lat? – zapytał.

– Do pełnego zwania – skorygował Brask. – Pierwsze skutki nastąpią jednak znacznie wcześniej. Nie mamy jeszcze pełnych danych na ten temat, sądzymy jednak, że skutki interferencji będą odczuwalne już za około pięćdziesiąt lat. A na ile będzie nas stać za lat sto... tego doprawdy nie wiadomo. Być może staniemy się niezdolni do jakiegokolwiek akcji.

– Dzięki Bogu, że udało nam się odkryć prawdę na czas!

Limnich przeniósł wzrok z ekranu na twarz Braska. W szarawym świetle pokoju zniekształcona powieka pułkownika wyglądała niemal groteskowo. Gdyby nie jego talent wojskowy, deformacja wykluczyłaby Braska z Legionów Tytana, lecz wnikliwe badania genealogiczne, jakim poddawano wszystkich kandydatów, dowiodły braku jakichkolwiek skaz genetycznych, wobec czego Limnich postanowił Braska zakwalifikować.

Mimo iż był w tym względzie fanatykiem, Limnich potrafił chwilami zdobyć się na wyrozumiałość, jeśli tylko ustępstwo przynieść mogło pewne korzyści. W nowej grupie dowódczej był na przykład pewien oficer – pułkownik Yedrasch – który miał w sobie domieszkę krwi Lorenów. Yedrasch był jednak tak zagorzałym orędownikiem sprawy Człowieka Właściwego – tym gorliwszym, że sam był mieszzańcem – a usługi, jakie oddał rasie, były tak znaczne, że Limnich (a za nim Prezydent Świata) uznał, iż nie wolno się go pozbywać. Zamiast więc zlikwidować Yedrascha, poddano go jedynie sterylizacji, aby nie skaził przypadkiem krwi Człowieka Właściwego.

Dębowe drzwi otwarły się nieoczekiwanie.

– Przyszedł pułkownik Hutt, Wodzu – oznajmiła sekretarka Limnicha.

Limnich skinieniem głowy przyjął informację do wiadomości. Wszedł Tytan-Pułkownik Hutt. Powitali się gestem skrzyżowanych ramion, po czym Limnich usiadł z powrotem.

– W kwestii propagandy, Wodzu...

Limnich znów kiwnął głową.

– Podjąłem już decyzję. Przeciętny człowiek jest zanadto ograniczony, aby zdołał od razu ogarnąć całą prawdę. Oświadczenia publiczne winny więc zawierać uproszczoną wersję działania czasu: należy mówić o ataku z przyszłości, gdzie obce siły interwencyjne szykują się do drugiej próby opanowania Ziemi.

– Innymi słowy, ludzie mają pojmować tę kwestię tak, jak i myśmy ją do niedawna pojmowali – uściślił Brask. Będziemy, naturalnie, nadal kształcić społeczeństwo, a w miarę wzrostu ogólnego poziomu kultury! inteligencji! będzie można stopniowo przedstawić fakty tak, jak one naprawdę wyglądają.

– Zrozumiałem – powiedział Tytan-Pułkownik Hutt.

– Jeszcze jedno – odezwał się Limnich. – Stan zagrożenia, największego przed jakim kiedykolwiek stanęła ludzkość, wywoła z pewnością głęboki kryzys polityczny. Należy zatem wzmocnić ofensywę działań Politycznych. Zlikwidować wszelkie grupy dysydenckie. W tym celu

polecam poprzez tajne kontakty powiadomić Ligę Panhumanistyczna o wszystkich faktach, jakimi w tej chwili dysponujemy.

– Wszystkich, Wodzu? – zdumiał się Hutt. – Ale po co?

– A czy zna pan lepszy sposób na wysadzenie ich z siodła? – odpowiedział mu pytaniem Limnich, zachowując kamienną twarz. – Ręczę, że większa część Ligi zrejteruje i przejdzie na naszą stronę, skoro tylko dowie się prawdy.

Twarz Hutta rozbłysła nagłym olśnieniem.

– Tak jest, Wodzu. Już rozumiem.

Pułkownik Hutt z zadowoleniem odnotował, że stary lis nie stracił na przebiegłości, że Limnich jest jak zwykle wyjątkowo bystrym i subtelnym taktykiem.

Tymczasem Limnich całą siłą woli walczył z ogarniającym go szaleństwem. Znów stanęła mu przed oczami przerażająca, niepojęta wizja dwóch pędzących ku sobie systemów czasu. Nawet nie myślał jeszcze o tym, jak to wszystko wygląda z perspektywy Matki Ziemi, bogini, dla której żywił bałwochwalcze uwielbienie. Nawet nie chciał o tym myśleć.

– Dzięki Bogu, że udało nam się odkryć prawdę na czas! – powtórzył zduszonym głosem. Czy jednak rzeczywiście? Czy cokolwiek mogło ich uratować?

Nawiązanie kontaktu z Ziemianami Przyszłości wymagało naturalnie więcej zachodu niż w przypadku Tytanów. Dwaj młodzi filozofowie, Wang Yat-Sen i Li Li-San, którym premier zlecił przeprowadzenie misji, mieli przed sobą niezwykle delikatne zadanie.

Musieli przede wszystkim przekonać lemurowate stworzenia, że nie są reprezentantami cywilizacji, która ma im przynieść zagładę. Nie było to łatwe, gdyż Obcy nie dostrzegali subtelnych różnic fizjologicznych, jakie dzieliły Tytanów od Chińców. Ekspedycje zwiadowcze zdołały jednak rozszyfrować ich język (a ściślej mówiąc kilka języków) z przekazów elektromagnetycznych, co pozwoliło naukowcom Miasta-Retorty opracować kurs nauki mowy obcych istot i nagrać go na taśmy. Wang Yat-Sen i Li Li-San w miarę sprawnie opanowali więc urywane, świergotliwe dźwięki, choć sami artykułowali je na granicy zrozumiałości.

W końcu udało im się chyba przekonać gospodarzy o pokojowych zamiarach misji, gdyż zostali zabrani ze szpitala więziennego (który był w istocie ośrodkiem badań i eksperymentów biologicznych), gdzie trzymano ich od początku wraz z innymi więźniami rasy ludzkiej, których poddawano tam zabiegom budzącym najwyższą odrazę.

Siedzieli teraz w stożkowatym pokoju o ścianach z surowego kamienia. Obcy mieli



najwidoczniej słabość do tego budulca, podobnie jak do kształtu stożka w architekturze. Wszystkie drzwi były trójkątne, a człowiek mógł przez nie przejść jedynie silnie pochylony. Na ascetyczne wyposażenie wnętrza składały się toporne meble z nieheblowanych bali i desek. Przy całym swym zaawansowaniu technicznym, Obcy nie poświęcali ani cienia uwagi wystrojowi domów i pomieszczeń.

Dwie postacie, które zasiadły po przeciwnej stronie topornego stołu, należały do najwyższych autorytetów społeczeństwo Obcych. Wang Yat-Sen przyglądał się im ze spokojnym zaciekawieniem, po raz kolejny urzeczony wrażliwością nerwową stworzeń. Ich kruche ciała z byle powodu ogarniał dygot, a delikatne wąsiki wokół nosów skręcały się wówczas i wibrowały z wielką gwałtownością.

– A dlaczegoż to składacie nam tę propozycję? – zaświergotał pierwszy. – Dlaczego podejmujecie aż tak wiele starań, by nam pomóc? Skąd mamy wiedzieć, że to nie podstęp?

– Odpowiem po kolei – rzekł Li Li-San. – Nasza gotowość udzielenia pomocy wynika z szacunku, jaki jeden gatunek istot myślących może żywić do innych analogicznych gatunków. Co do drugiego pytania: jesteśmy w stanie dać wam gwarancje naszej dobrej woli. Podobną ofertę pomocy złożyliśmy również cywilizacji ludzkiej. Jeśli i oni, i wy przystaniecie na nasze propozycje, będziecie mogli współdziałać ze sobą, zamiast się zwalczać.

– Jesteśmy skłonni, jeśli sobie tego życzyacie, zabrać do KZM waszych wysłanników – wtrącił pojednawczo Wang Yat-Sen. – Niech zobaczą wszystko na własne oczy.

Lemurowaty zignorował ostatnią uwagę.

– Chcecie, abyśmy cofali się przed wrogiem? Abyśmy opuścili swoją planetę? – Brzmienie samogłosek sygnalizowało spore wzburzenie emocjonalne mówiącego. Jego kończyny ogarnął dygot podobny drgawkom agonalnym rannego zwierzęcia. – Ta planeta należy do nas od początku czasu. Będziemy jej bronić do ostatka.

– Nigdy nie cofaliśmy się przed wrogiem – przemówił drugi lemurowaty. – Przed kilku dniami tamci, wasi biologiczni krewniacy, zaatakowali dwa nasze wielkie miasta, i to przy użyciu broni, która, sądząc po stopniu wytworzonej energii, działa na zasadzie rozpadu lekkich jąder atomu. Oba miasta uległy kompletnej zagładzie, a zniszczenie radioaktywne obejmuje wielkie połacie wokół nich. Ale my się jeszcze zemścimy! Zemścimy się!

Tak gwałtowny wybuch emocji wprowadził nawykłych do chłodnych, racjonalnych ocen posłańców Miasta-Retorty w niemałe zakłopotanie.

– Przyznacie jednak sami, że wasz wysoce emocjonalny stosunek do tradycyjnego miejsca pobytu jest w tym momencie całkiem niestosowny – usiłował przekonać ich Wang Yat-Sen. – Wasi, jak ich określacie, „wrogowie”, reaguja po prostu identycznie jak wy sami: odpowiadaja na ataki. Ewakuacja z Ziemi jest i dla was, i dla nich jedynej nadzieja.

– Nie pogodzimy się z takim twierdzeniem! – zaświergotał piskliwie lemurowaty. – Wiemy, że formy żywe wroga czyhają na nas w przyszłości i że jeśli pozwolimy im tam przetrwać, sami będziemy musieli zginąć. A zatem musimy je pokonać!

– W jaki sposób? – zainteresował się Li Li-San.

– Hodujemy wirusy, które unicestwią całą biotę wroga – odparł lemurowaty. – Zastosujemy je na skalę masową, tak że gdy nasz system czasu osiągnie przewidywany punkt zderzenia, wszelki ślad życia zdąży już zniknąć z bioty wroga. Nic nie zakłóci więc dalszego przepływu naszej własnej fali czasu.

Spojrzawszy po sobie Wang Yat-Sen i Li Li-San utwierdzili się nawzajem w przekonaniu, że misja poniosła fiasko. Wstali z miejsc.

– Wydaje nam się, że w swoich decyzjach nie kierujecie się rozsądkiem. Propozycję mamy więc uznać za odrzuconą? – rzekł Wang Yat-Sen, nie rezygnując z przyjaznego tonu. – Jeśli tak, nic więcej nas tu nie zatrzymuje. Pozwólcie więc, że przywołamy transport i udamy się z powrotem do siebie.

– O nie! – kwiknął lemurowaty. – Nie wypuścimy was nigdzie z informacjami, które możecie wykorzystać przeciwko nam. Należycie do tej samej rasy co nasi wrogowie. Zabrać ich do stacji biologicznej.

Obu filozofów odwieziono z powrotem do Wojskowej Stacji Badań Biologicznych, której nigdy już nie mieli opuścić.

Sobrie Oblamot dotarł do kompleksu lochów i natychmiast zorientował się, że coś tu jest nie w porządku.

Tym razem zebranie miało się odbyć w Sannan, rodzinnym mieście Sobriego. Władze nie wiedziały o istnieniu starego zespołu piwnic, który przed wielu laty zamurowano w ramach przebudowy miasta. Istniało tylko parę ukrytych wejść do lochów, a wiedzieli o nich jedynie zaufani agenci Ligi.

Sobriego uderzył przede wszystkim brak odgłosów pracy powielacza; dotychczas maszyna pracowała na okrągło. Mimo ciszy, atmosfera pełna była gorączkowego podniecenia, które

zdawało się wręcz emanować z pobielanej cegły murów.

Tu i ówdzie stały rozdyskutowane grupki ludzi. Niski szczupły mężczyzna prześliznął się między nimi i podbiegł do Sobriego.

– Nareszcie jesteś, Oblomot!

– Co się tu dzieje? – zapytał Sobrie, kłaniając mu się z rewerencją.

– Na twoim miejscu -, rozmówca zniżył głos – wyniosłbym się stąd, i to natychmiast. Razem z dziewczyną. Rzecz w tym...

Przeszkodził mu jednak inny uczestnik zebrania, który pojawił się zniemacka u boku Sobriego.

– Widzę, że się jednak udało. Spóźniłeś się. Myśleliśmy, że może już wiesz.

– Ale co?

– To, co dotarło już do wszystkich siatek na całej kuli ziemskiej. Wygląda na to, że koniec już blisko.

Na rozpaczliwe żądania dalszych wyjaśnień, towarzysz Sobriego wyprowadził go z komory, w której stali, i powiodł pod niskim sklepieniem aż do drzwi, które otworzyły się i zamknęły, ledwie Sobrie przekroczył próg.

Rada Panhumanistyczna kontynuowała obrady. Wszyscy popatrzyli na Sobriego z posępnym wyrzutem. Nie, wcale nie wszyscy – uświadomił sobie Sobrie. Niemal jednej trzeciej członków Rady brakowało na sali.

Sobrie zmartwił nagle, gdyż jedna z twarzy była mu nieznana. Twarz należała do towarzysza, który zawsze dotąd występował incognito, a dziś po raz pierwszy siedział bez maski i modulatora głosu.

Cóż mogło spowodować tak drastyczną zmianę taktyki? Oblomot z zaciekawieniem przyjrzał się odsłoniętej nagle twarzy. Niewątpliwie rzucała się w oczy: zdrowe, jasne oblicze, o rysach znamionujących wielką siłę charakteru, jasnej cerze, niebieskich oczach i lnianych włosach, stanowiło tak doskonale odbicie tytańskiego ideału urody, że jego właściciel nie mógł nie być Tytanem. I rzeczywiście: był to wysokiej rangi słynny oficer Legionów Tytana, a zarazem, oczywiście potajemnie, członek Ligi Panhumahistycznej. Sobrie przypomniał sobie jak przez mgłą, że gdzieś już widział tę twarz. Widywał ją, podobnie jak twarze innych bałwochwalczo uwielbianych bohaterów, na lśniących okładkach magazynów ilustrowanych i w wideorowych reklamówkach.

– Siadaj, Oblomot – powiedział Przewodniczący zduszonym z napięcia głosem.

– Niesamowite! – wykrztusił Sobrie. – To się po prostu nie mieści w głowie!

– Niewiarygodne, ale prawdziwe.

– Skąd ta pewność? A jeśli to kolejna bajeczka wymyślona przez Tytanów?

– A jednak to prawda – potwierdził były anonim. – Prawda, która dotarła do nas z dwóch źródeł. Tytani celowo poinformowali o niej Ligę przez swoje wtyczki. Ja jednak mogę w całej pełni potwierdzić tę informację, a to dzięki pozycji, jaką piastuję w Legionach. Zamieszanie, jakie prawda ta wywołała wśród nas, to pestka w porównaniu z tym, co oni wyprawiają.

Bez tłumika głos Tytana brzmiał dźwięcznie i dojrzałe, a przy tym pełen był młodzieńczego wigoru.

– Nie bardzo się orientuję w całym tym naukowym wyjaśnieniu, jakie zostało tu odczytane – zwrócił się Sobrie do Przewodniczącego. – Czy zagładę należy rozumieć dosłownie? Zagłada... wywołana... działaniem... obcej... fali czasu... z przyszłości?

– Tak, i to zagłada, która obejmie nie tylko nas, ale wszystko, co żywe na Ziemi. Chyba, że znajdziemy sposób, aby jej zapobiec.

– Ale jaka w tym rola dla nas, dla Ligi?

– O tym właśnie dyskutowaliśmy, zanim wszedłeś odparł Przewodniczący po dłuższej pauzie. – Nie da się zaprzeczyć, że to, co dotychczas braliśmy za wymysły Tytanów, okazało się prawdą. Naszemu bytowi istotnie zagraża obca siła, jakkolwiek nawet Tytani nie zdołali przewidzieć jej nietypowej formy działania. W tym kontekście nasze własne cele należy chyba uznać za mało istotne, by nie rzec, trywialne...

– Liga musi rozwiązać się dobrowolnie i przejść na stronę Tytanów – odezwał się jakiś głos. – Większość towarzyszy i tak przejdzie na ich stronę.

– Z pewnością uczynili to już ci, którzy nie stawili się na spotkanie – dodał Przewodniczący. Sobrie słuchał ich osłupiały. Łączyć siły ze znenawidzonymi Tytanami? Zdradzić odwieczne dążenie do równości rasowej?

– Nie wolno nam tego zrobić! – zaprotestował gwałtownie. – Spełniamy świętą misję!

W odpowiedzi na jego oburzenie przemówił Tytan.

– Moim zdaniem nie mamy wielkiego wyboru. Nie chodzi już o ratowanie zagrożonych podgatunków, lecz o byt całej ludzkości. Ja, który spędziłem wśród Tytanów całe życie i który zawsze ich nienawidziłem... nawet ja widzę dziś, że tylko oni zdolni; są nas uratować. Tytani są

jedyną nadzieją ludzkości. Od tej chwili staje się lojalnym oficerem Legionów Tytana.

Sobrie nie był odosobniony w swym oburzeniu. Dołączyły do niego jeszcze dwa głosy, z pasją krytykujące zdradę ideałów.

– I co się teraz stanie z podgatunkami dewiantów? – krzyczał rozgorączkowany Sobrie. – Co będzie z Amhrakami, z Urukuri, z całą resztą? Mamy tak po prostu machnąć na nich ręką?

– Z żalem przyznaję, że trzeba ich będzie odstawić odparł spokojnie zdekonspirowany Tytan.  
– W świetle tak groźnego kryzysu są po prostu zbyt mało istotni, byśmy im poświęcali swoją uwagę. Idzie przecież o ludzkość, a nie o jakieś tam podgatunki.

Rozległy się głośnie uwagi. Twarze, które lata konspiracji pozamieniały w kamienne maski, zaczęły teraz, jedna po drugiej, zmieniać się pod wpływem podjętych decyzji.

Sobrie nie wiedział, jak i kiedy rozpoczęła się strzelanina. Broń pojawiła się w kilku dłoniach jednocześnie. Ugodzony w pierś Tytan osunął się pod stół, a jego piękne regularne rysy ściągnęły się pod wpływem dotkliwego szoku. Huk był ogłuszający. Przewodniczący dostał w ramię właśnie w chwili, gdy miał pociągnąć za spust. Okręcił się w kółko z potwornym grymasem bólu na twarzy.

Sobrie dobył broni z pewnym opóźnieniem i znurkował pod stół, gdzie stwierdził, że wszystkie głosy popierające jego protest zostały już skutecznie uciszone, gdyż ich autorzy nie żyli.

Sobrie rozerwał koszulę na piersi, wsunął dłoń w zanadrze i wychynął spod stołu.

Zobaczył wycelowane w siebie lufy pistoletów. Wyciągnął dłoń, którą krył pod koszulą, a w niej granat „S”, dotychczas schowany w sakiewce pod ubraniem.

– Nie ruszać się – rozkazał nieswoim głosem – bo oberwiemy wszyscy po równo!

Krok za krokiem posuwał się ku drzwiom odprowadzany tępyimi spojrzeniami pozostałych. Dotarłszy wreszcie do wyjścia, gwałtownie pchnął drzwi i rzucił się w labirynt piwnic.

Biegając mijał pobielające na odgłos strzałów twarze z czarnymi dziurami rozwartych ust. Ruchem broni rozpędzał stojących pod ściany, ze zdumieniem odnotowując, że jakoś nikt go jeszcze nie goni. W ciągu niespełna dwudziestu sekund dotarł do najbliższego wyjścia. Skulony rzucił się w głąb wilgotnego tunelu, przez który mógł się już tylko wolno przedzierać.

Tunel kończył się tajnymi drzwiami, które wiodły do kolejnej piwnicy, tym razem pod nie używanym magazynem. Po chwili Sobrie był już na bocznej uliczce peryferyjnej dzielnicy Sannan. Czym prędzej przedostał się do bardziej ruchliwej części miasta, gdzie skorzystał

z pierwszej z brzegu budki wideofonicznej.

Na ekranie ukazała się twarz Layelli, a jej oczy zogniły na widok Sobriego.

– Hej! Co się stało?

– Natychmiast wyjdź z domu.

Na twarzy Layelli odmalował się strach.

– Co ty mówisz?

– Wyjdź z domu, ale to już! Nic nie zabieraj, złap tylko trochę forsy. – Zawahał się chwilę. –

Spotkamy się pod zegarem na placu Kotsina, Zrozumiałaś?

Layella była bardzo blada, ale już spokojna.

– Zrozumiałam.

– To tyle.

Ekran zgasł. Sobrie podążył ruchliwą ulicą, a w głowie huczało mu od natłoku myśli. Próbował ocenić sytuację pod wszelkimi możliwymi kątami. Będą musieli wyjechać z Sannan, i to jak najprędzej, Mogą pojechać do... no właśnie, dokąd? Wszędzie było gorąco. Siatki już się rozwiązują, niedługo nie zostanie nic.

Metrem dojechał w okolice placu Kotsina, skąd odbył powolny spacer w umówione miejsce, zgodnie z własną oceną czasu potrzebnego Layelli na dotarcie pod zegar. Kiedy tam wreszcie doszedł, Layella już czekała. Ubrana w zgrzebny brązowy płaszcz, rozglądała się nerwowo dookoła.

– Dokąd idziemy? – zapytała wpatrując się w niego okrągłymi oczami Amhraków.

– Chodźmy do Jorba Gandatta – odparł Sobrie. – On nam pomoże.

Coś przecież musi pozostać z Ligi, przekonywał sam siebie. Takie twarde sztuki jak on sam czy Jorb nigdy się nie poddadzą. A podobnych im jest tylu, że na pewno da się utrzymać jakiś stopień zorganizowania.

Był pewien, że może w pełni ufać Jorbowi i że przyjaciel udzieli im jakiejś pomocy. Komórka sannańska (której, pomyślał z żalem, dotychczas sam przewodniczył) na pewno całkiem się rozpadnie, ale Jorb do niej nie należał. Jorb był terenowym łącznikiem Sobriego. A zatem będzie umiał im powiedzieć, gdzie jest w tej chwili bezpiecznie.

Gdy przecinali plac, Layella ujęła Sobriego pod rękę. Z początku Sobrie nie zwrócił uwagi na to, że wyloty placu są bardziej niż zwykle zatłoczone i że z boku stoi niby to przypadkowo zaparkowana szara ciężarówka bez żadnych tablic czy napisów, które świadczyć by mogły o jej

przeznaczeniu. Zaledwie jednak włączyli się w tłum, oboje poczuli na ramionach dłonie, które pchnęły ich stanowczo w stronę ciężarówki.

Tył wozu był otwarty. Wewnątrz siedział niski puciołowaty mężczyzna i obserwował plac za pomocą zestawu peryskopów. Sobrie zrozumiał nagle, że stoją oto przed urządzeniem, o którym wielokrotnie już słyszał, lecz z którym nigdy się nie zetknął: był to ruchomy punkt kontroli rasowej. Pызaty człowiek był zaś owym na wpół legendarnym ekspertem od dewiantów, który nawet mieszańca rozpoznawał na pierwszy rzut oka.

Ekspert zlustrował Layellę od stóp do głów. Miał przy tym taką minę, jakby pokazano mu coś strasznie nieprzyzwoitego.

– No jasne, że tak – oświadczył zjadliwym, lekko nosowym głosem. – Ciekawe, jak jej się dotąd udawało.

Sobrie wydał zduszony okrzyk. Nigdy nie dowiedział się, czy starczyłoby mu odwagi, by użyć granatu „S”, a więc zabić tym samym także i Layellę. Dwóch tytańskich tajniaków rozkrzyżowało mu ręce, podczas gdy trzeci sięgnął pod koszulę Sobriego i wyciągnął śmiercionośny ładunek.

– Ciekawe... ciekawe – mamrotał pod nosem Limnich. – I mówicie, że Leard Ascar tam został?

– Tak jest, Wodzu – odparł Heshke.

– Hmm... No tak, zawsze braliśmy pod uwagę możliwość istnienia kolonii ludzkich w przestrzeni międzygwiazdnej, także i kolonii dewiantów. Zapiski z Eonu Pundyjskiego wspominają o lotach międzygwiazdnych, ale o tym naturalnie wiecie Sami, obywatelu Heshke.

– Tak jest, Wodzu – powtórzył Heshke z niejakim zażenowaniem. Naczelnny Wódz Planety Limnich miał obsesję na punkcie historii Człowieka Właściwego; Heshke stwierdził to już podczas poprzednich spotkań. Limnich znał się na archeologii niemal tak dobrze jak sam Heshke.

Heshke siedział teraz po przeciwnej stronie biurka Limnicha, a Wódz przemawiał do niego z szacunkiem Obecny przy rozmowie Hiu Siu-Ming posadzony został w kącie, i to w obstawie dwóch strażników. Naczelnny Wódz Planety rzucał mu od czasu do czasu surowe spojrzenie, wyraźnie niezadowolony, że musi podejmować dewianta we własnym gabinecie.

– A co wy sami, Heshke, sądzicie o tym ich projekcie? Co się za tym kryje?

– Wierzę głęboko, że nie kryje się za tym nic, Wodzu – odparł szczerze Heshke. – Miasto-Retorta nie wiąże z Ziemią żadnych planów, nawet się nią specjalnie nie interesuje.

Zabrzmiałoby to może dość dziwnie, ale powoduje nimi zwykła chęć sąsiedzkiej pomocy.

– Sprytny jak Chiniec – mruknął Limnich, kiwając przy tym głową, jakby sam sobie składał gratulacje.

– Słyszałem już to powiedzonko – przyznał Heshke tonem nagle chłodnym i oficjalnym.

Za plecami Limnicha stał pułkownik Brask, który przysłuchiwał się rozmowie w tej samej dokładnie postawie, jaką Heshke zapamiętał z bytności w gabinecie Tytan-Majora Broune'a. Spojrzenia, jakie Brask posyłał w stronę Hiu Siu-Minga, pełne były jawnej nienawiści.

– A jak się wam podobało życie wśród tych... Chińców? – zapytał Heshkego Brask.

Heshke poprawił się w fotelu, jakby nagle poczuł się bardzo niewygodnie.

– No cóż, oni są... inni niż my.

– Nie wątpię.

– Zdziwili mnie jednak ogromem chęci i możliwości udzielenia nam pomocy – dokończył Heshke.

Brask uśmiechnął się z lodowatą ironią, a Limnich oświadczył:

– Niezależnie od intencji, tym razem plan im się nie powiódł. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, obywatelu Heshke, że Człowiek Właściwy nigdy nie poniecha wysiłków w celu zachowania Ziemi dla siebie. Syn nie opuszcza matki nawet dla ratowania własnego życia, niezależnie od rozmiarów grożącego im obojgu niebezpieczeństwa. Zbroimy się, by bronić swojego prawa do życia. Gotowi jesteśmy stawić masowy opór... być może desperacki, lecz i druzgocący dla przeciwnika. Obecny tu Tytan-Pułkownik Brask dowodzi formacją Tytańskich Legionów Chronosa, nazwanych tak na cześć starożytnego bóstwa czasu, która to formacja umożliwi nam, a raczej już umożliwiła, dokonywanie ataków na rozległym poligonie czasu. Pułkownik może sam zapewnić was, że daleko nam do porażki.

– Ależ Wodzu! Wiecie przecież, na czym polega grożąca nam katastrofa! – nie wytrzymał Heshke. – To kataklizm naturalny, niezależny od jakiegokolwiek wroga. Jak więc zamierzacie go zwalczyć?

– Marny już pewien plan – pouczył go wyniośle pułkownik Brask.

– I cóż to za plan? Bardzo jestem ciekaw! – pomimo paraliżującej obecności przedstawicieli władzy, Heshke nie zdołał powstrzymać się od ironii.

– Zamierzamy unicestwić biosferę wroga. Zmasowanym atakiem nuklearnym zlikwidujemy tam wszystkie oznaki życia, nie pozostawiając ani mikroba. System czasowy wroga związany



jest nierozdzielnie z istnieniem życia: likwidując zatem fałę czasu, która obumrze wraz z zanikiem bytu biologicznego, pozbedziemy się zagrożenia dla własnej egzystencji.

Heshke obrócił się i spojrział pytająco na Hiu Siu-Minga, ale młody technik z Miasta-Retorty tylko wzruszył ramionami. Heshke ponownie przeniósł wzrok na Braska.

– Skoro jednak dokonacie tysięcy eksplozji...

– Setek tysięcy – poprawił go Brask.

– ...jeśli ich dokonacie mierząc w czterysta lat w przyszłość, to co będzie, gdy nasz czas dotrze do tego punktu? Czy nie znajdziemy się wówczas w samym centrum rażenia?

Brask uśmiechnął się z politowaniem.

– Czas ma pewną szczególną cechę. Gdy tam dotrzemy, skutki działania wybuchów będą już nieodczuwalne, zakładając, naturalnie, że uda nam się w pełni zneutralizować front czasu nieprzyjaciela. Jeśli nam się nie uda, wówczas tak czy owak nie będzie to miało znaczenia. – Widząc, że Heshke nie bardzo go rozumie, pułkownik dodał: – Wiem, że brzmi to nieco dziwnie, ale, jak stwierdziliśmy, czas działa właśnie w ten sposób.

Heshke znów spojrział na Hiu Siu-Minga, który tym razem kiwnął głową.

– To prawda. Zakładając, że przeciwna fala czasu istotnie ulegnie kasacji.

– Mam nadzieję, że w tym kontekście nasza determinacja już was nie dziwi – odezwał się Limnich swym niskim, dźwięcznym głosem. – Walka, którą stoczymy, może stać się apogeum chwały Człowieka Właściwego. Ktokolwiek podnosi na nas rękę, niechaj wie... – Limnich spazmatycznie zacisnął pięści, a Heshkemu wydało się, że widzi wręcz, jak Wódz z trudem opanowuje atak szału, co istotnie było zgodne z prawdą.

Czyżbyśmy byli rasą szaleńców? pomyślał z goryczą Heshke. Może i tak. Może to i lepiej, że wszystko się skończy. Ze zdumieniem odkrył w tej myśli załączek pragnienia śmierci, które – jak zawsze twierdził Blare Oblomot – jest cechą mentalności każdego Tytana.

– Dzięki za wysłuchanie nas, Naczelnny Wodzu – rzekł z pokorą.

– Po tak niezwyklej przygodzie nie mogłem odmówić wam rozmowy – odparł łaskawie Limnich. Potrząsnął stojącym na biurku złotym dzwonczkiem. – Odprowadzić do Biurpolbloku – polecił strażnikom, którzy pojawili się na dźwięk dzwonka.

Heshkego i Hiu Siu-Minga prowadzono podziemnym korytarzem Biurpolbloku, kiedy archeolog przystanął nagle jak wryty.

Z przeciwnej strony korytarza, również pod eskortą, nadchodził ku niemu człowiek, którego

– jak Heshke zdecydował po chwili wahania – spotkał już kiedyś, chociaż tylko raz: brat Blare’a Oblomota, Sobrie.

– Oblomot! – krzyknął Heshke.

Mężczyzna nie poznał go w pierwszej chwili, lecz w końcu zdobył się na posępny uśmiech. Straże usiłowały przeprowadzić ich obok siebie, ale Heshke zaprotestował:

– Żądam, aby wolno mi było porozmawiać z tym człowiekiem. Pamiętajcie, że nie jestem waszym więźniem!

– Ma rację – przytaknął obojętnie jeden ze strażników. – Obywatel Heshke jest tylko czasowo internowany. Rozmawiał z samym Wodzem Planety.

Strażnicy wymienili spojrzenia. W końcu jeden z nich pchnął pobliskie drzwi.

– Tutaj! – polecił. A ponieważ straż nie chciały się rozdzielać, Hiu Siu-Minga również wpuszczono do środka. Strażnicy zatrzymali się przy drzwiach, nie spuszczać z oka swoich podopiecznych i od niechcenia wymachując pałkami.

Heshke z zadowoleniem stwierdził, że obecność Tytanów wcale go nie peszy. Po chwili onieśmienia zrelacjonował Sobriemu śmierć Blare’a, co wywołało jedynie posępne kiwnięcie głową: Sobrie już wiedział.

Następnie Oblomot szybko i trochę bezładnie opowiedział Heshkemu własną historię: działalność w Lidze Panhumanistycznej, związek z pół-Amhraczką, aresztowanie i deportacja do Biurpolbloku w Pradnie.

– Chcę, żebym dla nich pracował – wyznał z goryczą Sobrie. – Zamierzają raz na zawsze skończyć z Ligą. Jeśli sygnę tych, którzy dotąd sami nie zdradzili, pozwolą Layelli zamieszkać w rezerwacie Amhraków. Jeśli nie... zabijają ją jak psa.

– A może pan zrobić to, czego żądają?

– Mógłbym, ale... o, mój Boże...

Heshke westchnął ze smutkiem.

– Zachowują przynajmniej pozory wielkoduszności rzekł cicho. – Mogli przecież zastosować trzeci stopień tortur.

Sobrie spojrział na niego zaskoczony i roześmiał się z niedowierzaniem.

– Nie podejrzewa ich pan chyba o jakiegokolwiek skrupuły, co? To tylko kwestia czasu, nic więcej. Tak ostro wzięli się do roboty, że narzędzia tortur w Biurpolbloku Dwa są chwilowo przeciążone. A oni po prostu nie mogą patrzeć, jak ktoś siedzi i nic nie robi.

Heshke zdołał wymóc na Tytanach umieszczenie jego samego i Hiu Siu-Minga w sąsiadujących celach, co umożliwiło im swobodne prowadzenie rozmów. Pierwszą krótką wymianę zdań odbyli zaraz po rozstaniu z Sobriem Oblomotem.

– Żal mi tych dwojga – powiedział Heshke. – Są w beznadziejnej sytuacji: Tytani mogą z nimi zrobić, co im się żywnie spodoba. Świat jest okrutny, Siu-Ming.

– Każdy świat ma swoje okrucieństwa – zauważył filozoficznie Siu-Ming.

– Pewnie tak. Wszystko jedno, za stary jestem do odegrania roli, jaką mi ostatnio wyznaczono. Zrobiłem, co było w mojej mocy. Teraz chcę już tylko pozostać sam.

Heshke leżał na pryczy z przymkniętymi oczami.

– Plan twoich przyjaciół jest niewykonalny – powiedział Siu-Ming. – Robią podstawowy błąd: fala czasu nie jest konsekwencją życia organicznego. Jest dokładnie na odwrót. System biologiczny to produkt uboczny systemu czasu, a nie jego przyczyna.

– Jaki stąd wniosek?

– Taki, że nawet całkowite zniszczenie biosfery niczego nie jest w stanie zmienić: fala czasu i tak będzie posuwać się dalej.

– Ach tak – rzekł cicho Heshke. – I co ja mogę na to poradzić?

Po chwili już spał.

Mimo późnej pory, Limnich nadal tkwił za biurkiem, uważnie przeglądając karty genealogiczne podejrzanych oficerów. Czystość rasowa wśród ziemskiej elity była sprawą, którą zawsze zajmował się osobiście.

Na zewnątrz ruch uliczny ucichł i panowała tam teraz kompletna cisza, z rzadka jedynie zakłócana warkotem Jakiegoś spóźnionego samochodu. Nagle Limnich zeszytywniał w fotelu i z przerażenia wstrzymał oddech.

W półmroku gabinetu stał przed nim Chiniec, którego Heshke przywiózł z kosmosu.

Limnichowi nie mieściło się w głowie, że ktokolwiek może nieproszony wałęsać się po budynku: Chiniec wyrósł jak spod ziemi. Wódz chwycił pistolet spoczywający zawsze na półeczce pod blatem biurka i drżącą dłonią wycelował w brzuch intruza.

– Jakżeś się tu dostał? – wykrztusił wreszcie.

– Dzięki piekielnemu sprytowi – odparł z uśmiechem Siu-Ming, cytując niedawne słowa Limnicha.

Udało mu się wejść bez najmniejszego wysiłku. Podczas rewizji osobistej Tytani odebrali mu

wszystko z wyjątkiem kilku urządzeń przytwierdzonych do ciała w czasie przeszłym. Przesunięte o minutę w przeszłość urządzenia te były nie do wykrycia. W razie potrzeby należało je po prostu przefazować w teraźniejszość.

Podstawowym aparatem był zmiennik czasu indywidualnego, podobny do tego, którym Siu-Ming posłużył się podczas ucieczki z Retorty Produkcyjnej, tylko mniejszy i doskonalszy. Siu-Ming sam siebie przeniósł w czasie o minutę wstecz, wyważył zamki w drzwiach celi i spokojnie wyszedł z Biurpolbloku. Niedostrzegalny dla wartowników i sekretarek, dostał się do gabinetu Limnicha, gdzie przeniósł się z powrotem w czas normalny.

Jak to wyjaśnić Limnichowi, dla którego jego nagłe wtargnięcie musi mieć posmak czarnej magii?

– Mam pewne urządzenie, dzięki któremu, jeśli chcę, mogę stawać się niewidzialny – rzekł, jakby mówił o czymś najzwyczajniejszym pod słońcem. – Proszę się nie bać. Naczelnny Wodzu Planety, nie zrobię panu nic złego. Mam tylko pewną propozycję, która, jak sądzę, obu nam może przynieść korzyści.

Limnich nie opuszczał broni, walcząc z przemożnym uczuciem obrzydzenia, jakie budziła w nim obca istota. Wolną dłonią namacał złoty dzwonek. Nagle jednak zimna kalkulacja wzięła w nim górę nad emocjami. Cofnął sięgającą po dzwonek rękę i oparł się wygodniej, nie spuszczać oczu z pociągłej, odrażająco nieludzkiej twarzy młodego Chińca.

– Mów – polecił.

– Twoja cywilizacja. Wodzu, stoi w obliczu nieuchronnej katastrofy – wyrecytował niemal wesoło Siu-Ming. – Planowany atak wodorowy na Ziemię Przyszłości może zniszczyć wroga, ale nie zniszczy niczego więcej. Zasadniczy problem pozostanie nienaruszony, gdyż żadna bomba wodorowa nie pokona przepotężnego strumienia czasu.

Limnich słuchał jego słów z uwagą i wydawał się brać je serio.

– Istotnie? – zapytał. – No cóż, nawet samo zniszczenie wroga będzie pewnym osiągnięciem. Pozostało nam zresztą całe pięćdziesiąt lat, a może i sto, na rozwiązanie tej sytuacji...

Głos Limnicha cichł i zamarł w końcu, a wzrok pogrążonego we własnych wizjach Wodza ześliznął się z oblicza Siu-Minga. Limnich wpatrywał się teraz w blat biurka, niepomny na trzymany w ręku pistolet.

– Chciałbym powiedzieć panu coś o Mieście-Retorcie – odezwał się Siu-Ming. – Panuje tam wyjątkowo nieludzki, niesprawiedliwy i okrutny system społeczny. Czy wie pan, dlaczego to

właśnie mnie wysłano z misją na Ziemię? Ponieważ jestem renegatem burzącym spokój władców Miasta. Pozbyli się mnie z radością, gdyż wiedzą, że uczynię wszystko, by zmienić panujący tam ustrój.

Limnich chrząknął gwałtownie.

– Wszędzie wleżą!

– Słucham? – zapytał grzecznie Siu-Ming.

– Wywrotowcy! Jak te termity: przeżerają całe zdrowe społeczeństwo. Ale co mnie to w końcu obchodzi! Proszę się streszczać, mam wiele pracy.

– Czy pan nie rozumie – kontynuował cierpliwie Siu-Ming – jak wielkiej pomocy mogłoby wam udzielić Miasto-Retorta? Jego nieograniczone wprost moce przerobowe zdolne są przewyższyć łączną produkcję całej waszej planety. Poza tym, moglibyście nauczyć się wiele z zakresu techniki, a nasza kontrola nad siłami czasu też znacznie przewyższa wasze osiągnięcia.

– Siu-Ming uniósł gładki jajowaty przedmiot, idealnie wpasowany w zagłębienie dłoni. – Czy wie pan, jak stałem się niewidzialny, by wejść do pańskiego gabinetu? Powiem wam, jak można podbić Miasto-Retortę, jeśli w zamian zobowiązacie się zniszczyć panujący tam ustrój i zezwolicie na zastąpienie go nowym, bardziej demokratycznym porządkiem społecznym.

Limnich dopiero teraz położył broń.

– Jak moglibyśmy dokonać podboju? – zainteresował się wybałuszając oczy spoza okrągłych okularów. – Jeśli dobrze pamiętam, Miasto-Retorta leży o ileś tam lat świetlnych od nas.

– Tak. Co więcej: jest przesunięte w czasie względem Ziemi. Dysponujecie jednak raketowymi pojazdami kosmicznymi, prawda? To wystarczy. Nauczę waszych techników, jak się buduje mechanizmy przestrzenno-czasowe, w które trzeba będzie wyposażyć te statki. Jestem – dodał mimochodem – wysoko kwalifikowanym technikiem. Wystarczy trzydzieści czy czterdzieści takich statków, z pełną obsadą uzbrojonej załogi, aby bez trudu pokonać Miasto.

Naczelnny Wódz Planety pogrążył się w myślach, rozważając niezwykle propozycję we wszystkich możliwych aspektach. Uświadomiwszy sobie korzyści, jakie niósł plan Siu-Minga, poczuł nagły przypływ entuzjazmu.

Fakt, że Hiu Siu-Ming dopuścił się tak straszliwej zdrady wobec swych ziomków, nie zdziwił Limnicha ani trochę. Siu-Ming był, bądź co bądź, tylko Chińcem i działał w zgodzie ze swą podłą naturą. Nawet sprawozdanie Ronda Heshkego z miasta dewiantów w pełni potwierdzało teorię Limnicha.

– Dobrze, zgadzam się – rzekł nieoczekiwanie, przerywając ciszę. – Spełnimy twoje żądania, jeśli naturalnie wszystko potoczy się według przedstawionego planu.

Twarz dewianta na chwilę rozbłysła triumfem, by zaraz na powrót stać się maską bez wyrazu.

– Skoro już przy tym jesteśmy – podjął Siu-Ming niech mi będzie wolno postawić jeszcze jeden warunek. Rond Heshke, którego cenię i poważam, martwi się losem dwojga swoich przyjaciół, przetrzymywanych obecnie w Biurpolbloku: chodzi o Sobriego Oblomota i Layelle. Frank. Proszę, aby nie skazywać ich pan na śmierć, lecz pozwolił im zamieszkać w rezerwacie, tak jak sobie tego życzy Rond Heshke.

– Co takiego? Śmiesz stawiać jakieś warunki? – wybuchnął Limnich rozjuszony zuchwalstwem Chińca. – Wydaje ci się, że jesteśmy zależni od twojej dobrej woli? Jeszcze słowo, a wymuszę na tobie współpracę w sali tortur!

Paskudny grymas potwierdził dosłowność tej pogroźki.

– Proszę pamiętać, że dzielą nas pewne różnice – wycedził Siu-Ming lodowatym tonem. – A jeśli okażę się odporny na tortury? Czy nie zadał pan sobie dotychczas pytania, po co ja to wszystko robię? Z całego mojego narodu tylko ja jeden wiem, co znaczy siła więzów międzyludzkich. Dlatego właśnie zależy mi na tamtej parze z Biurpolbloku: ich łączą takie więzy. Podobna więź istniała między mną a moim ojcem, którego za to tylko skazano na śmierć. Oto przyczyna mojej prośby: jestem synem swojego ojca. Panu i pańskim ludziom te uczucia nie są obce.

Limnich zawahał się z odpowiedzią. Po raz pierwszy od początku rozmowy na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, a nawet sympatii.

– Tak – przyznał zjadliwie. – Ja to doskonale rozumiem.

– Jeszcze jeden drobiazg – rzekł Siu-Ming marszcząc brwi.

– Co znowu? – Limnich rozparł się wygodnie w fotelu, nagle zaskakująco odprężony. Mimo fizycznej odrazy, jaką wciąż napawał go Chiniec (na początku Limnich z trudem powstrzymywał mdłości), mimo uczucia wstrętu, stwierdził, że spiskowanie z dewiantem sprawia mu perwersyjną radość. Było w tym coś niezwykle emocjonującego – coś jak zawieranie paktu z diabłem.

– Statek, którym tu przybyliśmy, nadal krąży po orbicie okołoziemskiej. Z pewnością zdołałby wysledzić ziemską armadę.

– Nie dałoby się go unieszkodliwić?

– Może i tak, choć to wątpliwe. Gdybyśmy jednak nie zdołali go zniszczyć, natychmiast powróci do Miasta-Retorty z ostrzeżeniem, a wtedy oni zdążą się dobrze przygotować do kontrataku, zanim jeszcze tam dotrzemy.

– Należy go wobec tego nakłonić do odlotu. Proponuję, abyś nawiązał z nim kontakt i polecił załodze natychmiast wracać do bazy.

– Nie odleczę, póki ja albo Heshke nie powrócimy na pokład. Byłoby to sprzeczne z regulaminem.

Siu-Ming po raz pierwszy wydawał się zbity z tropu.

– No to odeślemy Heshkego – zniecierpliwiał się Limnich. Irytowały go takie drobne przeszkody.

– Zdaje się, że i on nie specjalnie pali się do powrotu.

– Hmm – zamyślił się Limnich. – A czy sam Heshke nie może nawiązać kontaktu ze statkiem?

– Owszem, jeśli dam mu transponder.

– Świetnie. W takim razie postaram się, żeby zechciał wracać. Prosiłeś, zdaje się, o odesłanie jego przyjaciół do rezerwatu? Zgoda, odeślemy ich, a Heshke będzie mógł im towarzyszyć.

– Nie rozumiem.

Na obliczu Naczelnego Wodza pojawił się złośliwy uśmiešek.

– W ciągu kilku najbliższych tygodni przeprowadzimy zamknięcie wszystkich rezerwatów i likwidację ich mieszkańców. Dopilnuję, by Heshke został o tym odpowiednio wcześniej powiadomiony. Będzie jeszcze błagał na kolanach, żeby go wsadzić na pokład waszego statku!

Siu-Ming zawahał się.

– Nie chciałbym używać Heshkego jako pionka w grze...

– Wszyscy są pionkami – prychnął Limnich. – Kiedy będzie odjeżdżał do rezerwatu, dasz mu swój transponder. Namówisz go, żeby przywołał statek w celu złożenia raportu o wynikach misji. Tylko ani słowa o naszych planach, pamiętaj! – Obrzucił Siu-Minga nieufnym spojrzeniem. – Może wy, Chińcy, nie jesteście jednak aż tak piekielnie sprytni...

## Rozdział dwunasty

Nad pylistą żółtawą równiną, z rzadka porośniętą rachitycznymi drzewkami i poznaczoną tu i ówdzie chałupkami z cegieł lub gliny, zachodziło słońce. Rond Heshke siedział na werandzie przyzwoitego bungalowu z czerwonej cegły i obserwował krajobraz, doznając przy tym uczucia nieoczekiwanej błogości i spokoju ducha.

Do domu zbliżał się właśnie Herrick – Amhrak, u którego zamieszkali Heshke, Sobnie i Layella. Herrick szedł dziarsko, kołysząc ciałem w sposób typowy dla wszystkich Amhraków, a Heshke stwierdził ze zdumieniem, że nawet nagły widok pełnokrwistego dewianta nie burzy już jego spokoju i zadowolenia.

Na początku przeżył straszny szok: jak można tak po prostu zesłać do rezerwatu uczciwego obywatela ze świadectwem czystości rasowej! Heshke był równie zaskoczony, co wściekły. Jego protesty nie odnosiły żadnego skutku, a z pokątnych uwag wywnioskował, że przyczyną decyzji była jego zażyłość z rodziną Oblomotów. Sobriego w końcu też skazano na banicję jedynie za związek z Layellą. Tak, zsyłka do rezerwatu Amhraków była początkowo dla Heshkego wielkim szokiem. Gdyby nie to, że uodpornił się w pewnym stopniu dzięki obcowaniu z Chińcami, skończyłoby się to pewnie chorobą psychiczną.

A teraz... Herrick wszedł na stopnie werandy. Był absolutnym, stuprocentowym Amhrakiem: czerwony odcień skóry, kształtna kulista czaszka, okrągłe oczy i charakterystyczne duże uszy, a także niepokojące dysproporcje w budowie ciała i przesadna płynność ruchów, jak u istoty pozbawionej kośćca. A jednak Heshkemu wcale to nie przeszkadzało. Myślał o Herricku jako o sympatycznym przedstawicielu sympatycznej rasy i nie widział w tym nic niestosownego, a jego sympatia była tym większa, że Amhrakowie byli epigonami ginącej kultury.

– Jak się masz, Rond! – powitał go Herrick z silnym amhrackim akcentem. – Sobrie w domu?

Heshke skinął głową, a Herrick bez ceremonii wpakował się do środka. Heshke powrócił do kontemplacji zachodu słońca i do rozważań o tym, jak wspaniale przystosowały się niedobitki Amhraków do warunków życia w rezerwacie. Było ich tu trzy miliony, a zajmowali blisko dwustumilowy pas ziemi (niegdyś zamieszkiwali całe dwa kontynenty). Jałowa gleba nie nadawała się pod uprawę, lecz Amhrakowie rozwiązali ten problem dzięki irygacji gruntów.



Zorganizowali się w małą zwartą społeczność, pobudowali kilka małych i średnich miasteczek, uruchomili nawet produkcję – naturalnie na niewielką skalę, jedynie na własne potrzeby. Nigdy nie opuszczała ich świadomość, że są całkowicie zależni od kaprysu swoich pogromców.

Heshke słyszał już dawniej o wysokiej kulturze technicznej Amhraków, sądził jednak, że kopiują oni po prostu wynalazki Człowieka Właściwego. Toteż zdumiał się bardzo, gdy podczas pobytu u Herricka zaczął się na każdym kroku przekonywać o ich oryginalnej pomysłowości. Herrick często wspominał wojnę, kiedy to jako młody naukowiec uczestniczył w ostatniej próbie obrony Amhraków. Pracował nad projektem, który nigdy nie doczekał się realizacji: nad budową pola siłowego dla odwrócenia kierunku natarcia głowic nuklearnych.

– Wy, biali – powiedział kiedyś Herrick (Amhrakowie nie używali określenia Człowiek Właściwy, lecz mówili: biali) – wygraliście tylko dzięki wyjątkowej umiejętności podporządkowania się władzy centralnej. Można was wszystkich skierować na jeden cel. Nasz system społeczny był zawsze zbyt swobodny, abyśmy mogli się wam przeciwstawić. Aż do ostatniej chwili marnowaliśmy energię na niezliczoną ilość indywidualnych projektów.

– Nie zgadzam się z tą teorią – zaproponował Heshke. – Jak w takim razie wyjaśniłbyś upadek Lorenów?

– Istotnie, Lorenów cechowała jeszcze większa karność niż was. Toteż nie pokonaliście ich sami, lecz dopiero z naszą pomocą. Sami nie dalibyście rady.

Heshke nie znalazł na to kontrargumentu. Dziwnie było rozmawiać z kimś, kto operował wersją historii niezgodną z tym, co głosili Tytani o walkach Człowieka Właściwego z resztą świata. Oficjalne źródła konsekwentnie bagatelizowały udział aliantów w wojnach rasowych. Człowiek Właściwy – nauczano – własnymi siłami pokonał rozlicznych a paskudnych wrogów.

Podobne sprzeczności nie na długo zaprzątnęły uwagę Heshkego: wyzwolenie się spod władzy propagandy przyjął z ogromną ulgą.

Czasem przyglądał się, jak Amhrak Herrick majstruje używając w tym celu najrozmaitszych przypadkowo dobranych elementów i narzędzi – przy urządzeniu, którego budowę przerwała mu wojna. Urządzeniem tym miał być telewizor, ale bez przekaźnika, bez kamery, sam odbiornik. Herrick odkrył, że metodą dalekiej interferencji można przekształcić fale świetlne w fale radiowe lub ultrakrótkie, które następnie odbierałaby stacja kontrolna. Inaczej mówiąc: stwierdził możliwość odbioru obrazów ze słabych sygnałów ze znacznej odległości. Heshke godzinami przesiadywał obok Herricka, patrząc, jak Amhrak manipuluje trzeszczącym aparatem, od czasu

do czasu wydobywając z niego mglisty, ledwie czytelny obraz górskiego szczytu czy fragmentu oceanu. Możliwości kontroli źródła obrazu były znikome: nigdy nie było wiadomo, co się pokaże na ekranie, gdyż wszystko zależało od pola magnetycznego Ziemi.

Słońce schowało się za horyzontem i Heshke poczuł chłód. Wstał, przeciągnął się i wszedł do domu.

Herrick i Sobrie siedzieli przy stole. Byli poważni, by nie rzec posępni; Sobrie chyba bardziej, pomyślał Heshke, kiedy przyjaciel powitał go spojrzeniem.

– Złe nowiny, Rond – wskazał na Herricka. – Właśnie otrzymaliśmy wiadomości z Pradny.

– Nadal jesteście w kontakcie?

Sobrie kiwnął głową.

– W ciągu kilku ostatnich tygodni udało nam się nawiązać kontakt z tymi członkami Ligi, którzy przeżyli ostatnią zdradę Tytanów. Liga pomalutku staje na nogi, dzięki czemu wciąż mamy swoich ludzi w administracji.

Sobrie zamilkł. Heshke zawsze podziwiał łatwość, z jaką przyjaciel zdołał ulokować ich troje w rezerwacie Amhraków. Wyglądało na to, że Liga Panhumanistyczna ma swoich ludzi w większości rezerwatów: Herrick również był z nią związany.

– Limnich nakazał likwidację wszystkich rezerwatów – oświadczył cicho Sobrie. – Koniec z Amhrakami, koniec z nami wszystkimi.

– Spodziewaliśmy się tego prędzej czy później – wtrącił Herrick bez cienia goryczy. – Jedyne, co możemy zrobić, to poddać się losowi.

Heshke również przewidywał taki obrót sprawy.

Sięgnął do kieszeni i wydobył mały przekaźnik, który dał mu na pożegnanie Siu-Ming. Młody Chiniec już wtedy musiał mieć pewne podejrzenia co do przyszłości: jakże inaczej tłumaczyć jego zażenowanie podczas ostatniego spotkania i niejasne ponaglenia, aby Heshke skorzystał z transmitera i opuścił Ziemię?

Wszystko wskazywało na to, że sam Siu-Ming wkręcił się jakoś w łaski Tytanów. Troskę Heshkego o własne bezpieczeństwo zbył wymijającą odpowiedzią, że zawarł pewną umowę z Limnichem i wykonuje dla niego ważne zadanie. Co za niesamowita spółka, podsumował w duchu Heshke.

Położył przekaźnik na stole.

– Możecie się stąd wydostać – zwrócił się do Sobriego. – Możecie przenieść się do tego

kosmicznego miasta, o którym mówiłem. Przyjmą was tam na pewno, są bardzo gościnni.

– Jak szczury, które uciekają z tonącego okrętu? Nie, ja się na to nie piszę. Ty, Rond, oczywiście leć. Ciebie w ogóle przecież nie powinno tu być.

– Nie, ja zostaję – westchnął Heshke. – Nie żebym chciał się zgrywać na bohatera, ale ten zwariowany świat wystarczająco dał mi się już we znaki. O wiele za dużo się ostatnio działo jak na mój gust, byłem z dnia na dzień coraz bardziej zmęczony. Odpocząłem dopiero tutaj, w rezerwacie, i tu mi się podoba.

– Rond ma rację – powiedział Herrick. – Jeśli jest szansa ucieczki, ty, Sobrie, musisz z niej skorzystać. Nie ze względu na siebie, lecz na Layellę. Poświęcenie jej byłoby fałszywym bohaterstwem, ona przecież w niczym nie zawiniła.

Tak, Layella, zamyślił się Sobrie.

– Czy moglibyśmy zabrać ze sobą grupkę Amhraków? – zapytał nieśmiało. – Kilka par rozrodczych?

Herrick pokręcił głową z gorzkim uśmiechem.

– Niedobitki minionej rasy? Nikt nie zdoła odegrać tej roli. Już dawno pogodziliśmy się z koniecznością zagłady gatunku.

– Sporządzę raport – rzekł Heshke – a wy oboje przejmiecie role emisariuszy Miasta-Retorty zamiast mnie i Siu-Minga. Należy im przekazać stanowisko Limnicha.

– Chciałbym, żebyś pojechał z nami.

– Wykluczone. Mam dość szwendania się po czasie i przestrzeni. Perspektywa śmierci wcale mnie nie przeraża. Zamierzam odpoczywać i cieszyć się życiem aż do dnia, gdy wkroczą tu Legiony Tytana.

Kompleks jaskiń dudnił i dygotał od szczęku i huku maszynierii. Stojący na galerii Limnich z zadowoleniem pokiwał głową. Dotychczasowa inspekcja trzynastu głównych bez Operacji Stulecie świadczyła o sprawnym działaniu władz.

Limnich ze znanstwem przejrzał plany perspektywiczne, wyławiając wzrokiem co wyższe wskaźniki.

– Widzę, że przekroczyliście plan o dwanaście procent – zauważył.

Obok niego na galerii stał dyrektor zakładu, osobnik o nalanej, wulgarnej fizjonomii gburą.

– Tak jest, Wodzu – przyznał z nieukrywana dumą.

– Spodziewam się wobec tego, że w nadchodzącym okresie tempo produkcji się utrzyma: dwanaście procent ponad plan, plus produkcja bieżąca.

– Czyli algebraiczne tempo przyrostu produkcji? Jeśli tylko materiały i półprodukty przychodzić będą zgodnie z planem...

– Będą – przerwał mu oschle Limnich. Przekonał się, że absurdalnie wysokie żądania wywołują skutki graniczące z cudem.

W otoczeniu świty podążył za dyrektorem wzdłuż galerii, a następnie tunelem do przyległego zespołu jaskiń. Był to jeden z poligonów, gdzie ćwiczyły Legiony Chronosa. Mijali rzędy smukłych bojowych machin czasu, ustawionych sztorcem na wyrzutniach, jak gdyby nie mogły doczekać się wystrzelenia.

Z dalszych pomieszczeń dobiegały krzyki i tupot nóg: żołnierze przechodzili tam specjalny, opracowany przez psychologów, trening doskonalenia czujności układu nerwowego. U wejścia do hali treningowej stał Tytan-Pułkownik Brask, który zasalutował Limnichowi i natychmiast odwrócił się, by ryknąć komendę: baczność, w szeregu zbiórka! Limnich niespiesznie przeprowadził inspekcję, zatrzymując się przy każdym niemal żołnierzu i mierząc go wzrokiem od góry do dołu. Szczególną uwagę zwracał przy tym na indywidualne zestawy urządzeń do walki w czasie, w które wszyscy byli wyposażeni. Zza ściany dobiegł ich ogłuszający hałas: setki machin czasu przechodziły właśnie próbę startu.

Limnich z zadowoleniem dokończył inspekcji wojska i Brask poprowadził ich do trzeciej komory, gdzie załogi stały już przy maszynach w pełnej gotowości bojowej. Na sygnał Braska wszyscy zajęli miejsca na pokładach, a po chwili wszystkie maszyny czasu zniknęły równocześnie z pola widzenia, by uformować eskadrę w nie-czasie. Towarzyszył temu donośny ryk silników.

– Znakomicie – pochwalił Limnich. – To naprawdę robi wrażenie.

– Wrażenie będzie jeszcze silniejsze, gdy pojawią się w czasie wroga z pełnym ładunkiem bomb wodorowych – dodał Brask ze złośliwą satysfakcją.

Brask i Naczelnny Wódz Planety udali się następnie do gabinetu w celu omówienia pewnych szczegółów. Podczas ich konferencji widefon zasygnalizował wiadomość dla Limnicha.

Na ekranie pojawiła się żółta twarz dewianta Hiu Siu-Minga. Brask skrzywił się z przyzwyczajenia, za to rysy Limnicha ani drgnęły.

– Zdaje się, że pański plan zadziałał, Wodzu – zameldował Siu-Ming. – Moje urządzenia

wykazało, że statek Miasta-Retorty wysłał transporter do rezerwatu Amhraków i właśnie przed chwilą opuścił orbitę.

– Już? – zdziwił się Limnich. – To niemożliwe, żeby Heshke tak szybko dostał cynk. Muszą w takim razie istnieć jeszcze inne kanały informacyjne, chyba że rezerwat po prostu wyszedł mu bokiem! – Ostatnim słowem towarzyszył zjadliwy uśmieszek.

– A więc nic już nie stoi na przeszkodzie naszej ekspedycji?

– Nie, natychmiast wydam odpowiednie rozkazy.

Przygotowania potrważą jeszcze z tydzień lub dwa, kalkulował Limnich. Przystawki kontroli czasu były już gotowe, wykonano je według planów Chińca i teraz wymagały jedynie przetransportowania w przestrzeń, gdzie zamontuje się je w statkach międzyplanetarnych. Ludzie, broń, strategia – wszystko gra.

Czeka ich wielka przygoda, pomyślał Limnich i prawie pożałował, że sam nie weźmie w niej udziału.

Herrick przyniósł taśmę, która pojawiła się w jakiś sposób w odnowionej siatce konspiracyjnej.

– Zdjęcia z likwidacji rezerwatu Bugelów – wyjaśnił Heshkemu z odcieniem lekkiej skruchy.

– Jeśli wolałbyś nie oglądać, to powiedz.

– Nie, pokaż, pokaż – zaprzeczył Heshke, czując jednocześnie skurcz żołądka.

Herrick założył taśmę na projektor.

– Nie zjawiała się zwykłymi kanałami – dodał. – Możliwe, że ktoś ją podrzucił.

– Podrzucił?

– Tak. Może Tytanom zależy, żebyśmy zobaczyli ten film.

Taśma ożyła, wypełniając ekran długą, źle zmontowaną sekwencją obrazów sfilmowanych bez ładu i składu, i bez słowa komentarza przez rządowego operatora. Po kilku minutach Heshke stwierdził, że walczy z odruchem zamknięcia oczu.

Krajobraz przypominał widok za oknem: jałowa, pylista równina. Nadciągających Tytanów zapowiadały wznoszące się nad horyzontem tumany kurzu wzniesianego przez gąsienice pojazdów.

Bugelowie byli miedzianoskórym ludem przypominającym Pigmejów, o dość prymitywnej kulturze. Na dobrą sprawę, można by ich nazwać dzikusami. Jako grupa bardzo nieliczna, zajmowali niewielki rezerwat. Na widok nieprzejeźdźnych tytańskich maszyn próbowali uciekać

gdzie popadło, przyjmując wyrok bez cienia godności, za to z panicznym lękiem i histerią.

Tytani zapędzili wszystkich Bugelów w miejsca ogrodzone, gdzie ich rozstrzelowano lub zabijano zastrzykiem, grzebiąc następnie ciała w wapiennych dołach.

Heshke wyobraził sobie tę samą scenę w rezerwacie Amhraków: tumany kurzu zapowiadające najazd eksterminatorów (w okresie wojen, gdy działali na zapleczu frontu likwidując osady dewiantów, nazywano ich OSP-ami: Oddziałami do Specjalnych Poruczeń), zagrody śmierci, urzędników sprawdzających tożsamość ofiar według tasiemcowych list (spis Bugelów obejmował jedynie najszlachetniejsze rodziny), felczerów wykonujących zastrzyki i lekarzy podpisujących akty zgonu.

Sądząc po minach, Tytani wykonywali swe zadania bez przyjemności, jakby wszystko, co robią, uważali za bardzo niemile, przygnębiające – lecz przecież konieczne. Co innego zabijać ludzi – ale to przecież zarobaczone bydło, jaki cel mogli mieć Tytani w podrzuceniu taśmy do rezerwatu? Heshke odniósł się sceptycznie do podejrzeń Herricka. Żeby się z nimi podroczyć? Żeby ich postraszyć? A może to po prostu złośliwy wybryk przepojonego nienawiścią urzędnika?

Herrick spokojnie patrzył na ekran, odpalając przy tym papierosa, jakby myślami był całkiem gdzie indziej.

Rozdział trzynasty Siu Kung-Czien i jego pojętny uczeń Leard Ascar kończyli właśnie przygotowania do uruchomienia transmitera wszechmysłowego, gdy w drugim końcu obserwatorium rozdzwonił się wifefon. Robot podjechał ku nim z ekranem, na którym ujrzeli premiera Hwen Wu.

– Wybaczczie, że przeszkadzam – usprawiedliwił się na powitanie Hwen Wu – ale sprawa jest niezwykle pilna. Wszystko wskazuje na to, że wysłanie na Ziemię młodego Hiu Siu-Minga, który zakłócał porządek w Mieście, było wielkim błędem. Siu-Ming powrócił na czele obcych wojsk.

– Domyślam się, że mówi pan o tych topornych kadłubach, które od blisko godziny widzę za oknem obserwatorium? – rzucił z irytacją Siu. – Myślałem, że to kolejny poroniony pomysł władz. Całe szczęście, że mają, zdaje się, silniki atomowe do manewrów w bliskim zasięgu: przynajmniej nie rozstroją mi aparatury.

– Te statki są dziełem syna Hiu Siao i jego nowych przyjaciół – wyjaśnił Hwen Wu. – Mamy pecha do tej rodziny. Agresorzy zdołali już doprowadzić do lądowania cztery statki z kompletem uzbrojonej załogi, dzięki czemu opanowali lądowisko i pospiesznie ściągają teraz całą resztę. Nie słyszeliście tego potwornego harmideru? Oni dysponują całkiem znaczną siłą.

– Istotnie, stwierdziłem niedopuszczalne nasilenie hałasu i nawet kilkakrotnie kierowałem na zewnątrz prośby o ciszę – przyznał kąśliwie Siu. – A teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego przychodzi pan z tym właśnie do mnie?

– Jest pan, bądź co bądź, członkiem rządu – przypomniał mu Hwen Wu. – Sądzę, że powinniśmy się zebrać w celu omówienia sytuacji. Hiu Siu-Ming żąda, abyśmy się bezwarunkowo poddali.

Słowa premiera przypieczętował odległy basowy rumor: odgłos wybuchu.

– Dobrze – westchnął z rezygnacją Siu. – Już idę”.

Robot z wifefonem odturlał się na miejsce, a Siu spojrzał znacząco na Ascara.

– Męczą człowieka i męczą – poskarżył się. – Czy i u was na Ziemi panują podobne obyczaje?

– Obawiam się, że tak – odparł lakonicznie Ascar.

– Barbarzyńcy! – skomentował pod wąsem Siu.

– Czy mogę kontynuować eksperyment pod twoją nieobecność? – zapytał ostrożnie Ascar.

– Tak, pewnie... wszystko jasne?

– Owszem, dzięki niezrównanemu nauczycielowi.

Siu Kung-Czien opuścił obserwatorium. Ascar z żarliwością neofity podjął przerwana inspekcję działania urządzeń, uważnie śledząc pojawiające się na monitorze słupki kaligraficznych symboli.

Co za frajda odejść nareszcie od biurka! Tytan-Major Broune już od dłuższego czasu marzył o prawdziwej akcji!

Stał teraz na wielkim placu o dziwnej, nieregularnej geometrii i obserwował wzorowo sprawna operację transportowania żołnierzy, sprzętu i broni z terenów lądowiska. Kwiaty i krzewy, miniaturowe drzewka i subtelnie malowane parawany – wszystko to zrównano z ziemią i usunięto na bok, otwierając maszynom drogę w głąb miasta. Tereny wokół lądowiska zostały natychmiast zabezpieczone pierścieniem ciężkich karabinów maszynowych, wśród których znalazło się nawet działko małego kalibru, zaś każda godzina przynosiła nowe meldunki o opanowaniu całych dzielnic bez cienia oporu ze strony mieszkańców.

Gdyby udało się utrzymać takie tempo, do wieczora miałyby miasto w swoich rękach.

Kilka wypadów na okupowane tereny upewniło go o słuszności dawnych przewidywań. Tego się właśnie spodziewał: dekadencja i nic poza tym. Dekadencka sztuka, dekadenska nauka, dekadenskie obyczaje. Chińcy okazali się przeestetyzowani, przeintelektualizowani, zajęci jedynie zaspokajaniem własnych zmysłów, a całe ich miasto było koncentratem chimerycznej „ładności”. Ludzie w ogóle nie wiedzieli, jak mają reagować na inwazję. Nie mieli w sobie ani krzty owego zdrowego, nieposkromionego wigoru, który przesądzał o wielkości Człowieka Właściwego.

Broune skierował się ku niewielkiemu budynkowi tuż za lądowiskiem, gdzie mieściła się główna kwatera dowództwa. Zastał tam Hiu Siu-Minga studiującego zawiłą mapę miasta, którą sam sporządził. W miarę napływania meldunków, Hiu Siu-Ming pokrywał mapę niebieskimi plamami, które znaczyły: „zdobyte”.

Właściwie cały plan operacyjny był dziełem Hiu Siu-Minga. To właśnie on wymyślił, że należy opanować całe miasto, zanim władze Retorty Konsumpcyjnej otrząsną się z zaskoczenia i podejmą jakiegokolwiek konstruktywne działania. Natarcie skierowane było w dół, ku łączącemu retorty przesmykowi, aby uniemożliwić atakowanym wycofanie się w tamtym kierunku, czy też zdobycie broni od robotników. Hiu Siu-Mingowi obiecano, że po opanowaniu Retorty Konsumpcyjnej będzie mógł sam udać się do Retorty Produkcyjnej na czele niewielkiego oddziału Tytanów. Hiu Siu-Ming miał nadzieję, że mieszkańców Dolnej Retorty ucieszy



wiadomość, którą miał im do przekazania.

– Wszystko w porządku? – warknął słuźbiście Broune.

Siu-Ming kiwnął głową, popatrując od dołu na krępą, baryłkową postać majora.

– Posuwamy się zgodnie z planem.

– Aż za dużo tej zgody! – skrzywił się Broune. – Lubię, żeby przeciwnik chociaż trochę się opierał.

Siu-Ming zignorował jego niezadowolenie i powrócił do studiowania mapy, próbując odgadnąć, gdzie może w tej chwili przebywać Hwen Wu i reszta gabinetu.

W drzwiach pojawił się nagle Tytan-Sierżant.

– Znaleźliśmy białego, sir – zaszalutował.

Broune odwrócił się z zaciekawieniem, lecz twarz wciśniętego między dwóch żołnierzy mężczyzny nic mu nie mówiła. Mężczyzna był wysoki, szczupły, spokojny i dość dziwacznie ubrany w; strój niby to ziemski, ale wyraźnie szyty już w kosmicznym mieście – tak przynajmniej uznał Broune.

– Kim jesteście? – zapytał Tytan.

Jeniec zawahał się chwilę, po czym niskim głosem odpowiedział:

– Obywatel Sobrie Oblomot.

Tytan-Major spochmurniał, ale postanowił na początek nie okazywać zbytniej surowości.

– Nie spodziewałem się spotkać tu białego człowieka – skomentował. – Jak się znaleźliście w tym mieście?

– Przyleciałem statkiem Chińców – wyjaśnił Oblomot. Z rezerwatu Amhraków.

– Amhraków? Jesteście Amhrakiem? – zdumienie Broune’a graniczyło z odrazą. – Nigdy bym was nie posądzał...

– Nie, nie jestem Amhrakiem. Zesłano mnie do rezerwatu z przyczyn... politycznych.

– Ach tak – skrzywił się Broune. – Moi ludzie, którzy was tu przyprowadzili, szukali Ronda Heshkego, archeologa. On również przybył tu tą samą drogą, prawda?

– Nie... – odparł z wahaniem Oblomot. – Rond został w rezerwacie.

Broune był wyraźnie rozczarowany.

Sobrie z goryczą rozglądał się po kwaterze Broune’a. A więc Tytani, od których – jak mu się zdawało – uwolnił się raz na zawsze, wtargnęli oto i do Miasta-Retorty! Przez głowę przemknęła mu szalona myśl, że Tytani opanowali już cały wszechświat.

Natychmiast pomyślał o Layelli. Nawet w tutejszym stroju jej uroda nie mogła budzić wątpliwości. Jakież kobiety udzieliły jej schronienia. Przy odrobinie szczęścia Tytani jeszcze przez jakiś czas jej nie znajdą.

Sobrie nie miał ochoty się ukrywać. Gdy sam sobie usiłował odpowiedzieć na pytanie dlaczego, stwierdził, że Rond Heshke zaraził go chyba swoim defetyzmem.

Młody oficer, który siedział przy stole, odwrócił się nagle i powiedział coś do Tytana-Majora. Sobrie ze zdumieniem rozpoznał Hiu Siu-Minga – w mundurze Tytana! Chiniec przebrany za Tytan-Porucznika wyglądał tak niesamowicie, że Sobrie wybuchnął śmiechem.

Broune marsową miną przywołał go do porządku, a następnie podszedł do mapy. Jego oddziały dotarły już do centrum miasta – przynajmniej tej jego połowy. Nawet gdyby władze podjęły teraz jakieś środki obrony, Miasto-Retorta nie miałoby szans.

– Doskonale, doskonale – mruknął z satysfakcją Broune. – Wygląda na to, że jesteśmy w domu. Już po robocie.

Siu-Ming podniósł się i przemówił z rewerencją:

– W takim razie pozwoli pan major, że, tak jak to było ustalone, poprowadzę teraz oddział do Dolnej Retorty, aby tam z kolei opanować sytuację.

Tytan zaniósł się okrutnym śmiechem.

– Siadaj z powrotem, Chińcu, nigdzie nie pójdziesz.

Na żółtej twarzy Siu-Minga odmalował się niepokój.

– Nie rozumiem, panie majorze. Naczelny Wódz Planety, Limnich, przyrzekł mi osobiście...

– Nie zawieramy żadnych umów z dewiantami – przerwał mu Broune ze złośliwym uśmiechem. – Bywa, że okazują się przydatni, tak jak czasem przydatne okazują się zwierzęta. Zrobiliś swoje, dziękujemy, a teraz do widzenia.

Gwałtownym ruchem głowy przywołał spod ściany dwóch strażników, którzy natychmiast podeszli do Siu-Minga i stanęli na baczność po obu jego bokach.

Co za krety, pomyślał Sobrie. On naprawdę nie wiedział, z kim się zadaje. I wygląda na to, że nadal nie rozumie, co to jest rasizm.

Siu-Ming istotnie miał minę oszukanego dziecka.

– Przecież... przecież to jawna zdrada! – zachnął się, z trudem łapiąc oddech. – Kiedy Limnich się dowie...

– Limnich, Limnich! – Broune wyszczerzył zęby i pokój znów wypełnił się jego teatralnym

śmieszkiem. – Zaraz po twoim wyjściu zdezynfekowano gabinet Limnicha!

– Beze mnie nie zdobędziecie poparcia w Dolnej Retorcie...

– Dolną Retortę czeka to samo, co spotkało tych tutaj, i to już niedługo.

Broune był skłonny rozpocząć cały atak od Retorty Produkcyjnej, gdyby nie to, że nie było tam lądowiska. Nie obawiał się ze strony tubylców żadnych kłopotów: skoro, myślał, panowie zachowują się jak cielęta, niewolnicy będą jeszcze pokorniejsi

– Jedyna rola, jaka ci jeszcze pozostała do odegrania – powiedział Siu-Mingowi – to rola tłumacza. Będziemy potrzebować jeszcze kilku.

Dał znak strażnikom.

– Odprowadzić. Tego tu, Oblomota, tak samo, Później postanowię, co z nim zrobić.

Siu-Ming przez chwilę stał jak wmurowany. Nagle zrobił coś nieoczekiwanego: cofnął się o krok i obiema dłońmi równocześnie uderzył żołnierzy w szyje. Żołnierze podskoczyli jakby silnie szarpnięci i nieprzytomni zwalili się na ziemię.

Chiniec zwinnym ruchem dopadł eskorty Sobriego. Prawie nie dotknął strażników, kreśląc tylko w powietrzu dłońmi zawile arabeski. Żołnierze pochwyceni w niewidzialną pajęczynę przez chwilę koziołkowali bezładnie po podłodze, aż wreszcie, oszołomieni, zatrzymali się pod przeciwległą ścianą.

Mieszkańcy Górnej Retorty uprawiali sztukę i inne ćwiczenia intelektualne; w Dolnej Retorcie uprawiano sporty. Siu-Ming zastosował Hoka – szczytowe osiągnięcie rozwijanej przez tysiąclecia techniki walki wręcz. W porównaniu z fanatykami tej dyscypliny, Siu-Ming był zaledwie średniej klasy zawodnikiem, ale potrafił obezwładnić, a nawet – choć to było zabronione – uśmiercić przeciwnika jednym lekkim dotknięciem w okolice nerwu. Ciało człowieka, który nie znał zasad Hoka, stawało się w jego rękach bezładnym skupiskiem urządzeń do autodestrukcji.

Broune wydobył pistolet. Siu-Ming zwinnym ruchem wycelował swój Corgel: Tytani, uznając wcielenie go do armii za świetny dowcip, wyposażyli Siu-Minga w pełne oporządzenie i papiery z „honorowym poświadczeniem czystości krwi” włącznie. Siu-Ming pochylił się do przodu i starannie wymierzył w ramię Tytan-Majora. Broune odskoczył do tyłu, klnąc z bólu.

Siu-Ming położył dłoń na ramieniu Sobriego i pchnął go ku wyjściu. Pobiegli środkiem placu w kierunku nieprzerwanego strumienia dział i pojazdów, podskakujących co jakiś czas na nierównym tu i ówdzie terenie.

Sobrie zerknął za siebie i zobaczył, jak Broune z trudem podchodzi do drzwi i staje oparty o framugę. Siu-Ming władczy gestem zatrzymał furgonetkę.

Kierowca spojrzał pytająco, ale ponieważ słyszał już o przedziwnym oficerze-dewiancie, prośba Siu-Minga o podwiezienie nie wydała mu się czymś szczególnie dziwnym. Obecność Sobriego zignorował. Siu-Ming ponaglącym gestem skierował swego towarzysza na tył wozu, pod brezentową budę, wskoczył za nim i zabębnił pięścią w ścianę szoferki na znak, że można jechać.

Pudło furgonetki było do połowy załadowane skrzyniami z amunicją. Siu-Ming i Sobrie usiedli sztywno i pojazd ruszył.

– Jak tylko opuścimy ten teren, wyskakujemy z auta. Pójdziemy inną drogą – szepnął Siu-Ming.

Sobrie kiwnął głową. Przez jakiś czas jechali spokojnie, nie napotykając się na żadne niebezpieczeństwo. Chwilowo beczynny Siu-Ming dopiero teraz poczuł cały ogrom żalu i oburzenia.

– Każdy głupi mógł ci to z góry przepowiedzieć – odezwał się Sobrie widząc jego przygnębienie. – Trudno o głępszą decyzję niż sojusz z Tytanami.

– Chciałem, aby śmierć mojego ojca nabrała jakiegoś sensu – odparł Siu-Ming. – Chciałem, żeby ojcowie już nigdy nie musieli umierać za to, że kochają swoich synów...

Zamilkł nagle, gdyż uświadomił sobie, że Sobrie nie ma pojęcia, o czym on mówi. Twarz ściągnęła mu się w grymasie koncentracji.

– Może Tytani zdobędą to, czego chcą i odlecą z powrotem?

– Nie łudziłbym się. Przypuszczam, że raczej podejmą próbę przeniesienia waszego miasta na którąś z orbit w obrębie systemu słonecznego. Za dużo tu pokus: gotowy kompleks przemysłowy z milionami wysoko wykwalifikowanych niewolników – będą chcieli wyeksploatować go do cna. A jeśli nawet postanowią opuścić Miasto, nie pozostawią tu żywej duszy. Według ich filozofii, twój lud jest pomyłką natury. A najbardziej zdumiewa mnie to, że sam tego nie dostrzegłeś.

– Wiedziałem, że wyznają jakiś kult biologiczny – przyznał nadąsany Siu-Ming – ale nie przypuszczałem, że może to mieć wpływ na nasze plany, które były planami czysto praktycznymi i dawały w efekcie obustronne korzyści. Tak przynajmniej myślałem. Nie było żadnego konfliktu interesów.

– Gdybyś należał do jakiegokolwiek innej rasy, skończyłoby się to zapewne tak samo – westchnął Sobrie. – Tytani dbają tylko o własne korzyści, nigdy nie troszczą się o innych.

Siu-Ming nie odzywał się przez chwilę.

– To kolejny efekt polityki społecznej Miasta-Retorty – odezwał się w końcu, wolno cedząc słowa przez zęby. – Wychowano mnie w systemie zamkniętym, nie jestem w stanie zaadaptować się do obyczajów innego świata.

– Ale wnioski wyciągasz właściwe – zauważył z uśmiechem Sobrie. – Potrzebna ci jeszcze tylko okazja do działania. Dokąd my właściwie mamy jechać?

– Ściągnąłem na moje miasto nieszczęście, więc powinienem przynajmniej podjąć próbę zahamowania rozwoju sytuacji. Może coś jest jeszcze do uratowania.

– Ciekawe, jak zamierzasz to zrobić.

Siu-Ming zamyślił się i nagle wyjrzał przez szparę w brezencie.

– Teraz! – polecił.

Wyskoczyli, poturlali się na pobocze i pędem ruszyli ku rosnącej nie opodal kępie wierzb. Konwój pojechał dalej.

Za wierzbami otwierała się kolumnada obrzeżona palisandrowymi płótkami. Kiedy pod nią przeszli, Siu-Ming, klucząc i przystając co chwila, powiódł Sobriego długą okrężną drogą po peryferiach Retorty Konsumpcyjnej.

Sobrie, dla którego retorta wciąż jeszcze była terenem nieznanym, na każdym niemal kroku doznawał uczucia zaskoczenia. Tylko rojące się wszędzie czarno-złote mundury Tytanów zakłócały harmonijne piękno okolicy. Sobrie ze zdumieniem skonstatował, że prawdopodobnie nie są jeszcze ścigani: patrolujące oddziały kilkakrotnie powitały Siu-Minga regulaminowym salutem.

Miało się tu wrażenie nierealności tego, co nastąpiło. Miejscowa ludność, której strój i zachowanie kontrastowały z wyglądem nowoprzybyłych okupantów, nie okazywała żadnych śladów zaniepokojenia. Tytanom, którzy w pocie czoła rozbijali swe obozowiska, towarzyszyły śmiechy i żarty tubylców. Gdyby nie to, że zdołał już docenić nadzwyczajną inteligencję tych ludzi, Sobrie wziąłby ich za naiwne dzieciaki, które nie rozumieją, co się dzieje.

W końcu weszli do jakiegoś budynku. Sobrie uznał, że musi to być żłobek: wzdłuż ścian słonecznej sali stały rzędy kołyszek, a w każdej prawie leżało niemowlę. O ile Sobrie znał się na dzieciach, były to same noworodki.

Bezskutecznie próbował odgadnąć, czemu Siu-Ming przyprowadził go na oddział położniczy. Do sali weszła młoda kobieta. Siu-Ming przemówił do niej szybko, zniżając głos. Słuchając go, dziewczyna to pochmurniała, to znów jej twarz wyrażała zwątpienie lub niewiarę. Na koniec oboje, Siu-Ming i dziewczyna, wyszli z sali.

Siu-Ming wrócił w samą porę: Sobrie zaczynał się już denerwować.

– Zgodzili się – oświadczył. – Nie jest łatwo przekonać tutejszych ludzi, że grozi im niebezpieczeństwo; już myślałem, że przyjdzie użyć siły.

– Na co się zgodzili? – zapytał Sobrie podążając w ślad za Siu-Mingiem. Pachnącym korytarzem doszli do pomieszczenia, którego funkcji Sobrie nie potrafił odgadnąć: kołyski stały tu na torach, tory zaś niknęły w ścianie. W sali unosił się ledwie słyszalny szum.

– Zjedziemy do Retorty Produkcyjnej – powiedział Siu-Ming. Do sali weszła grupa mężczyzn. Pozdejmovali kołyski z szyn, a na ich miejsce wstawili wyściełane fotele.

Jeden z mężczyzn uśmiechnął się wesoło do Siu-Minga.

– Dawno nie używane – powiedział.

Na dany znak Sobrie zajął fotel obok Siu-Minga. Ściana rozsunęła się, ukazując tunel, którego końca nie było widać.

Twarz Siu-Minga nie wyrażała żadnych emocji. Platforma wjechała do nieoświetlonego tunelu i wkrótce ogarnęły ich nieprzeniknione ciemności. Posuwali się gładko, nie odczuwając zmian prędkości – nie czuło się nawet pędu powietrza – a jednak Sobrie miał niezwykle wrażenie, że coś go unosi, a jednocześnie wtłacza w siedzenie fotela. Odległy z początku szum wzmagał się z każdą chwilą. Po upływie jakichś dwóch minut pokazało się światło, coraz bliższe i bliższe, aż w końcu platforma wjechała do komory niemal identycznej jak ta, którą opuścili.

Siu-Ming wyskoczył z fotela, z ożywieniem przywołując młode recepcjonistki, oszołomione ich nagłym a niespodziewanym przybyciem. Sobrie pobiegł za nim do przyległej sali. Gdzieś bardzo niedaleko usłyszał płacz niemowląt.

W sali, do której wbiegli, nie było dzieci. Był za to pulpit, pełen guzików i urządzeń pomiarowych, otaczający półkolem obrotowy fotel i biurko. W fotelu siedział operator w zgrzebnym granatowym kombinezonie, co zdziwiło Sobriego, nawykłego do finyzyjnych strojów, jakie nosiło się w Retorcji Konsumpcyjnej.

Siu-Ming zdecydowanym ruchem zepchnął operatora z fotela, sam zaś w wielkim skupieniu

zasiadł przy aparaturze. Zdumiony nagłą zmianą miejsca operator przyglądał mu się z podłogi: z osłupienia zapomniał wstać.

Wszechobecny szum, który towarzyszył im przez cały czas na granicy ludzkiej słyszalności, ucichł nagle i zapadła kompletna cisza. Siu-Ming z triumfalną miną ujął automat i kilkakrotnie wystrzelił w główny przycisk, unieruchamiając aparaturę na dobre.

Retorty rozdzieliły się tym samym w czasie, nie łączył ich już żaden wspólny gradient. Gdyby nawet Tytani przeszli przez ten sam tunel co Sobrie i Siu-Ming czy też dostali się do Retorty Produkcyjnej jakąkolwiek inną drogą, napotkaliby tu jedynie bezludną przyszłość.

– Chodź ze mną – zwrócił się Siu-Ming do operatora, którego przed chwilą tak brutalnie potraktował. – Muszę koniecznie pomówić z zarządem retorty!

– Aresztowaliśmy klikę rządzącą, panie majorze!

– Dobra. Dajcie ich tutaj.

Na ekranie pojawiły się odziane w atłasy i jedwabie postacie starców o beznamiętnych twarzach, długich opadających wąsach i jedwabistych brodach.

– Skąd wiadomo, że to właśnie jest klika rządząca? – zapytał Broune.

Do odpowiedzi wystąpił młody dziarski kapitan.

– Od nich samych, panie majorze. Zlokalizowaliśmy komputer, który zna parę ziemskich słów.

– Parę? To znaczy ile?

– Obawiam się, że nie dość, aby przeprowadzić wyczerpujące przesłuchanie.

– Rozumiem. Zamknijcie ich na razie.

– Tak jest! – kapitan zsalutował i zniknął z ekranu.

Broune odwrócił się z chmurną miną i zaczął masować swoją zranioną rękę na temblaku. Co za sens brać jeńców, jeśli nawet nie można z nimi pogadać? Po raz nie wiedzieć który zaklął na myśl o tym, jak łatwo pozwolił uciec Siu-Mingowi. Z początku nawet nie pomyślał o zorganizowaniu pościgu lub poszukiwań. Zbędny wysiłek: Chiniec na pewno od razu pozbył się munduru, a to tak samo, jakby stał się niewidzialny. Wszyscy Chińcy wyglądają jednakowo.

A jednak, zreflektował się Bourne, to jeszcze nie koniec możliwości. Jego ludzie prędzej czy później muszą wpaść na trop Learda Ascara, który nadal przebywał gdzieś na terenie Miasta. Ascar był co prawda niezrównoważonym dziwakiem – dokumentacja wprowadzająca nawet ostrzegała Broune'a przed jego „nieodpowiedzialnością” – ale istniało duże

prawdopodobieństwo, że zna język Chińców, tak jak znał go Heshke. Będą więc musieli zadowolić się Ascarem.

Widfon znowu zabręczał. Broune podszedł do ekranu.

– Kwatera główna, major Broune.

Z ekranu spojrzął mu w oczy śmiertelnie poważny oficer techniczny.

– Otrzymaliśmy raport ekipy wysłanej do Dolnej Retorty, panie majorze.

– No, słucham.

– Twierdzą, że nie ma tam żywej duszy. Pełno fabryk i warsztatów, ale ani jednego człowieka.

– Nikogo? Może gdzieś się pochowali?

– Nie wygląda na to. Dotychczas nie znaleziono nikogo.

– To by znaczyło, że ten parszywy kundel nas okłamał – powiedział Broune. – Całość jest pewnie zautomatyzowana i nigdy nie było tam żadnych robotników.

– Być może, chociaż na to też nie wygląda. Wszystkie maszyny stoją. Zauważono też oznaki stopniowego niszczenia, tak jakby cały kompleks został wyłączony i opuszczony przez ludzi jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Broune myślał intensywnie.

– To się nie zgadza – rzekł w końcu. – To się w ogóle nie zgadza. Czy nie mówili nam przypadkiem, że te dwie połowy miasta nie są zgrane w czasie?

– Nasi ludzie przeszli po prostu przez tunel długości około trzystu metrów – odparł technik. – Ale są jeszcze inne dojścia: na przykład plac przeladunkowy, przez który przechodzi cała produkcja fabryk. Podejmiemy dalsze próby.

– Dobrze. Informujcie mnie na bieżąco.

Teraz właśnie Leard Ascar bardzo by się przydał, pomyślał Broune.

Ascar dygotał z emocji.

W ciągu ostatnich tygodni Siu Kung-Czien powiedział mu bardzo wiele o Istnieniu Ukośnym, które kiedyś omal nie zniszczyło Miasta-Retorty. Powiedział mu tyle, ile sam wiedział. Ascar bardzo chciał osobiście poznać tajemniczy obiekt za pośrednictwem kontaktu wszechzmysłowego, ale Siu upierał się, że jeszcze na to za wcześnie. Transmisje wszechzmysłowe były na razie, zdaniem Siu, zbyt prymitywne.

Ascar pracował zatem cierpliwie pod kierunkiem mistrza, dużo się uczył i bardzo wiele



rozmyślał. Siu dał mu do zrozumienia, że Istnienie Ukośne dysponuje jakąś nadludzką potęgą. Nie był to twór biologiczny, nie przynależał do żadnej planety ani ciała niebieskiego, a umysł ludzki z trudem pojmował naturę jego bytu, choć byt ten miał strukturę materialną.

Tytani zaatakowali KZM, kiedy prace nad udoskonaleniem przekaźnika wszechmysłowego były już w stadium końcowym. Siu, jak zwykle niewzruszony (Ascar nie mógł się nadziwić, jak dalece obywatele Retorty odporni są na najbardziej nawet drastyczne zdarzenia; Siu powiedział kiedyś, że to po prostu totalni dyletanci – nie wiedzą nawet, jak żyć), pozostawił kontynuację prac Ascarowi. Ascar wziął się do dzieła przy akompaniamencie coraz bliższych odgłosów dewastacji całych partii miasta w celu umożliwienia tytańskim wojskom swobodnych manewrów.

Od jakichś dwóch kwadransów odgłosy walki przycichły. Retorta Konsumpcyjna znalazła się zapewne w rękach Tytanów, a to oznaczało, że lada chwila zaczną dobijać się do obserwatorium. Ascar robił wszystko, by wyruszyć w podróż, nim do tego dojdzie. Był pewien, że Tytani nie dadzą mu następnej okazji poznania Istnienia Ukośnego, a powodowało nim coś więcej niż zwykła ciekawość naukowca. Któregoś dnia zapytał Siu, jak się ma wiedza Istnienia Ukośnego o fizycznej budowie wszechświata do ich własnej.

Siu Kung-Czien zawahał się.

– W porównaniu z ludźmi byłaby to wiedza, jaką przypisywano waszym dawnym bogom.

Ascar chciał zadać Istnieniu Ukośnemu kilka istotnych pytań.

Kończył odliczanie. Siu dokonał już próby nowego urzędzenia – teraz wystarczyło jedynie przeprowadzić zwykły przegląd.

Tańczące znaczkami komputerowego zapisu uspokoiły się wreszcie: urządzenie było gotowe do pracy. Ascar potarł oczy palcami. Nauczył się już dość sprawnie odczytywać kaligrafię Siu, ale odcyfrowanie chińskich ideogramów w takim tempie nadal szło mu z trudem.

Spojrzał na wielkie, połyskliwe, zwaliste transformatory energii czasu, zostawione byle jak na samym środku obserwatorium: wydobywał się z nich metaliczny szum. Produkcja takich urządzeń, pomyślał Ascar, musiałaby normalnie trwać przynajmniej rok, a Siu otrzymał je już w godzinę po wysłaniu projektów. Zasada funkcjonowania źródeł materialnych, z których Siu czerpał tak nonszalancko i po kawaleryjsku, nigdy nie przestała zdumiewać Ascara. Siu zamawiał wciąż nowe urządzenia, nie licząc się zupełnie z rachubą godzin pracy potrzebnych na ich wytworzenie, rysował całe serie schematów i dla każdej wersji żądał modelu, by sprawdzić

w praktyce skuteczność działania swych rozlicznych (nie zawsze do końca przemyślanych) projektów. Magazyn obserwatorium pękał w szwach od natłoku maszynierii, częstokroć w ogóle nie używanej, a wiele urządzeń już po kilku nieudanych próbach odsyłało się z powrotem na przemiał.

Istnienie Ukośne zaczęło ostatnio odpowiadać na sygnały: wyrażało gotowość spotkania. Cybernetyczny operator przesunął się na stanowisko kontrolne. Ascar z bijącym sercem wkroczył do wnętrza przezroczystej kuli. Właz zamknął się z chwilą, gdy fizyk usiadł w zamontowanym centralnie fotelu. Zapanowała ciemność.

Przekaznik zawładnął jego zmysłami, które, wyrwane z kontekstu czasu, podążyły w kierunku, jakiego nie zna żaden kompas.

Na początku była tylko cisza i nieprzenikniony mrok. Nagle w ciemności rozległ się głos:

– Jestem tutaj. Przybyłeś na miejsce. Czego pragniesz?

Głos był dźwięczny, a zarazem łagodny i przyjacielski. Ascar odniósł wrażenie, że ktoś mówi mu wprost do ucha, a raczej do obu uszu jednocześnie. Tam, gdzie kończył się głos, panowała cisza, lecz Ascarowi wydało się, że spoza tej ciszy dobiega nikły świst, przypominający pogłos, jaki towarzyszy czasem transmisjom radiowym.

– Chcę cię zobaczyć – przemówił Ascar do ciemności.

– Jakim chciałbyś mnie zobaczyć?

Ascar w pierwszej chwili nie zrozumiał pytania, następnie odparł:

– Chcę cię zobaczyć takim, jakim jesteś.

– Proszę bardzo. Oto nasza postać fizyczna.

Nastąpiła brutalnie nagła zmiana. Ascar znalazł się nagle w centrum jazgotliwego gwaru długiej galerii. Klęczał, gdyż strop znajdował się o jakieś cztery stopy nad posadzką, tyle też mniej więcej miejsca miał Ascar do dyspozycji po obu bokach. Galeria zdawała się nie mieć końca. Co więcej, była to tylko jedna z wielu identycznych konstrukcji, biegnących również z prawa i z lewa, z dołu, z góry – co Ascar stwierdził spoglądając poprzez łączące je żelazne rusztowania. A w tych rusztowaniach...

Ascar baczniej przyjrzał się całej konstrukcji. To, co podtrzymywały rusztowania, najprościej byłoby określić jako maszyny. Galerie zaś stanowiły drogi przelotowe ciągłego procesu pracy tych maszyn, które jazgotały, kręciły się i przesuwwały bez ustanku. Ascar znajdował się zatem w centrum olbrzymiej, hałaśliwej, naszpikowanej maszynierią fabryki, która sprawiała wrażenie

uprzemysłowionej wersji piekła.

– Czy to wasza konstrukcja? – zapytał w przestrzeni.

– Nie – padła natychmiast odpowiedź, bardzo wyraźna mimo ogłuszającego zgiełku. – To właśnie jest my, mała cząstka mnie samego. Wszystko to narodziło się spontanicznie, jako efekt procesu czasu. Jamy nie jest tworem biologicznym.

Ascar poczuł, że rusza do przodu. Nie czuł przesuwania się podłogi pod nogami, ale twarz zaczęły mu owiewać gorące podmuchy. W miarę jak nabierał prędkości, tasiemcowe galerie zlewały się w jeden tunel. Ascar sunął w otchłań nieskończoności.

I nagle, bez żadnego uprzedzenia, zatrzymał się w miejscu. Widoczny teraz za jego plecami kompleks maszyn był niebotyczną zwartą ścianą o konstrukcji przypominającej układ atomów w cząsteczce metalu.

Ascar stał teraz na brzegu gigantycznej bulgocącej zatoki, z której buchały kłęby pary wodnej i unosiły się drażniące skórę opary kwasu. Wielkość zatoki trudno było ocenić. Ascar posuwał się wzdłuż krawędzi piekielnej sadzawki, póki nie zatrzymała go kolejna przeszkoda: następna lita ściana niby-maszynierii. Tym razem jednak mechaniczny plaster miodu pozbawiony był galerii: wydawał się nie do przebycia, gdyż żadna ze szpar nie była dość duża, by Ascar zdołał się przez nią przecisnąć.

Popatrzył w górę, zaintrygowany miarowym hałasem, którego natężenie sięgało granic ludzkiej wytrzymałości. Biegło tam na ukos coś w rodzaju pasa transmisyjnego czy też ekspresowej prasy drukarskiej. Miało to ze sto mil długości i przesuwało się w błyskawicznym tempie z ogłuszającym rykiem.

– Może wolałbyś mnie w innym otoczeniu? – odezwało się Istnienie Ukośne.

Nastąpiła kolejna zmiana.

Ascar siedział teraz w pokoju średniej wielkości. Pokój miał bładoniebieskie ściany zdobione białą sztukaterią. Z niewidocznego źródła sączyło się promienne światło przypominające blask słońca. Przed Ascarem stał orzechowy stół na wysoki połysk.

Drzwi otworzyły się i weszła młoda kobieta. Zajęła miejsce przy stole naprzeciwko Ascara. Jej skóra miała odcień srebrzystego błękitu. Dziewczyna lekko się uśmiechała. Świetliste błękitne oczy patrzyły gdzieś poza twarz Ascara, jak u niewidomego.

– Witaj – odezwała się miłym, dźwięcznym głosem. – Czy tak jest lepiej?

Minęła dłuższa chwila, nim Ascar zdołał się opanować.

– To nie jest twoja rzeczywista postać, prawda? – zapytał w końcu.

– Prawda.

Ascar doznał czegoś w rodzaju rozczarowania.

– A zatem to tylko iluzja, którą mi przekazujesz przez odbiornik wszechzmysłowy. Nie po to pchałem się aż tutaj, żeby mieć do czynienia z iluzjami.

– Mylisz się, to nie jest iluzja. Twoje obecne otoczenie istnieje w sensie fizycznym: stworzyliśmy konstrukcję fizyczną, do której następnie przetransmitowaliśmy twoje zmysły. Kobieta jest także żywą, prawdziwą kobietą.

Ascar osłupiał.

– Potrafisz tego dokonać... w jednej chwili?

Zapadła krótka cisza.

– Nie w jednej chwili. Produkcja, kobiety trwała sto lat. Nie ma to jednak znaczenia, jeśli czas można zamknąć w koło.

Ach więc to tak, pomyślał Ascar. Jeszcze jedna Retorta Produkcyjna, tyle że na większą skalę. Początek i koniec długotrwałego procesu można nagiąć do siebie tak, by znalazły się w sąsiadujących momentach.

Intrygowało go jeszcze jedno.

– Raz mówisz o sobie ja, a raz my – zauważył. – Czym więc jesteś: pojedynczym umysłem czy społecznością?

– Nie jestem ani pojedyncze, ani zbiorowe – wyjaśniło Istnienie Ukośne. – Natury mojego istnienia nie oddaje ani ja, ani my.

– Czym więc jesteś?

Dziewczyna przekrzywiła głowę, błędząc oczami gdzieś na wskroś ściany, a jej czoło zmarszczyło się lekko w wyrazie zakłopotania i namysłu.

– Może i w tym otoczeniu nie czujesz się najlepiej? zapytała. – Spróbujemy jeszcze inaczej.

Podniosła się i gestem skierowała Ascara ku drugim drzwiom, które otwierały się za jego plecami.

– Pójdź, proszę, tym korytarzem. Przygotowano jeszcze jeden pokój.

Ascar obrzucił ją nieufnym spojrzeniem, ale usłuchał. Korytarz, początkowo pozbawiony wszelkich cech charakterystycznych (nawet drzwi w ponuroszarych ścianach) ciągnął się przed nim na jakieś dwieście jardów, aż do zakola czy też może ślepej ściany – tego na razie Ascar nie

mógł stwierdzić. Jednak już po kilku krokach fizyk zaczął doznawać szczególnej iluzji. Kątem oka dostrzegł arkadowe przejścia, za którymi pośród zielonych łądyg i rozkołysanych wodorostów przemykały jakieś rybnie kształty. Ilekroć jednak odwracał głowę, by przyjrzeć im się dokładniej, napotykał wzrokiem jedynie lity mur.

Zarejestrował dziwne uczucie: że rybne kształty lawirowały nie gdzieś na zewnątrz, lecz w zakamarkach jego własnego umysłu. Przebył jeszcze kilkadziesiąt jardów i iluzja prysła. Zarazem jednak zaczął się zmieniać sam korytarz: nie był już tak nijaki jak początkowo, a co więcej – zaczął się Ascarowi wydawać znajomy. Ascar stanął nagle jak wryty. Zobaczył przed sobą drzwi: drzwi z numerem 22.

Rozejrzał się dookoła. Tuż obok korytarz rozwidlał się w kształcie litery T, a strzałki z napisami kierowały do poszczególnych wydziałów na prawo i lewo. Ascar ponownie spojrzął na drzwi z numerem 22, rozpoznając teraz zadrapania i popękane pęcherzyki farby.

Znajdował się w korytarzu Ośrodka Sarn! – a przynajmniej w jego doskonałej imitacji.

Z bijącym sercem otworzył drzwi. Zobaczył przytulny pokój, trochę przypominający kajutę, z kanapą, fotelami i stołem zasłanym stosami wycinków i sprawozdań. Na stole leżał też okazały notes. Całą lewą ścianę zajmował regał z podręczną biblioteką specjalistyczną.

Był to jego własny pokój, kryjówka, którą zamieszkiwał przez całe pięć lat.

Powoli zamknął drzwi i rozsiadł się w swym ulubionym fotelu, uświadamiając sobie, że Istnienie Ukośne musiało wydobyć wszystkie szczegóły pomieszczenia z jego własnej pamięci.

Nad drzwiami zainstalowany był niewielki głośnik, przez który, w Ośrodku Sarn przekazywano informacje. Właśnie stamtąd przemówiło teraz Istnienie Ukośne.

– Wracając do twojego pytania... – Głos był znowu męski, tak jak na początku. – Świadomość, którą dysponuję, nie jest ani świadomością indywidualną, ani zbiorową, ani też nie należy do grupy indywidualnych jednostek. W twoim języku precyzyjniej niż ja lub my określa mnie słowo tutaj. A zatem od tej chwili używać będę zaimka osobowego tutaj.

Ascar przeanalizował w myśli tę informację i kiwnął głową. Metoda działania Istnienia okazała się skuteczna: rzeczywiście w swoim pokoju czuł się znacznie lepiej. Z trudem przychodziło mu pamiętać o tym, że wcale nie jest w Ośrodku Sarn.

– Skoro, jak już zdążyłem zauważyć, czytasz w moich myślach, wiesz na pewno, o co teraz chcę zapytać – rzekł Ascar. – Powiedz mi, co wiesz o Ziemi?

– Tutaj wie o Ziemi wszystko – odparło Istnienie Ukośne.

– Chodzi ci o to, że wszystko wyczytałeś w moich myślach?

– Nie, Tutaj wie o Ziemi już od dawna, z bezpośrednich obserwacji.

– Więc wiesz także, co się tam stanie?

– Tak.

– W takim razie – przemówił Ascar wolno i z emfazą – powiedz mi; czy istnieje sposób, jakikolwiek sposób, na odwrócenie lub zatrzymanie strumienia czasu? Jakikolwiek sposób na uniknięcie zderzenia?

Istnienie Ukośne nie od razu udzieliło odpowiedzi. Zamiast słów, z głośnika wydobył się przeciągły, melodyjny pomruk. Nagle wszystko wokół Ascara eksplodowało, a on sam zaczął dryfować w rodzącej się próżni, pośród rojowiska barwnych kształtów, które jak migotliwe iskry przepływały i odpływały z pola widzenia.

Ascar poczuł, że jego ciało rozciąga się, rozwiewa jak smuga dymu na wietrze: powoli wydłużał się w nieskończoność. Proces ten trwał bardzo, bardzo długo, a potem – równie nagle, jak nastąpiła eksplozja – Ascar znalazł się z powrotem w swym ulubionym fotelu w przytulnym wnętrzu gabinetu.

– Ty nic nie możesz zrobić – odezwało się Istnienie Ukośne.

Kiedy oddziały Broume'a wtargnęły wreszcie do obserwatorium czasoprzestrzennego, Leard Ascar wciąż siedział w przezroczystej kuli przekaźnika wszechzmysłowego.

Po krótkich zmaganiach Tytani otworzyli klapę wjazdu. Ascar zachowywał się, jakby ich nie widział: siedział i mruczał coś niezrozumiale pod nosem. Bez najmniejszego oporu pozwolił ująć się pod pachy i wyciągnąć z kuli.

– To musi być ten Ascar – zawyrokował sierżant. Coś mi się zdaje, że te chińskie sztuczki całkiem pomieszały mu w głowie!

– Może próbował rozwiązać chińską łamigłówkę? – podpowiedział któryś z żołnierzy.

– Co? Co się dzieje? – Ascar zaczął dochodzić do siebie. Popatrzył na żołnierza spod przymrużonych powiek.

– Zabrać go – zarządzi? sierżant. – Major Broume kazał go natychmiast przyprowadzić do siebie.

Żołnierze wyprowadzili Ascara z obserwatorium. Nagle coś sprawiło, że wszyscy stanęli jak wryci i popatrzyli po sobie w najwyższym zdumieniu. Od kilku już godzin w mieście panowała cisza, teraz jednak z oddali dobiegały gwałtowne, seryjne odgłosy kanonady.

Heshke dał się poczęstować papierosem i ze szczególną przyjemnością wchłonął aromatyczny dym.

Było to przyjęcie pożegnalne w pełnym tego słowa znaczeniu. Wszyscy wiedzieli, że jutro, najdalej pojutrze, Tytani wtargną do rezerwatu; Herrick zaprosił więc kilku przyjaciół, aby – jak to określił – „godnie uczcić śmierć gatunku”.

Na przyjęciu panowało swobodne ożywienie. Heshke nie mógł wyjść z podziwu dla spokoju, z jakim Amhrakowie przyjmowali niechybną zagładę. Może to właśnie z nieuchronności tego, co miało się zdarzyć, czerpali swą niezłomną godność, pomyślał Heshke. Gdyby istniał choć cień nadziei, popadliby pewnie w panikę.

Rozmowy prowadzono głównie w języku Amhraków, którego Heshke jeszcze biegle nie opanował. Jednak na tyle, na ile wymagały tego zasady grzeczności, używano też i Verolu – podstawowego dialektu białych całego świata – toteż Heshke wcale nie czuł się zepchnięty na margines.

Przysiadła się da niego szczupła dziewczyna.

– Nasza wioska musi być bardzo nudna w porównaniu z Pradna – uśmiechnęła się, sącząc wino otrzymane niedawno z nowego, udoskonalonego procesu fermentacji.

– Właściwie mało znam Pradnę – odparł Heshke. – Większość czasu spędzałem w terenie, badałem ruiny osad Obcych. Szczerze mówiąc, Pradna to dość paskudne miejsce. O wiele bardziej podoba mi się tutaj... mimo że czeka nas to, co nas czeka.

Wymawiając ostatnie słowa doznał niemiłego uczucia, że popełnia gafę. Może wzmianki o... tym są wśród Amhraków zakazane, może jest to temat tabu. Dziewczyna roześmiała się jednak całkiem swobodnie.

– Pradna musi być rzeczywiście paskudna – zażartowała – skoro woli pan to.

Herrick otworzył dwuskrzydłowe drzwi warsztatu i zabrał się do majstrowania przy swoim telewizorze bez przekaźnika. Heshke, nie chcąc okazywać, jak dalece speszyła go rozmowa z dziewczyną, poszedł za przyjacielem. Herrick przez kilka minut błądził po falach magnetycznych, szukając jakichś sensownych obrazów. Efekt był lepszy niż kiedykolwiek.

– Warunki wyjątkowo nam dzisiaj sprzyjają – zauważył nie bez zdumienia. – Nadspodziewanie dobry odbiór. O! teraz idzie niezły widoczek!

Ujrzeni – jak w większości przypadków – widok z lotu ptaka. Sądząc z rozmieszczenia budynków, były to peryferie jakiegoś miasta średniej wielkości. Kąt padania promieni

słonecznych wskazywał na porę wczesnopopołudniową.

– Znasz te okolice? – zapytał Herrick.

Heshke pokręcił głową. Mogło to być jedno z tysięcy miast.

Zamiast – jak to się zwykle działo – zniknąć po upływie kilku sekund, obraz utrzymywał się na ekranie, Herrick zdołał dzięki temu tak precyzyjnie wyregulować ostrość, że odbiór był niemal jak w standardowym telewizorze.

– Nareszcie do czegoś doszedłem – powiedział smutno Herrick. – Szkoda, że... a to co?!

Ramy obrazu nadal były jasne i nieruchome, ale niektóre elementy zaczęły blaknąć i znikać. Na oczach obu mężczyzn – Herrick uświadomił sobie za plecami obecność jeszcze innych oczu – wszystkie budynki na ekranie rozplynęły się bez śladu, pozostawiając tylko puste tło. Zniknął także widoczny tam uprzednio zagajnik i splechetek łąki.

Została tylko naga, jałowa ziemia.

– Wada systemu? – zapytał z niepokojem Heshke.

– Mało prawdopodobne – burknął w odpowiedzi Herrick. – Niektóre systemy telewizyjne potrafią wywołać taki efekt: są to systemy oparte na banku pamięci, gdzie obraz budowany jest po kawałku ze stałych elementów. Ja jednak trzymam się starej techniki wybierania obrazu punkt po punkcie. Patrz: wyraźnie widać miejsca, gdzie stały budynki. Wygląda to tak, jakby całe miasto rozplynęło się nagle w powietrzu.

– W takim razie musiałeś odebrać równocześnie dwa nałożone na siebie obrazy – zdecydował Heshke. – Potem jeden zniknął, a drugi pozostał.

– No tak, to możliwe – przyznał Herrick, wyraźnie niezbyt przekonany. – Pewnie tak właśnie było. Tylko jak to możliwe, że tak bezbłędnie się ponakładały... A poza tym, sądziłem, że problem strojenia mam już rozwiązany.

Heshke wyszedł z warsztatu, pozostawiając Herricka przy telewizorze.

Stanął na werandzie. Dookoła rozciągał się płaski ugór. Na nocnym niebie połyskiwała dziwna, migotliwa poświata – tak jakby gdzieś za horyzontem igrały błyskawice.

Okazało się, że powrót do głównej kwatery wcale nie jest taką prostą sprawą.

Wóz opancerzony (Tytani z pogardą ignorowali lokalne środki transportu) przebył około pół mili i dotarł do jednej z głównych arterii wytyczonych w celu ułatwienia nowym panom miasta manewrów operacyjnych. Szosą ciągnęła zwarta kolumna pojazdów wojskowych, zmierzająca tam, skąd dochodziły odgłosy eksplozji i strzelaniny – czyli ku przesmykowi łączącemu obie



części miasta.

– Na front – mruknął sierżant.

Przerażenie, jakie malowało się na twarzach Tytanów, kurczowo uczeponych burt rozpedzonych pojazdów z bronią i amunicją, przekonało go, że sytuacja jest więcej niż poważna. W zasięgu wzroku nie było ani jednego tubylca: pewnie pochowali się gdzie popadło, przerażeni dzikością Tytanów w obliczu ogniowej próby. Żołnierz z Legionów Tytana potrafił w takiej chwili bez pardonu zastrzelić każdego, kto stanąłby mu na drodze.

– Na święte imię Matki Ziemi, co się dzieje, sierzancie? – zdenerwował się któryś z żołnierzy.

– Jakaś grubsza sprawa – zamyślił się sierżant. – Może Chińcy zaczęli stawiać opór? – Szturchnął kierowcę w bok. – Naszym zadaniem jest odstawić tego tu do głównej kwatery. Przeskocz przez szosę, jak będzie jakaś luka, i jedźmy dalej bocznymi drogami.

Szosa zaczynała się przy głównym magazynie, nie opodal lądowiska. Główna kwatera mieściła się z dala od centrum miasta. W końcu przejechali jakoś przez zatłoczony wiadukt i ruszyli dalej, wzdłuż opustoszałych tarasów, galerii i placów.

– Ciarki mi łożą po plecach, jak patrzę na to miasto – poskarżył się jakiś żołnierz. – Chciałbym już wracać do Pradny.

Przed sobą ujrzeli oddział wyposażony w broń maszynową. Żołnierze zatrzymali ich wrzaskliwą komendą.

– Tam nie wolno jechać – powiedział kapral. – Droga jest odcięta.

– Przez kogo?

– Okazało się, że Chińcy mają armię – odparł kapral grobowym głosem. – Kompletny chaos.

Karabin maszynowy zająknął się nagle krótkim wystrzałem.

– Idą! – wrzasnął żołnierz, który go obsługiwał.

Sierżant wydobył z wozu miotacz. Teraz już i on ich widział: wyłaniali się zza horyzontu obrzeżonej drzewami alei, ubrani w zgrzebne niebieskie mundury i kopulaste hełmy o szerokich rondach.

Sierżant rzucił komendę. Wóz pancerny wolno ruszył aleją, a siedzący wewnątrz żołnierze utrzymywali ciągły ogień przez wąskie okienka w osłonie. Sam sierżant pozostał z załogą karabinu maszynowego. Przyklęknąwszy na jedno kolano, raz po raz zerkał ponad barykadę i gładził lufę miotacza.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, opadła ich chmara Chińców, jakby zleciała nagle ze wszystkich stron nieba, którego nie było.

Tytan-Major Broune bardzo szybko zorientował się, że przeniesienie głównej kwatery z obskurnego baraku w okolicach lądowiska do pałacowych pomieszczeń w pobliżu centrum miasta było niewybaczalnym błędem taktycznym.

W chwili podejmowania decyzja wydawała się słuszna. Miasto było całkowicie opanowane, należało uruchomić nowe centrum administracyjne, które przecież nie mogło się mieścić na lądowisku.

I oto nagle z kanału wiodącego do Retorty Produkcyjnej – rzekomo całkiem wyludnionej, o czym zapewniały majora wszystkie kolejne ekipy zwiadowcze – wyszła potężna, dobrze wyszkolona i doskonale zdyscyplinowana armia. Broune wciąż niezbyt dokładnie wiedział, skąd ta armia się wzięła, ale wyjaśnienie tej kwestii plasowało się chwilowo na szarym końcu listy niezbędnych przedsięwzięć.

Dowiedziawszy się o powadze zagrożenia, Broune natychmiast pomyślał o wycofaniu wojsk na obszar lądowiska i, w razie konieczności, opuszczeniu Miasta-Retorty na pokładach krążących dookoła statków. Niestety, okazało się, że nieprzyjaciel w pierwszej kolejności zajął właśnie lądowisko. Wojska tytańskie wciąż jeszcze usiłowały je odbić.

Porażka goniła porażkę. Nieprzyjaciel zaatakował z druzgocącą siłą, a wszystkie kolejne próby przywrócenia kontroli wojskowej nad miastem spaliły na panewce. Chińcy dysponowali aparatami, które pozwalały im znikać i pojawiać się ni stąd, ni zowąd, dzięki czemu błyskawicznie dokonali infiltracji wszystkich stałych punktów obrony. Uzbrojeni tylko w lekką broń palną i noże, stosowali przeważnie technikę walki wręcz, groźniejszą niż wszelka broń, z jaką Broune zetknął się w swoim życiu.

Z rosnącą wściekłością wysłuchiwał Broune kolejnych raportów z pola walki o tym, że wróg zdobywa coraz to nowe partie miasta, że pojawia się w kilku miejscach jednocześnie. Z całej siły wcisnął klawisz uruchamiający połączenie z dowódcami okręgów. Wszyscy oni od pewnego czasu domagali się rozkazów.

– Zabijać wszystko, co się rusza! – ryknął Broune. Zrozumiano? Wszystko, co się rusza!

– Ja już pana gdzieś widziałem – rzekł Ascar spoglądając pytająco na białego człowieka w mundurze oddziałów Dolnej Retorty.

– Sobrie Oblomot – uśmiechnął się tamten. – Spotkaliśmy się dwukrotnie, kilka dni temu.

Kilka dni, jeśli chodzi o pana, bo dla mnie upłynął już ponad rok.

– Racja – mruknął Ascar. – To przecież pan przyleciał z Ziemi zamiast Ronda Heshke. Przepraszam, nie mam pamięci do twarzy. – Ascar nonszalancko machnął ręką. – A więc Tytanom nie wszystko poszło tak gładko, jak to sobie zaplanowali?

Sobrie pozwolił sobie na triumfalne mrugnięcie.

– Nie wiedzą, kto ich zaatakował. Pan, naturalnie, zna tajemnicę sukcesu Dolnej Retorty: można tam dowolnie korzystać z czasu produkcji, nawet jeśli rzecz ma być gotowa w ciągu kilku minut. Na przygotowanie tego natarcia wzięliśmy sobie rok, ale gdyby była taka potrzeba, mogliśmy wziąć i dwadzieścia pięć lat.

– Tak, tego się mniej więcej spodziewałem – powiedział Ascar. – Dziwię się tylko, że Tytani dali się wam tak podejść.

– Nie mieli jak nas zatrzymać. Pamięta pan może młodzieńca nazwiskiem Hiu Siu-Ming? Tytani przywieźli go ze sobą z Ziemi. Byłoby lepiej dla nich, gdyby go zostawili: Siu-Ming rozłączył tunel czasu między retortami, odcinając Tytanom dostęp do Dolnej Retorty, a przynajmniej do jej czasu normatywnego. Zdołaliby może dostać się tam i tak przy użyciu swoich nowych statków, ale zaatakowaliśmy ich, zanim zdążyli się w tym wszystkim połapać. Według rachuby czasu Retorty Konsumpcyjnej, wróciliśmy z Siu-Mingiem już po godzinie – i to no czele regularnej armii.

Ascar chrząknął z pogardą.

– Któryś z ludzi Limnicha po prostu dał plamę. Nie, żeby to miało większe znaczenie.

Ascar przeciągnął się leniwie. Po oddzieleniu od grupy uwięzionych Tytanów przeniesiono go do bardziej komfortowych pomieszczeń, przeznaczonych – jak się domyślał – dla jeńców wyższych rangą. Jednak wizyta Oblomota szczerze go zdumiała.

– Teraz już sobie przypominam – powiedział. – Pan jest jednym z tych pieprzonych rewolucjonistów, tak? Miłośnik dewiantów? No tak, zgadza się.

– Wolno panu mieć swoje zdanie. Ja jednak nie jestem wyjątkiem: Siu-Ming to też rewolucjonista. Jeszcze niejedno się tutaj zmieni.

– Nie spodziewacie się chyba, że robole z Retorty Produkcyjnej zaczną wam robić rewolucję? – zadrwił Ascar. – Wszyscy wiedzą, jak powinna wyglądać organizacja społeczeństwa w KZM. Są nawykli do porządku.

– Zobaczymy, zobaczymy. Siu-Ming jest pod pewnymi względami bardzo niezwykłą

osobowością. Szkoda, że pan nie widział, jak udało mu się zorganizować to wszystko w Dolnej Retorcie. No i uratowaliśmy Miasto! – zakończył Sobrie chełpliwie.

– Posłuch jest dla tutejszych ludzi czymś naturalnym – powiedział Ascar. – To, że byli posłuszni, niczego jeszcze nie dowodzi. – Ziewnął. Był zmęczony. – A więc uratowaliście Miasto-Retortę, tak? No to punkt dla mnie, przyjacielu: masz przed sobą człowieka, który uratował planetę Ziemię!

– Pan...? – zająknął się Sobrie i w tej samej chwili ktoś zawołał go z sąsiedniego pokoju.

Wszedł Hiu Siu-Ming. Z niechęcią spojrzął na Ascara, po czym zwrócił się do Sobriego:

– Wszystko idzie zgodnie z planem. Retorta jest już właściwie nasza, jeśli nie liczyć kilku małych ognisk oporu. Ustaliliśmy wreszcie, gdzie Ziemianie przetrzymują władze Retorty Konsumpcyjnej. Cały gabinet powinien tu być lada chwila.

– Świetnie! – ucieszył się Ascar. – Skoro to drobne zamieszanie zostało już opanowane, mam nadzieję, że mistrz Siu Kung-Czien będzie mógł powrócić do obserwatorium, by zająć się sprawami większej wagi. A ja z nim, jeśli panowie pozwolą.

– A, to pan, poznaję pana – rzekł Siu-Ming. – To pan postanowił, że raczej poświęci się abstrakcji niż walce o pomoc własnym współobywatelom. Proszę, droga wolna. Nie mamy tu dla pana nic do roboty.

Siu-Ming stał się twardym człowiekiem, pomyślał Ascar. Miniony rok bardzo go odmienił.

– Chwileczkę! – zatrzymał go Sobrie. – Przed chwilą wspomniał pan coś o Ziemi, o co chodziło?

Ascar zrobił nadąsaną minę i założył ręce.

– Chcę się widzieć z Siu Kung-Czienem.

– Wiem, o co panu chodzi – odezwał się po chwili Siu-Ming. – Obawia się pan, że zarządę egzekucję całego gabinetu, razem z pana ukochanym mistrzem. Proszę się uspokoić: decyzja należeć będzie do ludu, nie do mnie. Być może zostanie tylko przeniesiony do fabryki, żeby mógł poznać smak pracy na własnej skórze.

Siu-Ming powiedział następnie coś do Sobriego, a ten wyszedł, by po krótkiej chwili wrócić w towarzystwie Siu Kung-Cziena. Stary uczoney mruknął na powitanie grzecznościową formułkę, po czym zwrócił się do Ascara:

– Zdążyłeś skończyć operację?

– Ledwo-ledwo – odparł Ascar. – Ale udało mi się odwiedzić Istnienie Ukośne.

– Jakieś pocieszające informacje?

– Zależy, z której strony na to patrzeć... Ale właściwie można powiedzieć, że tak.

Ascar przemówił następnie do Sobriego.

– Pan, zdaje się, jest Ziemianinem, więc spróbuję to panu wytłumaczyć. Widzi pan, to, czym się zajmowałem, nie było aż tak dalekie od praktyki, jak to się niektórym zdawało. O kilka lat świetlnych od nas znajduje się pewien... byt, pewien obiekt, znany Retorcie już od dłuższego czasu. Nazywają go tu Istnieniem Ukośnym, gdyż istnieje na ukos w czasie. Dążeniem moim i Siu było nawiązanie z nim kontaktu w celu wymiany doświadczeń i informacji naukowej. Istnienie Ukośne ma znacznie bardziej gruntowną wiedzę o czasie niż my, toteż ciekaw byłem, czy mogłoby udzielić nam pomocy, czy – krótko mówiąc – istnieje naukowa metoda powstrzymania i dążących do zderzenia systemów czasu na Ziemi.

– No tak... teraz rozumiem – wtrącił potulnie Sobrie. Było mu trochę wstyd, że tak pochopnie ocenił Ascara, uważając go dotychczas za niewydarzone dziwadło.

Ascar spojrzał na Siu i podjął temat.

– Ku mojemu zdumieniu, Istnienie Ukośne wiedziało już wszystko o Ziemi. Zdaje się, że obserwacja planet, na których istnieje życie, to jego hobby. Zdziwiłem się jednak jeszcze bardziej na wieść, że owszem, Istnienie zna sposób na zapobieżenie kataklizmowi na naszej planecie i, gdyby tylko zechciało, ma środki, by tego dokonać. Jest mianowicie zdolne zmienić kierunek biegu czasu, nawet w systemie tak potężnym jak ziemski i na tak wielką odległość. Skąd bierze się ta zdolność, nie wiem. Dano mi jednak jasno do zrozumienia, że chodzi o siłę, jakiej istoty ludzkie nigdy nie zdołają opanować.

– Ależ to opis boga! – wykrzyknął z niedowierzaniem Sobrie.

– Tak, boga – skrzywił się Ascar. Sam identycznie zareagował podczas rozmowy z Istnieniem Ukośnym, a odpowiedź nadal dźwięczała mu w uszach: „Jestem równie trywialny jak i ty. Najwyższy nie dostrzega mnie, tak jak nie dostrzega i ciebie.”

– Czy to prawda, co on mówi? – zwrócił się Sobrie do Siu, bardzo przejęty rewelacją. – Czy prawdą jest, że tym właśnie zajmowaliście się w obserwatorium?

Siu odpowiedział mu z zimną wyniosłością:

– Istotnie, takie były nasze plany. Od dawna podejrzewałem, że Istnienie Ukośne dysponuje siłą, o jakiej nie mamy pojęcia.

– Deus ex machina – szepnął sam do siebie Sobrie.

– Tak – przyznał Ascar beznamiętnym tonem. – I to dosłownie. Istnienie Ukośne uważa się jednak przede wszystkim za obserwatora, który nie ingeruje w to, co widzi. Gdy poprosiłem, by użyło swej potęgi w sprawie Ziemi, spotkałem się z odmową.

Głęboką ciszę, jaka zapanowała po tych słowach, przerwał Siu-Ming.

– Współczuję waszej planecie – rzekł, nie siląc się nawet na szczerość. – Ponieważ jednak Miasto-Retorta nie jest skazane na zagładę, pozwolą panowie, że oddalę się do własnych zajęć.

– Na tym się nie skończyło – podjął temat Ascar, zwracając się do Siu Kung-Cziena, ledwie Siu-Ming wyszedł z pokoju. Mówił bardzo szybko. – Próbowałem się z nimi potargować.

Pamiętał wszystkie szczegóły niedawnych przeżyć. W pierwszej chwili zareagował jak przystało na znużonego światem cynika: wzruszył ramionami i w myślach spisał Ziemię na straty.

I nagle poczuł, że nie może poddać się tak łatwo. Jakaś wewnętrzna siła kazała mu dalej agitować w sprawie Ziemi, apelować do tworu, wobec którego czuł się jak mrówka. Nie prosił – jego postawę trudno by nazwać błagalną – ale i nie był od tego zbyt daleki.

Istnienie Ukośne odpowiedziało mu drżącym głosem:

– Sytuacja na Ziemi jest dramatyczna. Z niechęcią myślę o ingerencji w rozwój dramatu.

Co jakiś czas pokój, w którym toczyła się rozmowa, rozpływał się lub w ogóle znikał, a Ascar stwierdził ni stąd, ni zowąd, że unosi się jak drobinka kurzu wśród zmechanizowanej przestrzeni, albo też leci w mroczną pustkę, w której pływają nieokreślone, mgliste kształty. Ascar doszedł w końcu do wniosku, że nie są to ani próby zastraszenia go, ani demonstracje gniewu ze strony Istnienia Ukośnego. Ono po prostu bardzo intensywnie myślało, wskutek czego co jakiś czas zaniedbywało kontroli nad przekazem danych zmysłowych, wysyłanych do odbiornika w obserwatorium Miasta-Retorty i dostarczało Ascarowi wrażeń całkiem niezamierzonych. Ilekroć jednak decydowało się przemówić, przywoływało Ascara na fotel w rzekomym gabinecie.

Głos zmienił się: był to na powrót głos dziewczyny, któremu towarzyszył melodyjny śmiech.

– Pański wyczyn domaga się nagrody – powiedziała. Oto, co zamierzam zrobić.

Ascar był następnie świadkiem demonstracji – nie słownej, lecz graficznej – która trwała ledwie ułamek sekundy; Zobaczył czas rozbity na wiele cienkich strumyków, płynących w różnych kierunkach i ożywiających pustynie. Zobaczył też główny nurt, z którego rozchodziły się strumyki: nurt ten rwał do przodu na spotkanie z drugą, równą sobie potęgą – na spotkanie

z zagładą.

Gdy Ascar skończył swoją opowieść, Siu Kung-Czien pokiwał głową w głębokim zamyśleniu.

– Genialne – przyznał w końcu. – I logiczne. Istnienie Ukośne ma, jak się zdaje, głębokie poczucie sprawiedliwości.

– Nic nie rozumiem – poskarżył się Sobrie Oblomot. Kompletnie nic z tego nie rozumiem.

Siu Kung-Czien spojrzał na niego i zaplótł ramiona w głębi przepastnych rękawów.

– Laikowi niełatwo to pojąć – przyznał spokojnym, wyważonym tonem. – Spróbuję wyjaśnić panu prościej. Czas dąży naprzód, zawsze w tym samym kierunku. Wszechświat realny zna jednak więcej kierunków niż jeden. Można w nim wyróżnić aż sześć wymiarów, podczas gdy Absolutna Teraźniejszość operuje tylko trzema. Tak więc strumień czasu, płynący z przeszłości w przyszłość, otoczony jest wielkimi obszarami nie-czasu. Tak wygląda pejzaż, przez który przepływa rzeka czasu. Praktycznie oznacza to, że w piątym wymiarze istnieją Ziemie alternatywne, sąsiadujące z tą, którą pan zna. Ziemie te są niezamieszkane, nie ma na nich ani życia, ani czasu. Można jednak tak zawrócić bieg rzeki czasu, by popłynęła właśnie przez jedną z planet alternatywnych, zamiast toczyć się prosto do przodu. Wówczas zderzenie nie nastąpi, co rozwiązuje problem Ziemi w sposób idealny.

– Ale, jeśli dobrze zrozumiałem, tak się nie stanie? zapytał Sobrie, zmagając się z lawiną abstrakcji.

– Niestety, nie. Istnienie Ukośne nie zamierza naruszyć głównego strumienia czasu Ziemi. Przystaje jedynie na oddzielenie z niego kilku małych strumyków i skierowanie ich na Ziemie alternatywne – a jest ich wiele, wszystkie mniej więcej jednakowe. Ludzie, którzy znajdą się w obrębach tych strumyków, potworzą wysepki życia na jałowych poza tym planetach. Wysepki te będą się jednak rozrastać, aż pokryją całe globy. W każdym z tych przypadków narodzi się nowy świat – Siu Kung-Czien pokiwał głową. Był w tym geście uosobieniem mędrca, nieświadomego własnej wielkości. – Myślę, że to o wiele lepsze rozwiązanie niż sami byśmy wybrali.

– Każdy ocalały rezerwat dewiantów dostanie własny świat – podchwycił wywód Ascar. – Istnienie Ukośne zapewni przyszłość każdemu z ludzkich podgatunków i uwolni je od ingerencji pozostałych. Nawet kontyngent cywilizacji Tytanów dostanie swoją Ziemię – Ziemię, na której nie będzie ani obcych interwencji, ani Ziemian Przyszłości, godzących w ich ambicje. To samo

dotyczy Ziemi czasu przyszłego: oni również dzielą się na frakcje i grupy narodowościowe, z których kilka zostanie uratowanych.

– A co czeka resztę? Śmierć?

– W zasadzie tak. – Twarz Ascara zmieniła się jak oblicze wizjonera. – Wielka wojna czasów musi dojść do skutku, tak samo jak zderzenie dwóch strumieni czasu. Ale z tej wojny niektórzy ocaleją. Tytani już dziś projektują schrony obwałowane silnymi sztucznymi polami czasu, które pozwolą przetrwać efekt zderzenia. Schrony te – przynajmniej niektóre – zapewne przetrzymają kataklizm, jeśli ich wnętrza okażą się dostatecznie dobrze wyposażone. Tak więc, kiedy już będzie po wszystkim, na niewyobrażalnie zdewastowanej Ziemi uchowa się garstka Tytanów, którzy spróbują odbudować, co się da.

– A kiedy ma dojść do tego... rozdrobnienia czasu?

– To się już stało – odparł Ascar, – Jeszcze zanim Tytani zabrali mnie z obserwatorium Siu Kung-Cziena.

Sobrie był ciekaw, czy jego przyjaciele w rezerwacie Amhraków dostrzegli już jakieś zmiany w swoim otoczeniu. Dobrze było wiedzieć, że cywilizacja Amhraków jednak nie zaginie.

Tytan-Major Broune jednym zdecydowanym gestem zmiótł ze stołu komplet wifonów. I tak nikt się już nie zgłaszał.

Broune siedział w biurze sam. Niedawno odprawił adiutanta, kierując go do obrony barykady. Wiedział, że nadchodzi ostatnia, decydująca rozprawa.

Wyszedł na zewnątrz. Jego kwatera była – o ile się orientował – ostatnim nie zdobytym jeszcze stanowiskiem. Ataku należało się spodziewać lada chwila.

Od budynku biegł długi dziedziniec osłonięty arkadami: znakomita pozycja obronna – długie podejście bez jednego miejsca, w którym można by się schować. Broune wiedział jednak, że to wątpliwa pociecha wobec sztuczek, jakimi posługiwali się Chińcy.

Ledwie dotarł do stalowej barykady, biegnącej w poprzek galerii, ledwie zdążył rzucić żołnierzom kilka słów otuchy, Chińcy rozpoczęli natarcie.

Pojawiali się ze wszystkich stron jednocześnie. Kilku znalazło się po wewnętrznej stronie barykady i ludzie Broune'a już walczyli z nimi w bliskim zwarciu, reszta zaś ostrzeliwała kwaterę z przeciwnej strony zapory. Broune jeszcze raz miał okazję zobaczyć śmiercionośne efekty Hoka; na szczęście jednak Tytani mieli tu przewagę liczebną. Spojrzał na drugą stronę barykady. Zobaczył ludzi w niebieskich mundurach i kopulastych hełmach, którzy pojawiali się



i znikali jakby nigdy nic, pręc do przodu na podobieństwo duchów. Zobaczył wroga, który przez połowę czasu pozostawał niewidzialny.

Nagle major Broune wydał z siebie dziki, niemal radosny okrzyk. Skoczył do gniazda karabinu maszynowego, odepchnął obsługującego broń żołnierza i uniósł ciężki karabin ze statywu. Wyczyn ten wymagałby normalnie sił dwóch mężczyzn, a jednak Broune wygramolił się z karabinem na drugą stronę barykady, wlokąc za sobą pas z nabojami. Otworzył długą serię z biodra.

– Nie kuć tam, chłopaki! – wrzasnął. – Do mnie! Pokażemy im!

Zataczając się, biegł wzdłuż dziedzińca i strzelał bez przerwy z wielkiego, nieporęcznego karabinu, mierząc w tłum to widzialnych, to znów niewidzialnych Chińców. Tak właśnie trzeba, powtarzał sobie. Zginąć jak mężczyzna, walczyć z tą hordą podludzi aż do ostatniego tchu.

Nagle jakaś dłoń dotknęła jego karku i Broune zwałił się martwy na ziemię.

Żołnierze w niebieskich mundurach zgromadzili się tłumnie na placu pod balkonem, na którym stali Siu-Ming, Sobrie, premier Hwen Wu i członkowie jego gabinetu. Siu-Ming nerwowo oblizwał wargi.

To był jego pomysł: chciał, aby władze Retorty Konsumpcyjnej przedefilowały przed zwycięskimi żołnierzami. Wierzył, że dzięki takiej demonstracji czciogodni urzędnicy raz na zawsze utracą szacunek ludu, stając się zwykłymi słabymi indywiduami, robotnicy zaś na własne oczy ujrzą tych, którzy ograniczali ich prawa.

Okazało się, że Hwen Wu jest – o dziwo! – całym sercem za taką formą konfrontacji. Wyglądało na to, że kompletnie nie pojmuje intencji Siu-Minga, któremu serdecznie dziękował za zorganizowanie wiecu. Należało mu powiedzieć wprost, o co chodzi, pomyślał Siu-Ming.

Premier w dźwięcznych, okrągłych słowach dziękował właśnie robotnikom z Retorty Produkcyjnej za interwencję, która przyszła w samą porę.

– Wasze głębokie poczucie obywatelskiego obowiązku szczerze raduje moje serce – zakończył Hwen Wu przydługą mowę. Jego arystokratyczna twarz pozostawała imponująco niewzruszona. – A zatem, skoro pozbyliśmy się już obcego barbarzyńcy, możemy teraz wszyscy powrócić do swoich zajęć, przywracając tym samym doskonałą harmonię i ład życia społecznego.

Hwen Wu cofnął się w głąb balkonu, założył ręce i uśmiechnął się łaskawie do Siu-Minga i dyrektorów z Retorty Produkcyjnej, którzy zbili się w grupkę po jednej stronie balkonu, a teraz

wycofali się tuż pod ścianę.

Biedny Siu-Ming, pomyślał Sobrie. Podebrali mu główną rolę.

Naczelnny dyrektor Retorty Produkcyjnej wystąpił do przodu, skłonił się lekko premierowi, po czym wygłosił kilka ceremonialnych słów o tym, jak bardzo jest szczęśliwy, że mógł się przysłużyć Miastu.

Robotnicy przyglądali mu się z cielecym zainteresowaniem. Panował spokój i porządek. Sobrie uświadomił sobie ze zgrozą, że ci ludzie zaraz wrócą bez słowa do Retorty Produkcyjnej, do swoich fabryk i prymitywnych rozrywek.

Dyrektor skończył mówić i wycofał się. Sobrie wiedział, że Siu-Ming kompletnie traci głowę. Jako rewolucjonista był jeszcze całkiem zielony. Nie miał pojęcia, jak się przeprowadza zmiany społeczne – myślał, że zmiana dokona się sama z siebie.

Po krótkim wahaniu Siu-Ming zrobił krok do przodu, ale Sobrie był szybszy: jednym susem znalazł się w centrum uwagi tłumu.

Co ma powiedzieć, by zapoczątkować proces zmian w mentalności tych ludzi? Zaszczepić w nich dążenie do powszechnej równości? Sobrie gorączkowo przerzucał w myślach fragmenty rewolucyjnych odezw, aż wreszcie przypomniał sobie wezwanie najstarsze, legendarne, niemal mityczne, przekazywane z pokolenia na pokolenie od czasów, gdy podręczniki historii jeszcze nie istniały.

Wzniósł zaciśniętą pięść.

– Proletariusze wszystkich krajów łączcie się! Cóż macie do stracenia? Jedynie kajdany!

## Rozdział czternasty

Ich kroki niosły się echem po wielkiej podziemnej komorze. Naczelnny Wódz Planety, Limnich, w otoczeniu adiutantów i strażników, natknął się tuż przed wejściem do biura na wysokiego, doskonale opanowanego pułkownika Braska.

– Otrzymał pan moją notatkę? – zapytał – Limnich, gdy honory zostały już oddane. – Docenia pan jej wagę?

– Doceniam, Wodzu.

Brask otworzył drzwi i gestem zaprosił Limnicha do środka.

Naczelnny Wódz Planety dał znak obstawie, by czekała przed drzwiami i wszedł do gabinetu sam. Z ulgą, jakby był bardzo wyczerpany, rozsiadł się w głębokim skórzanym fotelu.

– Rozumie pan, mam nadzieję, dlaczego przekazałem wiadomość szyfrem? W tej sprawie nie mogłem ufać widefonom... Ostrożność to dzisiaj wymóg numer jeden.

Zamrugnął gwałtownie powiekami i pociągnął nosem. Było mu zimno i miał dreszcze, ale wiedział, że to wszystko siła sugestii: epidemia opanowywała coraz to nowe obszary. Laboratoria wirologiczne pracowały pełną parą, walcząc z zalewem nieznanymi dotychczas chorobami, które masowo rozpleniły się na Ziemi. Wirusy pochodziły najprawdopodobniej ze źródeł pozaziemskich. Ilekroć udało się wyhodować jeden rodzaj przeciwciała, na miejsce zwalzonego wirusa natychmiast pojawiał się nowy.

– Czy znalazł pan czas na potwierdzenie treści notatki, Wodzu? – zapytał Brask.

Limnich kiwnął głową.

– Nie ma potrzeby szukać dalszych potwierdzeń. Całe obszary poznikały po prostu z mapy. To jakaś nowa broń Obcych. Jedna Matka Ziemia wie, jaką to metodą można unicestwić ludzi, domy i roślinność nie pozostawiając przy tym ani śladu. Żadnego promieniowania – po prostu nic. Jałowa ziemia.

– Ale zniknęły przede wszystkim rezerwaty dewiantów. Czy to nie dziwne?

Limnich wzruszył ramionami.

– Może Obcy uznali je za dobre tereny ćwiczebne. Na pewno nie jest to nasza własna sprawka, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Sam pan widzi, że sytuacja jest alarmująca. Czy możemy zastosować Wariant C?

– Tak jest, Wodzu. Pierwsza eskadra odleci za kilka minut.

Brask włączył okazały ekran. Limnich ujrzał dziarskich żołnierzy w kombinezonach do walki w czasie. Żołnierze odmaszerowywali z placu, gdzie dokonano ostatniej odprawy przed lotem. Limnich obserwował ich z uwagą, podziwiając dzielność i oddanie swych oddziałów.

Czas naglił. Nie można już było czekać, aż Legiony Chronosa nabędą takiej siły, jaką Limnich wymarzył sobie na decydujące uderzenie. Nie było czasu na takie zabezpieczenie wojowników odlatujących na front czasu, by mieli choć cień szansy na przeżycie. Były to oddziały samobójców, gotowych bić się aż do śmierci o możliwość zrzucenia bomb wodorowych, których każdy statek dźwigał kilkadziesiąt. Na widok ich determinacji Limnich poczuł, że wraca mu odrobina dawnej pewności siebie. Wiedział, że kilka godzin wcześniej od każdego z żołnierzy pobrano spermę, którą następnie ulokowano w banku-chłodni: chłopcy odlatywali z krzepiącą świadomością, że ich nasienie przyczyni się do ciągłości rozwoju rasy ludzkiej.

– Pozwoli pan, Wodzu, że – zgodnie z ustalonym przez nas planem opuszczę pana teraz.

Brask wcisnął jakiś guzik. Wszedł młody oficer – jeszcze jeden dziarski młodzieniec, na którym Legiony tak bardzo polegały.

– Zgodnie z pańską wcześniejszą instrukcją, działania przejmie za mnie pułkownik Gole, aż do odprawienia następnej eskadry – powiedział Brask.

Limnich skinął głową na znak, że przyjmuje zmianę do wiadomości, a Brask wyszedł, salutując jednemu i drugiemu.

Naczelny Wódz Planety zobaczył na ekranie, jak Brask zajmuje swoje miejsce wśród żołnierzy. Następnie odbył się rytuał wkraczania na pokłady machin czasu. Brask objął dowództwo.

– W końcu znajdziemy jakiś sposób na to, by ściągnąć ich tu żywych – zwrócił się Limnich do Gole'a. – Na razie musi być tak, jak jest.

– Tak jest, Wodzu.

Oddziały zniknęły wszystkie na raz przy akompaniamencie odgłosu, który przypominał huk piorunu. Z melodyjnym świstem pomknęły w przyszłość, radośnie unosząc z sobą ładunek śmierci, śmierci, i jeszcze raz śmierci.

## Od autora

Koncepcja czasu, która stanowi tło tej powieści, bazuje w pewnym stopniu na wywodach J.W. Dunne'a przedstawionych w „Eksperymentach z czasem”, a zwłaszcza w pracy „Wszechświat seryjny”, gdzie autor wyklada hipotezę Problemu Regresji, opisaną przeze mnie w rozdziale dziewiątym.

Moje ujęcie tej koncepcji jest z konieczności uproszczone dla potrzeb fikcji, zawiera jednak podstawową kwestię wywodów Dunne'a: czy moment teraźniejszy jest jak sądził z początku fizyk Leard Ascar – wspólny dla całego wszechświata, czy też jest to fenomen lokalny, jak twierdzą uczeni Miasta-Retorty. Osobiście skłaniam się ku wersji drugiej, jakkolwiek pytanie, czy czas jest cechą systemów biologicznych, czy też bardziej rozległych, jak całe galaktyki, a może jeszcze większych – na przykład całego wszechświata, gdy obserwować go z jednego punktu – pozostaje pytaniem otwartym.

B.i.B.